

GRA W POCHOWANEGO

PRZEMYSŁAW BORKOWSKI



Przemysław Borkowski

Gra w pochowanego

Saga

Gra w pochowanymego
Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 2009, 2020 Przemysław Borkowski i SAGA Egmont
Wszystkie prawa zastrzeżone
ISBN: 9788726630220

1. Wydanie w formie e-booka, 2020
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA Egmont oraz autora.

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

SPIS TREŚCI

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[ROZDZIAŁ I](#)

[ROZDZIAŁ II](#)

[ROZDZIAŁ III](#)

[ROZDZIAŁ IV](#)

[ROZDZIAŁ V](#)

[ROZDZIAŁ VI](#)

[ROZDZIAŁ VII](#)

[ROZDZIAŁ VIII](#)

[ROZDZIAŁ IX](#)

[ROZDZIAŁ X](#)

[ROZDZIAŁ XI](#)

[ROZDZIAŁ XII](#)

[ROZDZIAŁ XIII](#)

[ROZDZIAŁ XIV](#)

[ROZDZIAŁ XV](#)

[ROZDZIAŁ XVI](#)

[ROZDZIAŁ XVII](#)

[ROZDZIAŁ XVIII](#)

[ROZDZIAŁ XIX](#)

[ROZDZIAŁ XX](#)

[ROZDZIAŁ XXI](#)

[ROZDZIAŁ XXII](#)

[ROZDZIAŁ XXIII](#)

[ROZDZIAŁ XXIV](#)

[ROZDZIAŁ XXV](#)

[ROZDZIAŁ XXVI](#)

[ROZDZIAŁ XXVII](#)

[ROZDZIAŁ XXVIII](#)

[ROZDZIAŁ XXIX](#)

[ROZDZIAŁ XXX](#)

[ROZDZIAŁ XXXI](#)

ROZDZIAŁ I

Porucznik Frank Quetzalcoatl James, zastępca podkomisarza III-go wydziału 148. Komisariatu policji municypalnej Eurocity, obudził się nagle i niespodziewanie. Jego czoło, zazwyczaj gładkie i pogodne, tym razem zroszone było potem. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się w sufit. Sen. Najwyraźniej zły sen. Lecz co też takiego mogło mu śnić się o tej porze? Sądząc po natężeniu ruchu ulicznego, była najwyżej druga lub trzecia w nocy. O tej godzinie zazwyczaj spał jak kamień. Sny tak, owszem, śniły mu się, ale to zwykle nad ranem. Pościgi, przesłuchania, miejsca zbrodni – normalne sny normalnego policjanta. Czasem śniło mu się na przykład, że celuje w niego bandyta, a on nie może wyszarpać pistoletu z kabury. Albo że musi napisać bardzo ważny raport, ale nie może sobie przypomnieć o czym. Normalna. Ten sen był jednak jakiś dziwny. Jakiś... nie wiadomo jaki. I za nic nie mógł go sobie przypomnieć.

Porucznik Frank Quetzalcoatl James przewrócił się na drugi bok. Zawsze spał na prawym, i to od dziecka. Czasem tylko, gdy nie mógł zasnąć, przewracał się na lewy. Zazwyczaj nie pomagało, ale coś przecież trzeba było robić. Nie można tak całą noc leżeć na jednym boku, gapić się w ścianę i czekać, aż nadejdzie sen. Trzeba działać, próbować, szukać nowych rozwiązań. Jak nie na tym boku, to na tamym. Jak nie na plecach, to na brzuchu. Inicjatywa i niekonwencjonalne myślenie – tego właśnie uczyli ich przecież w akademii.

Ale, ale! Co też to mógł być za sen? Nie był to sen erotyczny, pamiętałby przecież. Nie był to też koszmar. Więc co?

Zagadka. Kolejna zagadka. No, teraz już wiedział, że na pewno nie zaśnie. Zagadki lubił niezmiernie. Gdy pojawiała się zagadka, wszystko inne przestawało się liczyć.

Nie było sensu dalej bezproduktywnie się wiercić. Frank Quetzalcoatl James wstał. Zapalił światło, wsunął stopy w kaptcie, przetarł oczy. Jedynym właściwie sposobem postępowania w tego typu sytuacjach było wstać i zapalić światło. Coś porobić, coś poczytać, potem położyć się znowu i spróbować zasnąć jeszcze raz. Jak gdyby od początku. Jakby zaczynało się noc od nowa. Skoro tamta nie wyszła, trzeba rozpocząć następną. Tak ich uczyli w akademii – gdy coś ci nie wychodzi, przestań, a potem spróbuj jeszcze raz.

Tym razem nie było to jednak takie proste. Ten sen jakoś w nim siedział. Niby nie zapamiętany, ale jednak jakby zapamiętany. Niepokoił, dręczył, przeszkadzał. O co w nim, do diabła, mogło chodzić?

Rankiem tego samego dnia porucznik Frank Quetzalcoatl James przybył na komisariat jak zwykle odrobinę spóźniony.

- Dziwna sprawa – jego partnerka, Natasza Wang, przywitała go, jakby się nawet na chwilę nie rozstali. – Mamy morderstwo bez trupa. Zabójca przyznał się, wskazał miejsce,

gdzie ukrył zwłoki, lecz ciała nie odnaleziono. Ciekawe, co?

- Pewnie dzieciaki zabrały - wtrącił Tom, kolega z pokoju. - Był taki przypadek w 256. dzielnicy. Zderzyły się dwa transportery. Jeden kierowca zginął, drugi w szoku poleciał gdzieś przed siebie. Gdy na miejsce przyjechała policja, ciała tego pierwszego już nie było. Dzieciaki zabrały. Bawiły się w klonowanie.

- Napisz „desubstancjacja corpus delicti” - poradził Frank. - I odłóż do szafy. I tak nikt tego nie będzie czytał.

148. Komisariat policji municypalnej Eurocity nie należał do najnowocześniejszych tego typu obiektów w mieście. Stary, dwudziestowieczny jeszcze budynek, mimo licznych przeróbek był, co tu kryć, trochę dysfunkcyjny. Przeciążona sieć co i raz ulegała awariom. W pokojach panowała ciasnota. Jedyne, co Frank w nim lubił, to schody. W mało którym budynku były jeszcze schody.

- A pan jak zwykle na schodach! - wesoły głos pana Vigo, policyjnego specjalisty od trupów, w zestawieniu z jego profesją zawsze sprawiał cokolwiek dziwne wrażenie. - Pytałem w pana pokoju, pytałem na stołówce, nigdzie pana nie ma! Wreszcie pomyślałem sobie: no, skoro go nigdzie nie ma, to pewnie jest na schodach! I znalazłem pana! Co też pana tak ciągnie do tych schodów?

- Podświadoma chęć ucieczki zapewne - rzucił kwaśno Frank. - Ma pan dla mnie coś ciekawego?

- No właśnie. Bo ja przecież do pana z nowinami! Pamięta pan te zwłoki, które zniknęły z miejsca zbrodni?

- Znalazły się?

- Niezupełnie. Ale był pan blisko. - Pan Vigo zaśmiał się nieprzyjemnie. - Zniknęły następne.

Frank Quetzalcoatl James uważnie wpatrywał się w siedzącego przed nim człowieka. Widywał już takich wielokrotnie. Narkotyki w połączeniu z naukami pewnych ezoterycznych sekt od dłuższego czasu siały spustoszenie wśród mieszkańców Eurocity. Plagę tę przywleczono z Marsa. Początkowo problem dotyczył wyłącznie mieszkańców ziemskich kolonii badawczych. Długie przebywanie w warunkach całkowitej izolacji od ziemskiego życia, monotonia pracy i marsjański krajobraz powodowały dziwne stany psychofizyczne. Objawienia, wizje, halucynacje wzmocnione przez działanie tlenu, który w warunkach marsjańskich działał jak narkotyk, zaowocowały powstaniem rozmaitych sekt, a nawet kościołów.

Koloniści wracający na Ziemię (Karta Praw Kosmicznych ograniczała pobyt na stacjach pozaziemskich do dwóch lat) przywozili to paskudztwo ze sobą. Nie mogąc odnaleźć się na powrót w rzeczywistości ziemskiego życia, sięgali po syntetyczne narkotyki częstokroć stworzone jeszcze w marsjańskich laboratoriach. Zakładali tajne związki, mistyczne stowarzyszenia i kluby. W niedługim czasie ich nauki stały się bardzo modne, zwłaszcza wśród kontestującej młodzieży (takiej nigdy nie brakuje) i zbławizowanych trzydziestolatków pracujących w wielkich ogólnoswiatowych korporacjach. Władze jak zwykle ignorowały to zjawisko. Nazywały je nieuniknionym kosztem wielkiego dzieła eksploracji kosmosu, które, oprócz wielu widocznych gołym okiem zysków, niesie za sobą również pewne problemy, z którymi jednakże już wkrótce się uporamy. Może i tak. Póki co jednak, zyski mieli inni

(zwłaszcza owe wielkie korporacje), a problemami zajmowała się niedoinwestowana jak zwykle policja. W tym konkretnym przypadku Frank.

- No i co my tu mamy? - zagadnął ni to do siebie, ni do stojącego obok policjanta.

- Typowa narkotykowa balanga, połączona z jakimiś sekciarskimi obrzędami. - Policjant najwyraźniej uznał, że pytanie skierowane było do niego. - Znajdujący się tu osobnik twierdzi, że w jej trakcie zamordował swojego współ, jeśli tak można powiedzieć, biesiadnika. Ciała, zaznaczam, nie odnaleziono. Osobnik utrzymuje, że zniknęło.

- Tu, tu leżało, panie inspektorze! - płaczkliwie zaczął mężczyzna. - Jak Boga kocham, tu! Rozpoczęliśmy właśnie nawiązywanie kontaktu. Narkotyki musiał być skażony, bo nie zdołałem się opanować. Zdarza się. No i zabiłem Luisa. A potem on zniknął. Wyszedłem na balkon, żeby trochę ochłonić, a kiedy wróciłem, ciała już nie było.

- Kto zawiadomił policję?

- On - powiedział funkcjonariusz. - Zaznaczam przy tym, że zachowywał się, jakby przestępstwem nie było samo morderstwo, ale fakt kradzieży zwłok. Bardzo nalegał na odszukanie sprawców.

- No bo do czego to podobne, panie inspektorze! Jak tak może ciało zniknąć? Widział pan kiedyś coś takiego? Zabiłem go, przysięgam, że zabiłem! Proszę mnie aresztować!

- Niestety, proszę pana - nie ma ciała, nie ma sprawy. Brak podstaw. - Frank wzruszył ramionami.

- Przecież się przyznałem!

- Proszę pana, gdybyśmy wierzyli każdemu na słowo, musielibyśmy aresztować wszystkich wariatów w Euro. Ja mogę nawet panu wierzyć, ale sąd potrzebuje dowodów.

- A krew? Przecież tu jest pełno krwi!

- Krew ludzka, nienależąca do zatrzymanego - wtrącił się policjant.

- Właśnie! N... nienależąca do mnie!

- Może był tu ktoś przed panem i zaciął się w palec? Niestety, potrzebne jest ciało. I to nie jakaś część ciała, powiedzmy palec albo ręka. Znalezienie ręki świadczy co najwyżej o fakcie obcięcia ręki. Potrzebne jest całe ciało. Ewentualnie głowa. Takie są przepisy. Nie możemy pana aresztować.

- Chociaż na czterdzieści osiem godzin!

- Niestety. Ale możemy panu pobrać kod DNA - pocieszył go Frank. - Ciała będziemy szukać. Jak się znajdzie, zadzwonimy do pana.

Natasza Wang była naprawdę niezła. Frank stwierdził to po raz nie wiadomo już który. Lekko skośne oczy i delikatnie śniada cera w zestawieniu z piekielną inteligencją i dość wrednym, trzeba to przyznać, charakterem, tworzyły piorunującą mieszankę. No ale cóż, służba nie drużba, jak to mówią. W pracy - absolutnie wykluczone.

- No i jak tam? - spytała zza biurka, ledwo podnosząc głowę.

- Jak tam co? - zająknął się, jakby przyłapała go na jakiejś nieprzyzwoitej czynności.

- Jak tam ten trup? Znalazł się?

- Aaa... Nie. Dwóch gości się naćpało i chciało wprowadzić w trans. Coś tam nie poszło i jeden podobno zabił drugiego. Podobno, bo ciała nie znaleziono.

- Aresztowaliście go?

- Co ty. Każdy adwokat by go wybronił. Facet się naszprycował i wydawało mu się, no nie? Taka byłaby linia obrony. Musieliśmy wypuścić.

- A wydawało mu się?

- Czy ja wiem? W mieszkaniu było pełno krwi. Jasne, ten drugi mógł się czymś zranić, wytrzeźwieć i po prostu sobie pójść. Nie znamy nawet jego nazwiska. Luis. Wiesz, ilu jest Luisów w Euro? Weź i sprawdź, czy któryś nie zaginał!

- Może porwali go kosmici?

- Rozmawiamy poważnie, czy sobie żartujemy?

- Rozmawiamy poważnie. Właśnie przejrzałam rejestry zgłoszeń z ostatnich miesięcy. Zaginięcia zwłok pojawiają się z zadziwiającą regularnością. Schemat ten sam – zabójstwo i zniknięcie ciała. W większości przypadków sprawy umarzano.

- W większości?

- No, tak się mówi. We wszystkich.

- A! Witam, witam i o zdrowie pytam! – pan Vigo jak zwykle był w wyśmienitym humorze. – No i jak, znalazł się mój trupek?

- Nie znalazł się, przykro nam bardzo.

- Hm. Ciekawa sprawa, nieprawdaż? Ludzie czasami znikają, jak na przykład moja żona przed pięciu laty zniknęła z jakimś fagasem – zachichotał. – Ale żeby trupy?

- Ale żeby trupy, z tym pan się do tej pory nie spotkał? – Natasza zadała tak zwane pytanie retoryczne.

- Ano nie.

- No to musi się pan powoli zacząć przyzwyczajać. Ostatnio takie rzeczy zdarzają się dość często. W ciągu ostatnich czterech miesięcy zanotowano siedem podobnych przypadków. Z tym dzisiejszym osiem. Panie Vigo, czy są jakieś fizyczne możliwości samoczynnego zniknięcia zwłok? Nauka zna takie przypadki?

- Nauka, proszę pani, zna wiele różnych przypadków. Części nawet nie potrafi wytłumaczyć. Dematerializacje zwłok również się zdarzają. Wybuch o bardzo dużej mocy, niezwykle wysoka temperatura, naturalne procesy gnilne wreszcie – nie wydaje mi się jednakże, by któraś z tych przyczyn wchodziła w grę tym razem.

- Czyli przyczyny naturalne możemy wykluczyć?

- Przyczyn naturalnych wykluczyć się nigdy nie da. Swego czasu bardzo wiele mówiono o samoczynnym zapłonie ludzkiego ciała. Teoretycznie – zupełnie niemożliwe, ale w praktyce podobno się zdarzało. Również tutaj mógł zajść analogicznego typu, nieznanego jeszcze proces. Chociaż osobiście stawiałbym na stare, poczciwe zakopanie w lesie.

- Tylko po co ktoś miałby wykradać zwłoki, i to tuż po morderstwie, po czym zakopywać je w lesie?

- Świat pełen jest tajemnic, a ludzie to bardzo dziwne stworzenia. Po paru latach pracy w policji powinna pani zdawać sobie z tego sprawę.

- Pozostaje jeszcze pewien mały problem natury logistycznej – wtrącił się Frank. – Skąd ktoś, ów teoretyczny ktoś, mógł wiedzieć, że wczoraj w mieszkaniu przy Barcelona Street o godzinie osiemnastej z minutami jeden naćpany gość zabija drugiego naćpanego gościa? A

musiał to wiedzieć bardzo dokładnie, gdyż, jeśli wierzyć naszemu mordercy, zniknięcie zwłok nastąpiło momentalnie, w przeciągu kilku minut, kiedy morderca znajdował się na balkonie.

- Nie wiem. To pan tu jest detektywem. Zresztą, może morderca sam ukrył zwłoki? To rozwiązanie byłoby najprostsze.

- Znowu - po co? Po co ktoś, kto właśnie zabił, miałby ukrywać trupa, skoro chwilę potem dzwoni na policję i przyznaje się do wszystkiego? Zwłoki ukrywa się zazwyczaj po to, żeby nie musieć się do niczego przyznawać. Zresztą to tłumaczyłoby co najwyżej ten jeden przypadek, a co z pozostałymi siedmioma?

- A dajcie wy mi wszyscy święty spokój! - wykrzyknął Pan Vigo. - Jestem lekarzem! Znajdźcie mi trupa, to powiem wam, dlaczego umarł. Znikanie zwłok to nie moja specjalność.

- Nasza niestety też nie. Ale staramy się.

ROZDZIAŁ II

Eurocity to było cholernie duże miasto. Ilekroć Frank po nim podróżował, czy to samochodem, czy też którąś z superszybkich kolejek, zawsze zastanawiał się, po co ludzie budują takie metropolie. Co każe im wszystkim osiedlać się w jednym i tym samym miejscu, jakby na całym bożym świecie nie było już lepszych terenów do zamieszkania? Choć z drugiej strony zawsze, kiedy z niego wyjeżdżał, towarzyszyło mu nieodparte wrażenie, że opuszcza obręb cywilizowanego świata. Nie mógł wtedy uwolnić się od głupiego w sumie i w jakiś sposób nieuprzejmego pytania, co też można zrobić poza Euro. Jak ci ludzie tam w ogóle żyją?

Jak więc widać, każdy kij ma dwa końce. Choć, jak twierdził pewien chiński mędrzec, niektóre mają ich trzy, i wtedy można z nich zrobić wiatrak. Nieważne. Nad pewnymi rzeczami lepiej się nie zastanawiać.

Takie to myśli zaprzętały głowę Franka, podczas gdy jego samochód mknął po jednym z dziesięciu pasów wielkiego, trzydziestokilometrowego mostu nad Kanałem. Automatyczny system nawigacji satelitarnej pewnie prowadził wóz z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę, pozwalając kierowcy zajmować się bezproduktywnymi marzeniami. Obok siedziała Natasza. Frank mógł co prawda jak zwykle myśleć o jej udach i o tym, co by było, gdyby niby przypadkiem położył rękę na jednym z nich, ale dziś wolał się zająć raczej czymś neutralnym. Ostatnimi czasy takie fantazje dziwnie go rozdrażniały.

- Obudź się. - Natasza miała niecodzienny zwyczaj zasypiania w każdej wolnej od pracy chwili. - Niedługo będziemy na miejscu.

- Tak? - Przeciągnęła się leniwie. - A tak mi się dobrze spało!

Londonka strona Euro różniła się znacznie od części kontynentalnej. Przede wszystkim było w niej więcej Azjatów, była też gęściej i jakby mniej starannie zabudowana. Frank lubił ją jednak, kto wie, może nawet bardziej niż główne miasto. Miała klimat - rzecz we współczesnych metropoliach rzadko spotykaną. Choć może było to tylko złudzenie wynikające z faktu, że rzadko tu przyjeżdżał, przez co wszelkie różnice wydawały mu się wciąż dziwne i ekscytujące.

- Wyłączam system, nasz profesorek mieszka w części nieoznakowanej. Nie mogłabś znaleźć kogoś bliżej?

- To najlepszy specjalista tego typu w Euro, a podobno nawet jeden z lepszych na świecie. Dziwny facet, taki trochę starej daty, nie ma nawet telełącza. Twierdzi, że nienawidzi rozmawiać z ekranem. Zaprosił nas na herbatę.

- Przynajmniej się przejechaliśmy.

Dom, w którym mieszkał profesor Bożydar Sonnenberg, to było naprawdę coś. Pochodził co najmniej z dziewiętnastego wieku i mimo ogromnego zapuszczenia, zdradzał jeszcze znamiona dawnej świetności. Duży, z czerwonej cegły, z białymi, podnoszonymi do góry oknami i biegnącymi po zewnętrznych ścianach rurami, mógłby z powodzeniem zagrać w jakiejś adaptacji przygód Sherlocka Holmesa. Pewnie miał jeszcze te idiotyczne, podwójne kurki w umywalkach – jeden do zimnej, drugi do gorącej wody. Albo gazowe kuchenki na monety.

- Dzień dobry państwu, jak to miło zobaczyć kogoś z kontynentu! - Profesor Bożydar Sonnenberg ubrany był w staromodne dżinsy i sweter, znad którego wystawał kołnierzyk koszuli. - Kiedyż to ja po raz ostatni zapuściłem się na tamtą stronę? Chyba przed tym cholernym zjednoczeniem. No, nie było wtedy jeszcze państwa na świecie. Proszę, proszę dalej! Herbata już czeka.

- Co też państwa do mnie sprowadza? - spytał uprzejmie, kiedy już zasiedli w fotelach i ujęli filiżanki.

- Tak jak mówiłam już przez telefon - zaczęła Natasza - prowadzimy pewną sprawę dość luźno, zdaje się, związaną z przedmiotem pańskich zainteresowań. Póki co jednak jest to jedyny trop, jakim dysponujemy. Nie sądzimy, by marsjańskie sekty miały istotne znaczenie dla naszej sprawy, ale nie chcemy niczego zaniedbać. Nigdy zresztą nie wiadomo, zwłaszcza na tym etapie śledztwa, które informacje okażą się ważne, a które nie. Chodzi o tajemnicze znikanie zwłok.

- O, to ciekawe.

- W przeciągu ostatnich kilku miesięcy sytuacja taka miała miejsce co najmniej ośmiokrotnie. Schemat jest zawsze ten sam - morderstwo i, chwilę po nim, zniknięcie ciała. Zazwyczaj...

- Czyli zawsze - poprawił partnerkę Frank.

- Tak, zawsze sami sprawcy zawiadamiają policję. Są przy tym mocno przerażeni. W co najmniej czterech przypadkach morderca, ofiara bądź oboje byli członkami tajnych marsjańskich bractw. W jednym - morderstwo miało miejsce bezpośrednio w trakcie obrzędu opętania.

- Czy przy okazji tych morderstw pojawiała się krew?

- Słucham?

- Czy ofiary krwawiły?

- T-tak. - Natasza szybko spojrzała do notatek - zawsze nosiła je ze sobą. - Cztery razy morderstwa dokonano za pomocą broni palnej, trzy razy za pomocą noża, raz z użyciem innego niebezpiecznego narzędzia, czyli w tym przypadku butelki.

- To by się zgadzało. Prawdopodobnie chodzi o kery.

- O co?

- O kery. W mitologii greckiej były to demony płci żeńskiej, żywiące się trupami poległych wojowników. Zazwyczaj pojawiały się na pobojowiskach w noc po bitwie, kiedy ciała jeszcze nie były pochowane. Przywabiał je zapach krwi.

- Jak wyglądały? - zainteresował się Frank.

- Nagie kobiety, raczej dziewczyny niż stare baby, o długich, splątanych włosach i ciałach uwalanych kurzem i zakrzepłą krwią. Oczywiście nieźle uzębione.

- Ciekawe.

- Nie wygłupiaj się, Frank! - zachnęła się Natasza. - Panie profesorze, rozmawiamy o prawdziwych morderstwach, nie o mitologii starożytnej Grecji.

- Zapytała pani specjalistę od demonów, więc niech się pani nie dziwi, że odpowiadam jak specjalista od demonów. Jeśli chce pani innej odpowiedzi, proszę bardzo, mogę takiej udzielić: ciała schowali sami mordercy, żeby zrobić policję w konia. Może być?

- Niech się pan nie obraża, profesorze. - Frank starał się załagodzić sytuację. - W te demony dość trudno uwierzyć.

- Sama pani mówiła - Sonnenberg zwrócił się do Nataszy - że mordercy osobiście zawiadamiali policję, i że byli przy tym przerażeni. Sądzi pani, że to naturalna reakcja w tego typu sytuacji? Jaka byłaby pani pierwsza myśl, gdyby przydarzyło się pani coś takiego? Gdyby pani kogoś zabiła, po czym stwierdziła zniknięcie ciała? Że delikwent jednak przeżył i uciekł, nieprawdaż? W takiej sytuacji nikt nie dzwoni na policję. Odczuwa raczej ulgę, że nic się jednak nie stało, ewentualnie rozpoczyna poszukiwania ofiary, aby dokończyć swoje dzieło. Na policję nikt jednak nie dzwoni i nie informuje jej o popełnionym morderstwie. I nie jest przy tym tak przerażony.

- To jednak nie świadczy od razu...

- Proszę pani! Reakcja tych osobników świadczy o jednej rzeczy: że zobaczyli tam coś, co spowodowało, że strach przed ujawnieniem zbrodni i strach przed karą zeszyły na plan dalszy. I nie chodzi o pracowników nadzwyczaj sprawnie i szybko działającego zakładu pogrzebowego.

W gabinecie profesora Sonnenberga zaległa cisza. Natasza wyglądała jak ktoś, kto zupełnie, ale to zupełnie nie wie, co odpowiedzieć. Bardzo by chciała, ale nie wie co. Frank zaś nigdy nie był aż tak szybki, żeby mieć od razu zdanie na temat tego, co przed chwilą usłyszał. Potrzebował czasu. Pewnie dlatego było mu łatwiej.

- Co jednak mają wspólnego jakieś greckie pożeraczki trupów z całkiem współczesnymi marsjańskimi sektami? - spytał. - Z tego, co wiem, sekty te posiadają własnych bogów, czy też jak tam to nazwać, i niespecjalnie przyznają się do powinowactwa z ziemskimi religiami.

- Jak zwał, tak zwał. Proszę pana, tu nie chodzi o nazwę. Świat - jakby to powiedzieć? - wyobrażeń mitycznych rządzi się własnymi prawami. Ludzie mogą różnie nazywać te same rzeczy. Nasi przyjaciele z towarzystw marsjańskich mogli nigdy w życiu nie słyszeć o kerach. Co nie znaczy, że one im się nie objawiają. To znaczy, że nie objawiają im się pożerające ciała demony, które my najlepiej znamy pod antyczną nazwą ker.

- Chwileczkę! - Natasza najwyraźniej trochę już ochłonęła. - Panowie, jak widzę, definitywnie uznali, że za nasze kłopoty odpowiadają jakieś upaprane błotem duchy. Pozwolicie jednak, że ja zachowam odrobinę więcej zdrowego rozsądku. Zostawmy na razie te wątpliwe dywagacje i wróćmy do celu naszej wizyty - marsjańskich sekt mistycznych. Czy mógłby nam pan, profesorze, przybliżyć trochę ten temat?

- Proszę bardzo, ale to niezwykle szerokie zagadnienie. Może, zanim rozpoczniemy, napiją się państwo jeszcze czegoś? Może czegoś mocniejszego?

- Ja prowadzę.

- A ja nie piję.

- Hm. Wobec tego naleję sobie sam.

Profesor Sonnenberg podszedł do barku. Frank dopiero teraz przyjrzał mu się dokładnie. Nie był wcale taki stary, jak mogło się wydawać na początku. Miał co najwyżej pięćdziesiąt kilka lat. Pewnie ten dom powodował, że na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie o wiele starszego niż w rzeczywistości. Wchodząc tu, podświadomie oczekiwało się kogoś wiekowego i nobliwego. Zwłaszcza że profesor był profesorem, a profesorowie powinni przecież być starzy.

- Tak. A zatem chcieliby państwo dowiedzieć się czegoś o kultach marsjańskich? - rozpoczął Sonnenberg. - To temat bardzo ciekawy, z pogranicza psychologii i nauk społecznych, można powiedzieć. Jeszcze dziesięć lat temu nikt nie przypuszczał, że takie zjawisko może się pojawić. Podróże w kosmos kojarzyły nam się z postępowaniem i nowoczesnością, a tu nagle zaowocowały czymś takim. I to w sytuacji, gdy tu, na Ziemi, zdajemy się coraz bardziej zapominać o mistycyzmie.

- Z psychologicznego punktu widzenia wytłumaczenie tego zjawiska wydaje się dosyć proste. Podróże na Marsa, jak państwo wiecie, są dosyć długie, trwają po kilka miesięcy. Przez te kilka miesięcy astronauta nie mają zbyt wiele do roboty - zajmują się głównie kontrolą urządzeń na statku i ćwiczeniami fizycznymi, żeby jak najlepiej znieść pobyt w stanie nieważkości. Tak długi okres monotonii, i to w warunkach całkowitego praktycznie odizolowania od życia ziemskiego, połączony z nienormalną sytuacją, w jakiej znajduje się ludzki organizm w stanie nieważkości, działa niezwykle destruktywnie na psychikę. Po jakimś czasie pojawiają się halucynacje, omamy wzrokowe i słuchowe, stany lękowe - w zasadzie pełny repertuar zaburzeń psychicznych. Co prawda spodziewając się, że takie niekorzystne zjawiska mogą występować, już od początku podróży na Marsa dokładano wszelkich starań, by astronauta byli osobnikami o bardzo dużej odporności psychicznej. W praktyce jednak okazało się, że nie ma ludzi aż tak odpornych, by mogli przeżyć tego typu lot bez żadnego szwanku.

- Sama podróż to jednak dopiero początek. Po niej astronauta trafia na jedną z załogowych stacji na Marsie, na których warunki tylko wydają się być lepsze. Co prawda utrzymywane są tam sztucznie pozory ziemskiej grawitacji i atmosfery, pojawiają się jednakże nowe utrudnienia. Przede wszystkim jest równie ciasno co na statku. Warunki bytowania są więcej niż spartańskie. Panuje podobna monotonia. Do tego dochodzi jeszcze czynnik, którego z początku nie doceniano - niezwykle, hipnotyczny wręcz wpływ marsjańskiego krajobrazu.

- Sytuację tę porównać można do tego, co spotyka na przykład ludzie mieszkających jakiś czas na Antarktydzie albo podróżujących po pustyni. Monotonny, martwy krajobraz pozbawiony jakichkolwiek śladów życia - drzew, przejawów działalności człowieka i tak dalej - do tego utrzymany w jednolitej czerwonej tonacji. W zasadzie trudno się dziwić, że po pewnym okresie wpatrywania się w takie widoki człowiek głupieje.

- Cały pobyt trwa zazwyczaj ponad rok. Tylko pierwsze tygodnie są ekscytujące. Nowe warunki, pierwsze wyjścia na zewnątrz, wdrażanie się do obowiązków - po tym czasie następuje nieunikniony okres nudy i rutyny. Wtedy właśnie zaczynają się kłopoty. Pojawiają się i nasilają zaburzenia psychiczne, które wystąpiły już w trakcie lotu. Zostają one dodatkowo wzmocnione, gdyż świeżo przybyli astronauta spotykają się na stacjach z ludźmi, którzy na Marsie przebywają już jakiś czas, a u których te objawy są znacznie silniejsze. Sprzyja temu wytworzenie się naturalnej w takich warunkach, bardzo silnej więzi wewnątrz

grupy. Ci ludzie przebywają przecież ze sobą dwadzieścia cztery godziny na dobę przez bardzo długi czas. Wszystko to prowadzi do stanu, który można by określić mianem zbiorowej psychozy.

- Nie istnieje żaden sposób, by temu zaradzić? - zapytał Frank.

- Problem polega na tym, że bardzo długo nic nie wiadano o takim stanie rzeczy. Wystąpienie jakichkolwiek zaburzeń świadomości dyskwalifikuje automatycznie astronautę, nic więc dziwnego, że fakty te były głęboko ukrywane przez samych zainteresowanych. Później, gdy pojawiły się pierwsze bractwa, utrzymywanie ścisłej tajemnicy zyskało jeszcze dodatkową, religijną motywację. W krótkim czasie zresztą bractwa te wyszły poza granice stacji marsjańskich. Astronauci, którzy z racji wieku bądź stanu zdrowia nie mogli już latać, otrzymywali pracę w ziemskich agencjach kosmicznych. To normalna procedura, która swym początkiem sięga jeszcze czasów pierwszych lotów.

- Tam, zajmując częstokroć bardzo wysokie stanowiska, nie tylko kryli kolegów, ale rozpoczęli też coś w rodzaju akcji misyjnej. Doszło do tego, że młodzi astronauta pierwsze wtajemniczenia otrzymywali jeszcze tu, na Ziemi, w trakcie szkolenia. Zanim władze zorientowały się, o co chodzi, było już za późno. W chwili obecnej proces zaszedł tak daleko, że należałoby podjąć kroki, które z oczywistych względów są niemożliwe - rozwiązać agencje i wymienić personel wszystkich stacji. Oraz rozpocząć od nowa nabór i szkolenie astronautów. Oznaczałoby to kilku, a nawet kilkunastoletnią przerwę w lotach i zaprzepaszczenie wielu lat pracy.

- Prawdziwe kłopoty rozpoczęły się jednak stosunkowo niedawno. Wraz z rozbudową stacji marsjańskich wzrastała również liczba astronautów potrzebnych do ich obsługi. Ponieważ okres aktywności zawodowej w tym fachu jest dosyć krótki - od pilotów statków kosmicznych wymaga się sprawności fizycznej wyższej niż od wyczynowych sportowców, a długotrwałe podróże rujną dość poważnie zdrowie - w krótkim czasie pojawiła się armia bezrobotnych astronautów, których ziemskie agencje kosmiczne nie były już w stanie wchłonać. Ludzie ci odchodzili „do cywila”, lecz nie potrafili dać sobie rady w normalnej rzeczywistości. Cierpieli na swego rodzaju syndrom „weterana” - nic nie było w stanie dorównać temu, co przeżyli tam, w kosmosie. Nic innego nie potrafili też robić. Czuli się jak marynarz na lądzie albo jak żołnierz, który wrócił z wojny - niepotrzebni, wykorzystani, zepchnięci na margines.

- Część z nich zaczęła szukać ratunku w marsjańskich kultach, których wkrótce stali się najzagorzalszymi wyznawcami, część zasilila szeregi organizacji przestępczych. Jedno zresztą nie wykluczało drugiego. Szukając tu, na Ziemi, tych samych stanów i przeżyć, których doświadczali w kosmosie, sięgnęli po narkotyki. W niedługim czasie opanowali ich rynek. Razem z narkotykami rozprowadzali także swoją wiarę, tworząc mieszkankę łączyć pierunującą.

- Nowi wyznawcy, których w ten sposób pozyskali, zmienili jednak dość wyraźnie oblicze ruchu. Przede wszystkim stracił on jednolitość. Dziś co melina, to inna sekta. Po drugie, i chyba ważniejsze, zdegenerował się - stał się o wiele bardziej brutalny i bezwzględny. Skłonny do sięgania po przemoc. Pojawiły się również pewne niepokojące zjawiska, które mnie, staremu specjalście od demonologii, najłatwiej byłoby wytłumaczyć interwencją Szatana. A już na pewno objawianiem się jakiejś siły dotąd głęboko uspięnej w ludzkiej

podświadomości, zagrzebanej tam pod tysiącletnimi warstwami kultury i cywilizacji, która teraz, jak zresztą już parę razy w historii, właśnie się uaktywniła.

Profesor Sonnenberg uśmiechnął się promiennie. Wiedział, że zrobił wrażenie na rozmówcach i sprawiło mu to wyraźną przyjemność. Z zadowoleniem pociągnął duży łyk ze swojej szklanki. Jego dobry nastrój dość niemiło kontrastował z ponurymi wizjami, które przed chwilą roztoczył, ale on zdawał się w ogóle tego nie dostrzegać.

- Czy są państwo usatysfakcjonowani moją opowieścią? Tego typu informacji poszukiwaliście?

- Tak. Najogólniej. Dziękujemy panu. Koniec końców nie powiedział nam pan jednakże, na czym polegają owe kultury. W co ci ludzie wierzą?

- O! To najmniej ciekawe. Koniec świata, apokalipsa, przetrwają tylko wybrani, trzeba przenieść życie na Marsa. Banał.

- A co z obrzędami opętania? - Natasza nie dawała za wygraną.

- Właśnie. Dobrze że pani o tym przypomniała. To jest w sumie najbardziej interesujące. Ludzie ci wierzą, że w trakcie specjalnych obrzędów kontaktują się z nimi za pomocą telepatii kosmici. Określają ich terminem „bracia” albo „nasi kosmiczni bracia”. Siebie też nazywają „braćmi”, co zapewne ma podkreślić ich szczególną łączność z mieszkańcami kosmosu. Seanse te, które członkowie sekt nazywają „kontaktem”, są z punktu widzenia religioznawstwa klasycznymi obrzędami opętania, czyli takimi, w czasie których we wtajemniczonego wciela się duch lub demon. W tym przypadku delikwenta opętuje nie demon, ale kosmita, i nie w wyniku działania nadprzyrodzonego, ale w wyniku kontaktu telepatycznego. Zasadniczo jest to typowe zracjonalizowanie dawnego wierzenia, mające przystosować je do współczesnych, dość niereligijnych czasów. Kosmici przekazują pewne prawdy czy też objawienia dotyczące natury świata i jego przyszłości.

- A co w tym jest takiego diabolicznego?

- Szkoda, że pani nie widziała takiego obrzędu - zaśmiał się profesor. - Albo człowieka opętanego przez któregoś z tych kosmitów. Nie zadawałaby pani takich pytań.

ROZDZIAŁ III

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł - mówiąc to, Frank miał dość niewyraźną minę.

Cicho szumiąc, winda wiozła ich na pięćdziesiąte piętro wielkiego mieszkaniowca przy placu Tolerancji. Cóż, ta dzielnica nie należała do najlepszych. Nawet w londyńskiej części Euro trudno byłoby znaleźć taki wygwizdów. Puste, kilkudziesięciohektarowe pole porośnięte takimi jak ta mieszkalnymi wieżami. Raczej nie mieszkała tu elita finansowa miasta.

- To ciągle nasz jedyny trop - odparła Natasza. - Jedna z ofiar zginęła w trakcie takiego obrzędu. Nie mamy innego punktu zaczepienia.

Frank z doświadczenia wiedział, że wszelkie dyskusje z Nataszą mijają się z celem. Była bardzo przywiązana do swojego punktu widzenia, a krytyka doprowadzała ją do pasji. Zaperzała się wtedy i trzeba ją było przeproszać. Znacznie prościej na wszystko się zgadzać.

- OK. Tak tylko mówię. Ale jesteś pewna, że nasza wizyta nie wzbudzi żadnych podejrzeń?

- Mój informator twierdzi, że to dość liberalny odłam. W zasadzie każdy może przyjść i popatrzeć. Trzeba tylko zostawić pewien datek na rzecz „domu”.

- No cóż, coś za coś.

Winda, lekko szarpnąwszy, stanęła. Drzwi rozsunęły się z metalicznym jękiem. Nadzór techniczny dawno tu nie zaglądał, pomyślał Frank. Takie budynki stawiano tuż przed zjednoczeniem, kiedy władze próbowały za wszelką cenę utrzymać wylewającą się ludność w granicach miast. W zjednoczonym Euro te powody straciły swoją ważność. Czego jak czego, ale przestrzeni teraz nie brakowało.

- Niezbyt przyjemne miejsce - zauważył Frank.

- Nie marudź.

Wyszli na klatkę. Takie widoczki miał okazję oglądać w dokumentalnych filmach z trzeciego świata. Obdrapane ściany popstrzone fluoroscencyjnymi napisami, popękane szyby w oknach, ślady ognia na drzwiach. W tym wszystkim znalazło się jednak miejsce na doniczkę z jakimś rachitycznymi kwiatkami. Widocznie ktoś próbował ucywilizować to miejsce.

- To chyba tu - niepewnie powiedziała Natasza. - Numer 3168.

Frank mocno nacisnął dzwonek. Potem jeszcze raz i jeszcze. Drzwi po chwili otworzyły się.

- Witajcie w Domu Ilariona. Wejście.

Człowiek, który to powiedział, odsunął się, a oni ruszyli w głąb mieszkania, przez nikogo nie pytani ani nie zaczepiani. Minęli ciemny przedpokój, kuchnię, z której dochodziły jakieś ostre zapachy, pokój, gdzie siedziała grupka niezbyt przytomnych już ludzi, aż doszli do największej sali, gdzie na zniszczonych kanapach, krzesłach i podłodze siedzieli przyszli uczestnicy obrzędu. Co najmniej kilka innych osób było tu równie nowych. Świadczyło o tym ich zachowanie – albo nadmiernie hałaśliwe, albo niepewne i wystraszone. Z boku, po prawej stronie, tuż pod oknem siedziała para, już na pierwszy rzut oka wyglądająca na turystów. Zaopatrzeni w małą kamerę i aparat, szeptem wymieniali jakieś uwagi i rzucali wkoło ukradkowe spojrzenia. Mężczyzna zdawał się być lepiej zorientowany. Z miną znawcy tłumaczył coś kobiecie, która słuchała z wyrazem nabożnego skupienia, jaki widuje się czasem u Niemców zwiedzających fabryki.

Z drugiej strony, prawie dokładnie naprzeciw nich, niedużą, za to niemiłosiernie zniszczoną kanapę okupowała grupa rozbawionych młodzieńców. Ubrani jak najmodniej, popijali piwo, co i raz wybuchając zduszonym śmiechem. W tym śmiechu dało się jednak wyczuć pewne napięcie, jakby starli się nim zagłuszyć zdenerwowanie i niepewność. Ani to zdenerwowanie, ani ta niepewność nie wydawały się jednak zbyt wielkie. Ot, po prostu – złota młodzież szuka silnych wrażeń. Pozostali uczestnicy – widocznie stali bywalcy – zachowywali pełen obojętności spokój.

– Kochani! – Człowiek, który to powiedział, wszedł do pokoju prawie niepostrzeżenie. – Zgodnie z tradycją przed rozpoczęciem uroczystości zbieramy datki na cel utrzymania przybytku. Niech każdy z was wejrzy w swoje serce i ofiaruje tyle, ile uważa za stosowne.

Kiedy to mówił, jedna spośród siedzących na podłodze kobiet wstała i z małym czytnikiem ruszyła w obchód. Za każdym razem, gdy któryś z uczestników przykładął do niego swoją kartę, mruzczała coś pod nosem i kiwała się do przodu w geście wyrażającym podziękowanie. Gdy zbliżyła się do Franka, ten popatrzył wymownie na Nataszę i uśmiechnął się przymilnie. Natasza westchnęła i sięgnęła do torebki. Po chwili na czytniku zaświeciła się dość spora suma. Trzymająca go kobieta mruknęła głośniej i kiwnęła się z większym rozmachem. Na ten widok człowiek, który stał ciągle na środku pokoju, popatrzył w ich stronę jakby uważnie.

Prawie w tej samej chwili zza ściany huknęła muzyka. Młodzieńcy, którzy siedzieli na kanapie, a którzy dotychczas nie przerwali pogaduszek, aż podskoczyli. Turysta z naprzeciwka machinalnie podniósł kamerę. Jego towarzyszka wytrzeszczyła oczy.

– Chodźcie! Chodźcie! – Mężczyzna stojący na środku pokoju podniósł ręce. – Przybądźcie, mieszkańcy wszystkich konstelacji! Niechaj się zacznie!

Rytm muzyki jeszcze przyspieszył. W powietrzu dało się wyczuć ostrą woń kadzidła. Siedzący pod ścianami ludzie, dotychczas obojętni, zaczęli cicho pomrukiwać i kiwać się z wolna w przód i w tył.

Frank i Natasza uważnie, acz dyskretnie rozglądali się po sali. Mężczyzna, który przewodził ceremonii, stał ciągle z podniesionymi rękoma. Ubrany był w zwykłe spodnie i koszulę wypuszczoną na wierzch. Długie włosy przewiązane miał na czole paskiem. Szpakowata i mocno zmierzwiona broda zakrywała mu twarz, na której widać było w zasadzie tylko oczy. Oczy, które zdawały się nie patrzeć.

Rytm muzyki ponownie uległ zmianie. Stał się jeszcze szybszy i jakby mniej regularny. Co jakiś czas pojawiały się w nim uderzenia, które sprawiały wrażenie zgrzytów, ale ich

regularność wskazywała, że były celowe. Do dudnienia dołączyły jakieś inne dźwięki. Potem jeszcze inne. Wszystko to prawdopodobnie było generowane w drugim pokoju. Musieli mieć tam niezłą aparaturę.

Na sali pojawił się kubek z jakimś napojem. Krążył z rąk do rąk niczym kielich w trakcie komunii. Frank i Natasza udali, że piją. Musiał w nim być jakiś lekki narkotyk, bowiem atmosfera wyraźnie się ożywiła. Niektórzy z siedzących na podłodze wstali. Odbywało się to zawsze bardzo gwałtownie, jakby coś nagle podrywało ich do góry. Mężczyzna stojący na środku opuścił ręce. Jako ostatni napił się z kubka. Tanecznie podrygując, zaczął powoli obracać się wokół własnej osi.

Wkrótce dołączyli do niego następni. Wirujący tancerze utworzyli okrąg. Nagle jeden z nich potknął się, zatoczył i upadł. Pozostali wydali cichy okrzyk i po chwili otoczyli go roztańczonym kręgiem. Leżący podrygiwał spazmatycznie, jakby ciągle starał się poruszać w rytm muzyki.

Po chwili wstał. Jego twarz zmieniła się, ściągnięte usta odsłoniły zęby. Zerwał z siebie koszulę, odsłaniając nagi tors.

- Jest! Jest! - dały się słyszeć głosy ludzi siedzących jeszcze pod ścianami. - Witaj, bracie!

Ale już następni tancerze odpadali z kręgu. Przewracali się, potem wstawali, zmieniając się w kolejnych „przybyszach”.

- Witaj! Witaj! Witajcie, bracia! - krzyki siedzących pod ścianami pełne były teraz entuzjazmu. Nie włączali się do tańca, lecz starali się wrzaskiem i przytupywaniem pobudzić tańczących do dalszego wysiłku.

Nagle Natasza lekko wsparła się o ramię Franka, a on popatrzył na nią ze zdziwieniem. Usta miała półotwarte, źrenice rozszerzone. Jej pierś podnosiła się i opadała gwałtownie.

Mocno, do bólu ścisnął ją za rękę. Popatrzyła na niego niewidzącym wzrokiem.

- Natasza! Nie odlatuj! - krzyknął jej do ucha - Natasza!

- Co się stało? - spytała, przytomniejąc. Muzyka ucichła. Wokoło siedzieli albo leżeli wyczerpani tańcem ludzie. Czuć było zapach potu.

- Chyba wcielił się w ciebie jakiś kosmita - zażartował Frank. - W każdym razie miałś lekki odjazd.

Ktoś otworzył okno. Na pięćdziesiątym pięttrze powietrze było czyste i rześkie. Zza ściany popłynęła zwykła, najzwyczajniejsza w świecie muzyka. Młodzieńcy z kanapy znów się ożywili. Śmiejąc się i przekrzykując, komentowali obejrzone przed chwilą wydarzenia. Turyści z naprzeciwka wyłączyli kamerę.

- Jesteście tu po raz pierwszy? - Człowiek, który prowadził ceremonię, stał tuż nad Nataszą. - Co was sprowadza?

- Ja i moja dziewczyna - mówiąc to, Frank odczuł dziwnie przyjemny dreszcz - zagubiliśmy się trochę we współczesnej cywilizacji. Życie tak szybko pędzi. Chcielibyśmy odnaleźć siebie - wydekłamał bez zająknięcia.

- Rozumiem was doskonale, dobrze trafiliście. Pani, odnoszę wrażenie, dostąpiła pierwszego kontaktu?

- Trochę źle się poczułam.

- Proszę zostać jeszcze chwilę. Porozmawiamy. Pan oczywiście też.

Pokój, w którym się po chwili znaleźli, nie wyglądał normalnie. Centralne miejsce zajmowało w nim wielkie lustro, pomazane farbami i obwieszona dziwnymi przedmiotami. W oknach wisiały wyjątkowo brudne rolety. Resztę pomieszczenia zastawiały dość biednie prezentujące się meble.

- Mam na imię Janusz - przedstawił się ich gospodarz. - Jestem opiekunem tego przybytku. Waszych imion nie chcę znać. Nie są mi one potrzebne.

Kiedy to mówił, nie patrzył na Franka ani na Nataszę. Nie patrzył w ogóle w żadne konkretne miejsce. Jego wzrok zdawał się być utkwiony gdzieś nad ich głowami.

- Była pani bardzo hojna w czasie dzisiejszego obrzędu - zwrócił się do Nataszy. - Świadczy to o otwartej i szczerzej duszy. Doznała też pani pierwszego kontaktu. Czy chciałaby pani dalej pogłębić swoją duchowość?

- Tak, bardzo. Ja i mój narzeczony od dawna już szukamy prawdy.

- Tak... - Mężczyzna popatrzył na Franka w sposób, od którego przechodziły ciarki po grzbiecie. - Pani narzeczony... Skieruję państwa w miejsce, gdzie znajdziecie to, czego szukacie. Nie zdziwcie się jednak, jeśli będą to zupełnie różne rzeczy.

ROZDZIAŁ IV

Porucznik Frank Quetzalcoatl James siedział przy swoim biurku, nerwowo bębniąc palcami w blat. Co i raz rzucał ukradkowe spojrzenia w kierunku Nataszy, jakby chciał jej coś powiedzieć, ale nie miał odwagi lub po prostu nie wiedział jak. W takich sytuacjach dobrze jest rozpocząć rozmowę od niezobowiązującego tematu, a dopiero potem przejść do rzeczy, która nas interesuje. Porucznik Frank Quetzalcoatl James wiedział o tym, za nic jednak nie potrafił wymyślić owego niezobowiązującego tematu. To znaczy parę już wymyślił, ale wszystkie bez wyjątku były głupie.

- Ładnie dziś wyglądasz - wypalił nagle ni w pięć, ni w dziewięć.

- No proszę. - Natasza spojrzała na niego bystro. - A tak w ogóle to czego chcesz?

- Słuchaj, myślę, że nie powinniśmy tam iść.

- Dlaczego?

- To wszystko jest bez sensu! Czym my się w ogóle zajmujemy? Jakieś sekty, kosmici, opętania. To już nie ma porządnych przestępstw w Euro? Weźmy tę sprawę z podrabianiem identyfikatorów parkingowych!

- Poruczniku James! Czyżbym słyszała w waszym głosie obawę?

- A tak! Czemu nie? Widziałaś, co oni tam wyprawiają? A ten szaman? To jakiś wariat! W ogóle mi się to nie podoba, mam złe przeczucia.

- Złe przeczucia nie są kategorią kryminalno-śledczą.

- Ale są kategorią, kurczę, nie wiem jaką... Słuchaj, a ten twój „kontakt”? Nie niepokoi cię to?

- Po prostu źle się poczułam. Było duszno, jeszcze to kadzidło... Zresztą, nie przesadzaj! Poradzę sobie.

- Jasne. Ty zawsze sobie radzisz.

- O co ci chodzi?

- O nic.

- O nic?

- O nic.

- Sam słyszałeś, co mówił profesor Sonnenberg. Te sekty opanowały rynek narkotyków w Euro! Otrzymaliśmy niepowtarzalną szansę, żeby wnikać w ich struktury. Nie mam zamiaru zmarnować najlepszej okazji w swojej karierze tylko dlatego, że się boisz!

- Nie boję się, po prostu...

- Niepokoisz się?

- Tak.

- Martwisz się?
- Tak.
- Dajmy na to, o mnie?
- Tak.
- Ty też ładnie dziś wyglądasz.

Cholera jasna!, zaklął w duchu porucznik Frank Quetzalcoatl James, choć zazwyczaj raczej tego nie robił. Co za pierdzielony los!, dodał po chwili. Natasza Wang oczywiście dopięła swego. Nie powinien się zresztą dziwić – zawsze dostawała to, czego chciała. Wąska wiejska droga, którą jechali, zdawała się nie mieć końca. U jej kresu znajdował się cel podróży – tajne centrum czegoś tam. Adres podał im rąbnięty szaman z mieszkaniowca przy placu Tolerancji.

Frank dawno już nie wyjeżdżał poza obręb Euro. Takie wycieczki zawsze robiły na nim dziwne wrażenie. Jak wyprawa na odległą planetę czy coś w tym stylu. Jakoś tak się ostatnio porobiło, że mieszkańcom Euro o wiele łatwiej było wyjechać na Karaiby czy choćby w Himalaje, niż wybrać się za miasto. O wiele łatwiej i o wiele naturalniej. No bo po co wyjeżdżać za miasto? Co tam można takiego znaleźć? Samo pojęcie „za miastem” brzmiało już jakoś nieprzyzwoicie.

Dla człowieka mieszkającego w Eurocity myśl, że jest jakieś „za miastem” i że, co gorsza, ktoś tam jeszcze żyje, była w najwyższym stopniu niepokojąca. Co innego Karaiby! Na Karaiby leciało się samolotem startującym z jednego lotniska, by wylądować na drugim, dokładnie takim samym, po czym trafiało się do któregoś z hoteli do złudzenia przypominających hotele w Euro. Co więcej, hotel ten stał koło innych hoteli, które stały koło innych hoteli, które wreszcie stały koło innych hoteli. Krótko mówiąc, turysta trafiał do takiego samego miasta jak Euro, tylko położonego nad ciepłym i przejrzystym południowym morzem. Karaiby też w jakiś sposób należały do Euro, były tylko trochę dalej. To samo można powiedzieć o innych rejonach, gdzie tradycyjnie wyjeżdżało się na wakacje.

Co innego wieś. Już sama horyzontalność krajobrazu pozbawionego pionowych struktur wzbudzała niepokój. Do tego jeszcze ten przytłaczający brak ludzi. Żeby chociaż stu! Niechby choć pięćdziesięciu, stłoczonych w jednym miejscu! Śpieszących się, potrącających, zdenerwowanych. Nic z tego! Wieś, trzeba to sobie uczciwie powiedzieć, była obrzydliwie niezaludniona.

Tak na dobrą sprawę Frank nie wiedział, czy w ogóle ktoś tam jeszcze mieszka. Rolnictwo już dawno osiągnęło taki poziom automatyzacji, że do jego obsługi wystarczała niewielka garstka pracowników, którzy i tak dojeżdżali z Euro lub innych dużych miast. Międzynarodowe porozumienia zakazywały zresztą Europie produkowania zbyt dużej ilości żywności, by wspomóc kulejące gospodarki państw ubogiego południa, dla których eksport stanowił jedno z podstawowych źródeł dochodu. Kto wobec tego pozostawał? Jacys mistycy, outsiderzy, ekolodzy (tych raczej niewielu – ekolodzy, jak wiadomo, mieszkają głównie w miastach) – to wszystko.

- Daleko jeszcze? – pytanie, które zadał, Frank było głupie, ale przynajmniej nawiązywało rozmowę.

- Nie wiem. – Najwyraźniej Natasza też miała dość tej ciszy. – Całkiem tracę tu orientację przestrzenną. Równie dobrze moglibyśmy lecieć na Marsa. – Zaśmiała się nagle.

- Głupi żart – burknął zirytowany Frank. – Jesteś pewna, że działają tu nasze pluskwy?

- Nie przesadzaj z tym malkontenctwem! Wiesz przecież, że moglibyśmy siedzieć w Afryce w dupie u słoniu, a i tak centrala by nas namierzyła.

Nie ma co, Natasza potrafiła człowieka przekonać. Przekonać, pocieszyć i podnieść na duchu. Czy ona nigdy nie ma wątpliwości?, zadał sobie pytanie Frank. Wyglądało na to, że nigdy.

Droga, którą jechali, była równa, prosta i bardzo dobrze oznakowana. Po obu stronach ciągnęły się idealnie wystrzyżone żywopłoty. Jednostajnie falujące zbożem pola wyglądały jak plastikowe. Nieomal miało się wrażenie, że przed chwilą ktoś je rozwinął z wielkich bel, jak sztuczną trawę na boisku.

- Cały ten cholerny kontynent wygląda jak jakiś pieprzony ogródek! – Frank nie mógł przestać się irytować. – Wszystko przystrzyżone, wymuskane, ścieżki wysypane żwirkiem. Rzygać się chce!

- Wyjedź do Afryki. Miła odmiana.

W samochodzie zaległa cisza. Frank kierował, Natasza wpatrywała się w ekran monitora, przeglądając jakieś materiały. W oddali pojawiły się pierwsze elektrownie wiatrowe – znak, że niedaleko jest już morze. Po chwili na końcu drogi Frank dostrzegł coś, co wyglądało jak stara, opuszczona farma. Wielkie silosy zbożowe widoczne były już z daleka. Gdy pojechali bliżej, ich oczom ukazały się monstrualnie długie hale, ogromne, cylindryczne zbiorniki, dźwigi i suwnice.

- Nie ma to jak na wsi – powiedział z przekąsem Frank. – Jesteśmy na miejscu.

Parking przed długim budynkiem, wyglądającym jak dawna chlewnia, zapchany był samochodami. Miejsce do parkowania wskazał im osobnik, którego aparycja i zachowanie niedwuznacznie świadczyły, że nie jest tu po to, by pobierać opłaty za postój. Inny człowiek poprowadził ich w kierunku budynku. Strażnik trzymający wartę przy wejściu na dźwięk hasła wymówionego przez Nataszę uśmiechnął się lekko i zdawkowym gestem zaprosił ich do środka. Przeszli przez spore, blaszane drzwi i znaleźli się w jasno oświetlonym korytarzu. Jego ściany lśniły wprost nowością, co mocno kontrastowało z dość zaniedbanym wyglądem budynku na zewnątrz. Po chwili dotarli do wielkiej, przyciemnionej sali pełnej ustawionych w równe rzędy plastikowych krzeseł, w większości już zajętych przez uczestników spotkania. Część z nich, zarówno kobiety jak i mężczyźni, co Frank zauważył nie bez satysfakcji, ubrana była w kurtki z charakterystycznymi naszywkami agencji kosmicznych.

- Usiądźcie tutaj. – Kolejny mężczyzna z uśmiechem wskazał im miejsce. – Zaraz się rozpocznie.

Z przodu sali wznosiło się coś na kształt trybuny. Jej centralne miejsce zajmował wielki ekran, na którym już teraz odbywała się projekcja. Ciąg obrazów, pozornie bez związku, z których większość stanowiły wielokrotnie spiętrzone i przenikające się nawzajem skomplikowane wzory geometryczne, przeplatany był co i raz zdjęciami gwiazd, galaktyk i symbolami znaków zodiaku. Filmowi towarzyszyła cicha, lecz doskonale słyszalna muzyka, jaką zazwyczaj nadaje się w hotelowych windach. Muzyka, która zadaje się mówić: „jest dobrze, niczym się nie przejmuj, za chwilę znajdziesz się w barze”.

- Staraj się nie patrzeć na ekran – głos Nataszy wyrwał Franka z dość przyjemnego, musiał to przyznać, stanu. – Te migające obrazki mogą wprowadzać w stan hipnozy. W

każdym razie, skoro je puszczają, muszą mieć w tym jakiś cel, a my nie zamierzamy przecież im pomagać w jego osiągnięciu.

Frank posłusznie oderwał wzrok od ekranu. Dla odmiany (na coś przecież trzeba było patrzeć) zajął się analizą wyglądu sąsiadów. Część z nich, o czym świadczyło ich niespokojne i nerwowe zachowanie, znajdowała się tu po raz pierwszy. Byli oni jednak, jak zauważył Frank, rozproszeni w masie innych, daleko pewniej wyglądających ludzi. Ponieważ każdy nowoprzybyły zajmował miejsce zgodnie ze wskazaniem obsługi, takie usadzenie mogło być celowe i spełniać jakąś ściśle określoną funkcję.

Wygląd i ubiór uczestników spotkania wyraźnie wskazywał, że należą oni raczej do osób dobrze sytuowanych. Wyjątek stanowili osobnicy w kurtkach z naszywkami kosmicznych agencji – przynajmniej część z nich sprawiała wrażenie dość zaniedbanych.

Nagle muzyka ucichła. Scenę zalało ostre światło reflektorów, a na ekranie pojawiła się wielka twarz.

- Witamy wszystkich braci! Cieszę się, że dotarliście bezpiecznie, by jak co miesiąc wziąć udział w naszym zebraniu. Bądźcie cierpliwi – On za chwilę się pojawi! Szczególnie ciepło chciałbym powitać naszych nowych braci i siostry, którzy są dziś z nami po raz pierwszy. Kochani, okażmy im miłość i przyjaźń!

Na sali rozległy się oklaski. Frank dopiero teraz zauważył, że twarz na ekranie należy do pewnego niewielkiego mężczyzny, który stoi z boku sceny i mocno wymachuje rękami. Próbując mu się przyjrzeć dokładniej, uniósł się trochę z krzesła. Twarz z ekranu natychmiast to zauważyła.

- Tak! Tak! – mały człowieczek wrzasnął entuzjastycznie. – Oto jak silna jest w nich chęć poznania prawdy! Wprost nie mogą usiedzieć na miejscu! Jak się nazywasz i skąd przybywasz, bracie? – krzyknął, wskazując palcem Franka.

Frank niepewnie przełknął ślinę i rozejrzał się wokół. Wszystkie oczy zwrócone były teraz na niego. Powoli wyprostował nogi, przełknął ślinę jeszcze raz, nabrał powietrza w płuca i odpowiedział:

- Nazywam się Frank i przybywam z Eurocity, z rejonu brukselskiego. – Mimo że mówił niezbyt pewnie, jego głos brzmiał donośnie w całej sali. Mają tu niezły sprzęt, pomyślał.

- Co cię do nas sprowadza? – niewysoki jegomość darł się coraz głośniejsze.

- Ja i moja narzeczona poszukujemy sensu. Współczesna cywilizacja nas rozczarowała.

- Czy słyszycie?! Poszukują sensu! – wprost wypluwał gardło. – Czy go znajdują? Powiedźcie, czy go tu znajdują?!

- Tak! – odezwały się zewsząd głosy.

- Nie słyszę was!

- Tak, znajdują!

- Jasne że znajdują! Oczywiście że znajdują! Po stokroć i po tysiącokroć, znajdują! Nie obawiaj się, bracie – zwrócił się znów do Franka. – Usiądź i otwórz swój umysł. I przygotuj się na wielkie rzeczy!

Frank usiadł z ciężkim westchnieniem ulgi. Czuł, że drżą mu kolana. Spojrzał na Nataszę, a ona uśmiechnęła się do niego.

Mały człowieczek kontynuował przedstawienie.

- Przez ten miesiąc, kiedy się nie widzieliśmy, przybyło nam wiele nowych objawień. Nasi kosmiczni bracia byli dla nas łaskawi. Czy ktoś z was chce się podzielić z nami prawdą, którą zdobył?

- Tak! Tak! - Kilka osób podniosło ręce.

- Może ty, siostrze! - wrzeszczący konferansjer wskazał kogoś w drugim rzędzie.

- Ujrzałam wielką ognistą kulę, pochłaniającą Ziemię! - Kobieta, która wstała, była wysoka i chuda, a głos załamywał się jej ze wzruszenia. - Wylatywały z niej jak pochodnie skrzydlate duchy. Gdzie który przysiadł, tam pola i miasta zalewało morze krwi.

- Brawo! Świetnie! - Po sali przeszedł pomruk uznania. - A ty, bracie? - Prowadzący wskazał kogoś w głębi sali.

- Byłem Demonem Zagłady, który spadał jak meteor na tych, którzy nie wierzą!

- Czy czułeś dla nich litość?

- Nie, gdyż wiedziałem, że krzywdzą moich braci!

- Tak! Ludzie, którzy nie uwierzyli, krzywdzą was i obrażają swoją pogardą! Nie ulękniemy się jednak ich śmiechu! Nadejdzie dla nich dzień zapłaty!

- I sądu! - ktoś krzyknął.

- I sądu! - podchwycił człowieczek. Na sali rozbrzmiały gniewne okrzyki poparcia.

- Ja! Ja! - jakiś piskliwy głosik starał się przebić przez coraz większy hałas.

- Proszę! Siostra Sandra! Słuchamy, siostrze!

- Ujrzałam świetlisty raj Czerwonej Planety! Wielkie kopuły, pod którymi żyją Wybrani! Nie było tam zbrodni ani występku. Wszyscy pławili się w dostatku i szczęściu. Mężczyźni i kobiety piękni jak bogowie!

- Czy widziałaś tam śmierć?

- Nie, gdyż dzięki zaawansowanej technice byli nieśmiertelni!

Na sali zapanował entuzjazm. Teraz dopiero stało się jasne, dlaczego nowi przybysze zostali posadzeni wśród starych członków sekty - powszechne podniecenie udzielało się w sposób nieodparty świeżo upieczonym adeptom. Frank i Natasza oczywiście starali się dostosować do tej ogólnej tendencji - krzyczeli, wymachiwali rękami, klaskali - kto wie, może nawet z większym zacięciem niż pozostali.

- Tak! Będziemy nieśmiertelni! Będziemy piękni jak bogowie! - krzyczący wodzirej przechodził samego siebie. - Albowiem to my jesteśmy Wybranymi! Nam powierzony został skarb prawdy wszystkich konstelacji! Czy czujecie ten zapach? Czy czujecie ten zapach?! Są między nami Oni!

- Aaaaaa!!! - Ktoś, chyba siostra Sandra, z krzykiem upadła na podłogę.

- Nie czas jeszcze, bracia, nie czas! - pobażliwie zgał ją człowieczek. - Siostra Sandra jak zwykle pierwsza - dodał z uśmiechem. Kilku ludzi natychmiast podbiegło do wijącej się na podłodze kobiety i zaczęło ją cucić przy pomocy wody. Krzyki po chwili umilkły.

- A oto Ten, na którego wszyscy czekamy!

W jednej chwili wszystko ucichło. Reflektory zgasły, na scenie pozostał tylko ostry krąg światła, w obrębie którego stało zwykle krzesło. Po chwili oczekiwania, w trakcie której niemalże wszyscy wstrzymywali oddech, w świetle pojawił się człowiek - wysoki, postawny mężczyzna o twarzy poważnej i pełnej niezachwianej pewności. Na oko przekroczył już

czterdziestkę, lecz jego chód i gesty emanowały siłą i lekkością, jakie zwykle charakteryzują ludzi niegdyś bardzo sprawnych fizycznie. Ubrany był w starą kurtkę ozdobioną, jakże by inaczej, naszywkami agencji kosmicznych.

- Witajcie, bracia! Wasz widok jak zwykle sprawia mi wielką radość – odezwał się mocnym, dźwięcznym głosem. W odpowiedzi sala wybuchła radością i entuzjazmem. Ludzie wstawali z krzeseł, krzyczeli i bili brawo. Trwało to wszystko dobrych kilka minut. Po chwili mężczyzna podniósł rękę i wszyscy, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, umilkli.

- Przywołuję w pamięci dzień – zaczął mężczyzna – gdy po raz pierwszy otworzyły się przede mną wrota prawdy. Było to w czasie mojej pierwszej podróży na Marsa. Broniłem się przed tą prawdą, odganiałem od siebie, nie chciałem jej przyjąć, jak czasem nie chce się przyjąć miłości. Czyż można jednak odpędzić prawdę, gdy nas wybierze? Wy, wy, moi kochani, nie stawiajcie jej oporu! Przyjmijcie ją w siebie, skądkolwiek przybędzie – z Aldebarana czy z Konstelacji Lwa, z głębi czarnych słońc czy z mgławicy Magellana. W ten sposób mówią do was Władcy Wszechświata, ci, którzy zasiali kiedyś życie na tej niegodnej planecie, bogowie!

Widownia słuchała w skupieniu i ciszy. Widać było, że choć niektórzy słyszeli to już nie raz, wcale im to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, spijali każde słowo z ust mężczyzny, jakby wyjawiał im właśnie liczbę, która w przyszłym tygodniu wygra na loterii.

- W otchłani kosmosu, gdzieś u kresów wszechświata jest miejsce, skąd pochodzą do nas wszystkie wizje – mężczyzna przybrał ton, jakim zazwyczaj prawi się kazania. – Mieszkają tam potężne istoty, nasi kosmiczni bracia. Oni to, przed milionami lat, przybyli tu, na Ziemię i uczynili z nas – żalosnych zwierząt jedzących kał i tarzających się w padlinie – istoty myślące. Oni to zaszczepili nam cywilizację, pokazali, jak uprawiać ziemię, włożyli do ręki pierwsze narzędzia. Zostawili też Wiedzę. Wiedzę, którą nasi dziadowie i pradiadowie hołubili jak najcenniejszy skarb, a którą nasi ojcowie wzgardzili. Obiecali, że wrócą i zostawili nam swoje Znaki, abyśmy o tym nie zapomnieli – piramidy w Egipcie, Wielki Mur w Chinach, posągi na Wyspie Wielkanocnej. A jednak zapomnieliśmy.

Chwila ciszy, która nastąpiła, nie trwała długo. Mężczyzna powiódł wzrokiem po zebranych, zaczerpnął powietrza i nagle krzyknął:

- Zapomnieć łatwo, lecz raz zasiane ziarno wykiełkuje, choćby i po tysiącu lat! Ziarno to wykiełkowało we mnie!

Mężczyzna odetchnął i powrócił do poprzedniego tonu:

- Mija właśnie piętnaście lat, odkąd zawieszony w międzyplanetarnej pustce, w statku lecącym na Marsa, po raz pierwszy usłyszałem Głos. Głos ten odzywał się potem do mnie wielokrotnie, objawił mi rzeczy wielkie i straszne, ale pokazał też drogę wybawienia. Bogowie wróć! Ziemię czeka zagłada! Ocaleją tylko Wybrani!

Po sali przeszedł jęk. Z różnych stron dało się słyszeć stłumiony szloch, ciche okrzyki i westchnienia. Frank poruszył się niespokojnie na krześle.

- W kogo on właściwie wierzy? – szeptem zapytał Nataszy. – W bogów, czy w kosmitów?

- W kosmitów, którzy są bogami. Albo odwrotnie. Przecież to proste, Frank! – Natasza uśmiechnęła się leciutko kącikami ust.

Tymczasem katecheza trwała nadal.

- Ziemię czeka zagłada... - mężczyzna na scenie dramatycznie zawiesił głos - ...gdyż ludzie, jej właściciele, nie spełnili pokładanych w nich nadziei! Nasza planeta była wielkim laboratorium, laboratorium, w którym, niczym w alchemicznej retorcji, narodzić się miało złoto prawdy i szczęścia! Ludzie jednak zawiedli! Dostali do rąk wszystko, czego tylko potrzebowali, i wszystko to roztrwonili. Nadchodzi jednak czas rozliczenia! Oddadzą wszystko, co otrzymali, a nawet jeszcze więcej! Nie zostanie im nic, nawet oni sami!

Teraz płacz był już prawie powszechny. Frank ze zdumieniem obserwował statecznych obywateli, dobrze ubranych i porządnie wyglądających, płaczących jak małe dzieci. Młodzież z kolei, zazwyczaj ironiczna i sceptyczna, tym razem ryczała wprost jak bobry.

- Ale nie bójcie się! - dotychczas raczej cichy, choć dobitny głos mężczyzny przeszedł nieomal w krzyk. - Nie macie się czego obawiać! Ci, którzy uwierzyli, ci, do których przemówili nasi bracia - oni przetrwają! Powstanie Nowa Ziemia, Ziemia na Marsie! Wspanialsza, piękniejsza i sprawiedliwsza niż ta! Ziemia dla Wybranych! Dla was i tylko dla was! Ja was tam poprowadzę!

- O w mordę... - mimowolnie wyszeptał Frank.

Nagle światło na scenie zgasło. Wielki ekran, na którym dotychczas widoczna była twarz mężczyzny, buchnął naraz feerią kolorów i kształtów. Zewsząd rozległo się szaleńcze dudnienie muzyki.

- Bracia, przybywajcie!!! - głos mężczyzny przebił się przez hałas niczym grzmot.

Przez zgromadzonych na sali ludzi przeszedł jakby prąd. Momentalnie, prawie w tej samej chwili, kilku z nich osunęło się na podłogę. Dały się słyszeć wrzaski, niektóre krótkie i urywane, inne przeciągłe. Wielu ludzi wstało. Prawie wszyscy coś mówili, płakali albo łapali się za włosy.

- Uciekajmy stąd, Natasza! To jacyś wariaci! - przerażony Frank prawie krzyczał partnerce do ucha.

Z Nataszą coś się jednak działo. Jej oczy, szkliste i szeroko otwarte, patrzyły gdzieś w przestrzeń. Nie reagowała na nic.

- Natasza! Natasza! Chodźmy stąd! - Chwycił ją za rękę i, roztrzaskując ludzi i przewracając krzesła, siłą wywłókł na zewnątrz. - Co jest z tobą, do cholery! - krzyknął już na dworze.

- Nic, nic... - Zamrugnęła oczami i popatrzyła na niego półprzymtomnie. - Zaraz mi przejdzie.

- Przejdzie, nie przejdzie, zmywamy się stąd! Dość już dziś zobaczyłem!

- Poczekaj! - Natasza oprzytomniała i mocno chwyciła go za rękę. - MUSIMY zobaczyć, jak to się skończy!

Nikt na szczęście nie zwrócił uwagi na ich nagłe wyjście. Nawet dziwni, kręcący się wszędzie mężczyźni, wyglądający na straż lub służbę porządkową, zajęci byli zupełnie czym innym. Na sali raz za razem ktoś doświadczał „kontaktu”. Mężczyźni podbiegali do takiej osoby, chwyтали ją pod ramiona i odciągali na bok. Niektórych kładli pod ścianami, innym pozwalali stać lub podrygiwać w niby-tańcu. Natasza i Frank weszli niezauważeni, po czym stanęli w ciemnym kącie, starając się nie rzucić w oczy. Powoli wszystko ucichało. Na sali, jak na pobojuwisku, leżeli lub siedzieli półprzymtomni ludzie. Muzyka przestała grać. Zgasł ekran, a zamiast niego pojawiło się światło na widowni. Ktoś otworzył wielkie, blaszane drzwi z boku sali, wpuszczając do środka świeże powietrze.

- Jesteście nowi, prawda? - Człowiek, który podszedł do Franka i Nataszy, należał do grupy mężczyzn pilnujących porządku. - Witamy na naszym spotkaniu! Szef prosi was do siebie.

Ruszyli za nim. Jak się okazało, za podwyższeniem były drzwi, które prowadziły do dalszych pomieszczeń. Razem z Frankiem i Nataszą szli inni nowicjusze. Frank z niepokojem patrzył na partnerkę. Wszystko jednak wskazywało, że jest już zupełnie spokojna.

- Tędy proszę! - Mężczyźni wprowadzili ich do sporego pomieszczenia, które niegdyś musiało służyć jako biuro. Wszystko było już przygotowane na ich przybycie - na podłodze stały w półokręgu krzesła, a na stoliku przy ścianie automat z kawą, ciasteczka i napoje. Na końcu pokoju znajdowało się biurko, przy nim pusty fotel.

- Proszę się częstować, szef zaraz się zjawi - zaproponował mężczyzna, który stanął przy biurku. Przybyli hurmem ruszyli ku stolikowi z napojami. Widać było, że przynajmniej niektórym z nich kawa lub szklanka zimnej wody bardzo się przyda. Spocone twarze, nie do końca przytomne jeszcze oczy, niepewne ruchy - taki widok przedstawiała większość z nich. Frank chyba jako jedyny wyglądał normalnie.

- Chcesz kawy? - zapytał Nataszy.

- Bardzo proszę.

Łapczywie chwyciła kubek i spojrzała na Franka z wdzięcznością. Nie ma za co, pomyślał i uśmiechnął się do niej.

Tymczasem drzwi po drugiej stronie pokoju otworzyły się i do środka wszedł mały człowieczek. Głośno się witając, podszedł do biurka i usiadł w fotelu. A więc to jest szef!, pomyślał nie bez zdziwienia Frank. Oczekiwał raczej płomiennego proroka. Ci, którzy jeszcze nie siedzieli, w pośpiechu zajęli miejsca.

- Witajcie, bracia! Cieszę się, że do nas trafiliście! Wy też, mam nadzieję, odczuwacie dzisiejszego dnia radość. Oto bowiem rozpoczęło się dla was nowe życie! Przedtem byliście jak ślepy, a dziś przejrzelście! Wczoraj jeszcze byliście samotni, dziś zyskaliście nową, kochającą rodzinę. Rodzinę, która już nigdy was nie opuści!

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak groźba, lecz nikt najwyraźniej nie zwrócił na to uwagi. Mały człowieczek kontynuował:

- Wszystko, co dziś ujrzelście, to zaledwie przedsmak tego, co może was czekać. Uczestnictwo w dzisiejszym spotkaniu to tylko pierwszy stopień wtajemniczenia. Dla tych, którzy pragną pogłębić swoją duchowość, którzy chcą dalej kroczyć po szczeblach astralnej harmonii, aby osiągnąć status prawdziwie Wybranego, mamy przygotowane specjalne kursy. Pozwolą wam one doświadczyć rzeczywistej jedności z kosmosem, przekażą też prawdziwą Wiedzę, Wiedzę, która uczyni was wolnymi. Wszystko to za naprawdę znikomą opłatą. Można płacić kartą.

- Czy spotkamy wtedy ponownie tego... człowieka? - spytał nieśmiało ktoś z siedzących.

- Pan Karloff - mały człowieczek nadał głosowi ton pełen najwyższego szacunku - czuwa nad wszystkim osobiście.

ROZDZIAŁ V

- Nebojsza Karloff, pilot kosmiczny pierwszej klasy. - Frank Quetzalcoatl James w obecności przełożonych zawsze czuł się niepewnie. - Niekarany, nienotowany. Zaliczone cztery pełne podróże na Marsa. W sumie prawie dziesięć lat w marsjańskich bazach. Zwolniony ze służby sześć lat temu z powodu niezaliczenia okresowego testu wydolnościowego. Bez powodzenia ubiegał się o pracę w ziemskich strukturach agencji kosmicznych. Powodu odmowy nie podano.

- Hm... - Komendant Aleksanderski podrapał się po szyi. - I to jest ten wasz prorok?

- Tak, panie komendancie. - Natasza Wang również nie wyglądała na zbyt pewną siebie.

- Nie mamy o nim wielu informacji. Sądzymy jednak na podstawie zebranych danych - spojrzęła na Franka, jakby szukając u niego poparcia - że jest on przywódcą bardzo niebezpiecznej grupy przestępczej, która pod pozorem aktywności religijnej prowadzi działalność psychodestrukcyjną i zajmuje się rozprowadzaniem narkotyków.

- Nie macie na to zbyt wielu dowodów. - Komendant popatrzył na nią, jakby myślał o czymś zupełnie innym. - Analiza nagrań, jakich dokonano podczas waszego pobytu w tym ich centrum, nie może stanowić podstawy do żadnego oskarżenia. Nie ma tam ani słowa o narkotykach. Prawo, póki co, nie zabrania być wariatem.

- Jednak w czasie naszego poprzedniego pobytu w jednostce terenowej sekty, w tak zwanym „Domu Ilariona”, zebrani raczyli się napojem na bazie narkotyków - Frank zawsze, gdy rozmawiał z przełożonym, mimowolnie przybierał nienaturalnie oficjalny ton. - Widzieliśmy to na własne oczy, komendancie!

- A piliście ten napój?

- Nie, udawaliśmy tylko.

- No właśnie. To skąd wiecie, że były w nim narkotyki? Może to było wino, herbata ziołowa albo, czy ja wiem, wywar z buta? Zabezpieczyliście próbkę?

- Nie było warunków.

- Nie było warunków. Oj, dzieci, dzieci! I czego wy ode mnie chcecie? Żebym wam dał jednostkę antyterrorystyczną i autobus sprzętu? Na podstawie takich marnych danych?

- Jednak profesor Sonnenberg...

- Profesor Sonnenberg, pani Nataszo, podzielił się z wami swoimi hipotezami naukowymi. Nikt nikogo jeszcze nigdy nie skazał, mając za dowód jedynie hipotezy naukowe.

- Czy to znaczy, że odbiera nam pan tę sprawę?

- Ależ skąd. Proszę się tak od razu nie unosić. Nie możemy mimo wszystko lekceważyć takich sygnałów. Pracujcie dalej. I przyjdźcie do mnie, jak będziecie mieli coś konkretnego.

- Zreasumujmy. - Frank starał się pocieszyć Nataszę, jak tylko mógł, najłatwiej zaś było to zrobić, zmuszając ją do pracy. - Wiemy, że coś jest na rzeczy, ale nie wiemy co. Nie mamy żadnych dowodów ani żadnego obiecującego zaczepienia. Jedyne, co nam pozostaje, to dalej prowadzić inwigilację. Wchodzić głębiej w to bagno, macając po omacku nogą w poszukiwaniu twardego gruntu. Naprawdę chcesz to ciągnąć? - zapytał w przyplywie nagłego zniechęcenia.

- Tak. - W głosie Nataszy pobrzmiwała dziwna determinacja. - Nie wiem, o co chodzi, ale czuję, że nie mogę tego tak zostawić. Śniło mi się... Zresztą nieważne. Po prostu muszę... muszę to rozgryźć. Nie wiem, dlaczego, ale muszę!

- W takim razie - westchnął Frank - przydałby nam się jakiś spektakularny przełom w śledztwie.

- Powtórz, powtórz to jeszcze raz! - gorączkowała się Natasza. - Gdzie go znaleźli?

- W mieszkaniu w Starym Paryżu. - Frank lubił patrzeć na Nataszę, kiedy była w takim stanie. - Kompletny przypadek. Wezwano policję do jednego z mieszkań obok. Jakiś naćpany dziesięcioletek katował rodziców. Zajechali z pełną pompą - syreny, światła, megafon - na takich gówniarzach zawsze robi to wrażenie. To musiało ich przepłoszyć.

- I co? I co? - Nataszaomalże nie podskakiwała na siedzeniu samochodu.

- I nic. Wjeżdżają na górę, patrzą, a tu uciekają jacyś goście. Rzucili się za nimi - taki policyjny odruch bezwarunkowy. Tamci zwiali, ale zostawili cały bajzel - mieszkanie wyglądające jak nielegalna chińska ubojnia. Taka z bufetem na miejscu.

- I naprawdę...?

- Nie wiem. Pojedziemy, zobaczymy.

Stary Paryż był w całości zamknięty dla ruchu - co oczywiście nie dotyczyło samochodów ze specjalną identyfikacją. Mimo to przedzieranie się przez zbity tłum amerykańskich, azjatyckich i arabskich turystów nie należało do najprzyjemniejszych doświadczeń. Zanim dotarli na miejsce, Frank cały się spocił, i to pomimo włączonej antystresowej klimatyzacji.

- To tu. - Spojrzał na monitor na desce rozdzielczej. - Czwarte piętro.

Cały teren otoczony już był policyjnymi zaporami. Rozstawiano właśnie bramki identyfikujące i czytniki kodów. Jeden z czytników metodycznie omiatał tłum gapiów rejestrujących wszystko miniaturowymi kamerami. Ogromny wóz laboratoryjny stał nieco z boku.

- Witam, sierżant Dżamila Ghat. - Wysoka kobieta w mundurze służb antyskażeniowych w pierwszej kolejności podała rękę Nataszy, jakby bezwiednie uznała ją za szefa.

- Co tu robi straż? - zdziwiła się Natasza. - To chyba robota dla policji.

- Miejsce zdarzenia wyglądało tak, że wasi ludzie na wszelki wypadek wezwali nas i antybioterrorystów. - Sierżant Dżamila uśmiechnęła się promiennie. - Naprawdę dawno nie widziałam czegoś podobnego, a służyłam w czasie akcji ratunkowej w tunelu pod Kanałem - dodała z dumą.

Prowadzeni przez panią sierżant, wjechali na czwarte piętro. Ciemny korytarz zawiódł ich na miejsce. Cała policyjna maszyna była już w ruchu. Roboty zabezpieczające skanowały ściany i meble w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów, detektor zapachów buczał cicho w pobliżu przewodu wentylacyjnego. Policyjni specjaliści ubrani w obojętne chemicznie kombinezony wchodzili właśnie do pomieszczenia na końcu korytarza.

- Czuwaj! - Pokryty tatuażami blondyn w policyjnym mundurze najwyraźniej dowodził akcją. - Niezłą mamy tu jatkę. Wy prowadzicie tę sprawę?

- Mamy nadzieję znaleźć tu interesujące nas szczegóły - odpowiedziała wymijająco Natasza.

- O, szczegółów mamy pod dostatkiem - zaśmiał się wesoło. - Można nawet powiedzieć, że aż za dużo. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, ile ciekawych rzeczy można zrobić z ludzkim ciałem! Za to właśnie lubię swoją pracę - człowiek ciągle się czegoś uczy.

Podeszli w milczeniu do drzwi. Za białoczerwoną linią, która oddzielała teren, na który nie wpuszczano nikogo bez specjalnego ubrania, uwijali się ludzie w białych kombinezonach. Frank i Natasza zajrzeli ciekawie do środka. W pierwszej chwili nic nie dostrzegli. Rolety w oknach były zastonięte, więc całe pomieszczenie tonęło w półmroku. W nozdrza uderzył odór nieświeżego mięsa. Oprócz niego dało się wyczuć coś jeszcze. Coś, czego zapach wydawał się znajomy, a przynajmniej taki, który już gdzieś kiedyś czuli.

Po chwili ich oczy przyzwyczyły się do ciemności. Natasza lekko krzyknęła. U sufitu, przywiązany sznurami za ręce i nogi, gdzieś na wysokości metra osiemdziesięciu nad ziemią wisiał twarzą w dół ludzki szkielet. Jego głowę, może z wyjątkiem policzków i warg, pokrywało jeszcze ciało. Za to reszta... reszta była prawie całkiem naga. Resztki mięsa dało się dostrzec już w zasadzie tylko na grzbiecie oraz na dłoniach i stopach, tuż za miejscem, gdzie owijał je sznur. Frank poczuł, że zbiera mu się na mdłości.

- Sąsiedzi twierdzą, że z mieszkania od kilku dni dochodziła dziwna muzyka. - Wytatuowany blondyn nie wydawał się już taki wesoły. - Dlatego centrala przysłała tu was. Podobno zajmujecie się takimi... praktykami. W mieszkaniu zabezpieczyliśmy jakiś środek chemiczny, najprawdopodobniej narkotyki, ale o nieznanym nam składzie. W każdym razie nasz wóz go nie zidentyfikował. Oprócz tego jakies dziwne rzeczy wyglądające na przedmioty kultu. Prace, jak widzicie, wciąż trwają.

W pewnej chwili jeden z mężczyzn w białych kombinezonach znieruchomiał. Stał tak przez chwilę, po czym pochylił się i podniósł coś z podłogi.

- Co jest? - spytał blondyn.

- To chyba kawałek wątroby - rozległ się głos wzmocniony przez mały głośnik na kombinezonie. - Są na nim ślady zębów.

Mężczyzna odwrócił szklaną maskę w kierunku śledczych.

- Ludzkich zębów.

Profesor Bożydar Sonnenberg przyjął Franka i Nataszę, jakby rozstali się zeszłego przedpołudnia.

- Aaaa! Witam! Co za mili goście! Co też was znowu sprowadza?

Ubrany był dokładnie tak samo, jak poprzednim razem. W ogóle wszystko w jego mieszkaniu wyglądało jak poprzednim razem - chyba rzeczywiście wyszli stamtąd zeszłego popołudnia.

- Nie, nie, przepraszam! Co też ze mnie za gospodarz? - zmytygował się profesor. - Gdzie moje maniery? Proszę usiąść, rozgościć się. Może się państwo czegoś napiją?

- Ma pan wódkę? - rzuciła Natasza.

Frank zerknął na nią zdziwiony. O, to było naprawdę coś nowego.

- Ja dziękuję. Prowadzę - dodał po chwili.

- W takim razie napijemy się we dwoje – ucieszył się profesor. – Czystą, czy z sokiem?
- Czystą.
- Ja też wolę czystą.

Frank popatrzył na Nataszę ponownie. Zauważyła to spojrzenie i wzruszyła lekko ramionami.

- A więc, co państwa do mnie sprowadza? – zapytał ponownie profesor, kiedy już zasiedli w fotelach.

- Mamy kilka pytań – zaczęła Natasza. – Dodatkowych, jeśli tak można powiedzieć.
- Znakomicie, proszę się nie krępować.

- Wczoraj znaleźliśmy coś, co rzuca nowe światło na naszą sprawę, wprowadza do niej nieznane dotąd elementy, a my nie wiemy za bardzo, jak je w niej umocować. W jednym z mieszkań w Starym Paryżu odkryto ślady wskazujące, że odbywały się tam obrzędy związane z kultami marsjańskimi. Charakterystyczne nagrania o bardzo dziwnym rytmie, związki chemiczne – prawdopodobnie narkotyki – w skład których wchodziły substancje produkowane wyłącznie w marsjańskich laboratoriach, i tak dalej. Znalezione również ludzkie ciała...

- Nie zniknęło?
- W pewnym sensie zniknęło. Zostało zjedzone.

Profesor Sonnenberg wciągnął głęboko powietrze, po czym cichutko zagwizdał.

- No, no! To ci historia... Mogę prosić o więcej szczegółów?

- Trup nie był świeży, musiał tam wisieć dosyć długo. Podwieszono go pod sufitem.

Natasza jednym haustem wypila wódkę, a profesor natychmiast nalał jej następną.

- Coś jeszcze?

- Niewiele. W obrzędzie brali udział wyłącznie mężczyźni. Wiemy o tym, gdyż policja przeproszyła ich przypadkiem w trakcie innej, niezwiązanej z nimi interwencji. Gdyby nie to, prawdopodobnie nie odnaleźlibyśmy również i ciała.

- Myśli pani, że poprzednie zniknięcia zwłok można wytłumaczyć w ten sam sposób?

- Nie wiem. Może. W każdym razie nie należy tego wykluczać. Właściwie to jedyna możliwość, jedyna racjonalna możliwość, która wynika z toku dotychczasowego śledztwa.

W pokoju zapadła cisza. Natasza obracała w palcach kieliszek, tym razem jednak nie piła. Profesor patrzył się na nią niewidzącym wzrokiem.

- I co pan o tym sądzi, profesorze? – przerwał milczenie Frank.

- Hm. Kanibalizm może mieć wiele różnych funkcji, prawie zawsze jednak, a w zasadzie zawsze, podstawowa jest funkcja obrzędowa. Większość ruchów tego typu znanych z historii – mówię o ruchach misteryjnych, a z takim zjawiskiem mamy tu niewątpliwie do czynienia – opierało się na pewnym stopniowaniu wtajemniczeń. Adept rozpoczął od udziału w najbardziej podstawowych obrzędach, by potem poznawać coraz to nowsze i coraz bardziej tajemne praktyki. Być może przypadkiem trafiliście na taki właśnie, najbardziej tajemny obrzęd. Mielicie szczęście. Pytanie, które powinniśmy sobie teraz postawić, brzmi: po co? Po co robić coś takiego? Kanibalizm to nie tańczenie w rytm bębena, nie robi się tego ot tak sobie. Musi mieć jakąś ważną funkcję, jakieś bardzo istotne znaczenie. Jeśli ktoś porywa się na coś tak, w powszechnym odczuciu, strasznego, musi mieć jakiś konkretny powód, musi

mieć nadzieję, że da mu to wymierne korzyści. Wymierne oczywiście w kategoriach mistycznych.

- Jakie to mogą być korzyści?

- Widzi pan, kanibalizm jest jednym z najsilniejszych tabu ludzkości. Zakaz spożywania ludzkiego mięsa obok zakazu kazirodztwa stanowi jeden z najbardziej podstawowych fundamentów człowieczeństwa. Jeśli ktoś decyduje się złamać ten zakaz, wyłącza się automatycznie z ludzkiej społeczności, przestaje być człowiekiem. Dla nas, ludzi normalnych, oznacza to degradację, zejście na poziom zwierzęcy. W kategoriach, którymi myślą ci ludzie, może być wręcz przeciwnie, może to oznaczyć wyjście ponad kondycję ludzką, symboliczne przełamanie jej ograniczeń. Bycie jak bogowie...

- Matko...

- Właśnie. Dla nas to nie do pojęcia.

Natasza upiła trochę wódki. Lekko się skrzywiła, lecz nie odstawiła kieliszka. Frank zauważył, że od dłuższego czasu nie powiedziała ani słowa – kolejna nowość.

- Mogą też być inne, dodatkowe korzyści – ciągnął Sonnenberg. - Taki akt to jak spalenie za sobą wszystkich mostów. Nie ma już powrotu. Jednocześnie doświadczenie tego typu bardzo mocno łączy ludzi, którzy wspólnie wzięli w nim udział. Ktoś, kto każe swym podwładnym robić coś takiego, zyskuje wiernych, bezwzględnych i zdeterminowanych żołnierzy, którzy już nie cofną się przed niczym. To jak marzenie każdego dyktatora. Istnieje teoria, że w czasach przedhistorycznych w podobny sposób odbywało się werbowanie nowych członków do bractw wojowników [nie chodzi o werbowanie wojowników ale o werbowanie do „bractw wojowników” (to termin antropologiczny) – aby wyeliminować dwuznaczność dodałem tych nowych członków] . Dzięki kanibalizmowi zyskiwali oni ponadnaturalną, nadludzką siłę i odwagę, mogły się w nich wcielać duchy zwierząt totemicznych – wilków, lwów, niedźwiedzi. W czasie bitwy popadali też w rodzaj morderczego szału, który bardzo przypominał opętanie przez demona. Normañscy bersekerowie – ludzie zamieniający się w niedźwiedzie – to właśnie tacy wojownicy. Podobnie wilkołaki. Słowiański źródłosłów tego słowa znaczy mniej więcej „ludzie w skórach wilków”. Prawdopodobnie byli to wojownicy, którzy w nocy, ubrani w wilcze skóry, dokonywali zbójckich, „wilczych” napadów. Późniejsza legenda o ludziach zamieniających się w nocy w wilki jest owocem tych praktyk.

- To bardzo ciekawe, ale jak to się ma do naszej sprawy? Myśli pan... - Frank spojrzął na Nataszę, jakby chciał, żeby pomogła mu dokończyć.

- Ja nic nie myślę. Ja tylko przedstawiam antropologiczną interpretację zjawiska kanibalizmu. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że kiedykolwiek zetknę się z jego współczesnym przejawem.

- Podobnie jak my.

- Tak... Świat chyba rzeczywiście zmierza w złym kierunku.

- Popatrz tylko. - Pochylona nad monitorem Natasza wpatrywała się w coś z napięciem. - To tajne dane dotyczące lotów marsjańskich. Podczas trwania programu w bazach na Marsie zaszły cztery niewyjaśnione przypadki zniknięcia kolonistów. Nie podano tego do publicznej wiadomości. Raporty tłumaczą te zdarzenia wypadkami podczas prac w terenie. Jednak, co bardzo dziwne, ani razu nie podjęto działań poszukiwawczych. Ziemię powiadamiano z

reguły wiele dni po incydencie. Sprawy zatuszowano. Rodziny informowano, że ich bliscy zginęli, pełniąc zaszczytną służbę i że zgodnie z procedurami zostali pochowani na miejscu. Takiej wiadomości nie da się sprawdzić.

- Fiuuu... Jak to zdobyłaś? Włamałaś się do bazy którejś z agencji?

- Mam znajomego w europejskim oddziale. Przysłał mi to w zamian za obietnicę kolacji.

Frank poczuł dziwne ukłucie w okolicy żołądka.

- A co ja musiałbym zrobić, żebyś poszła ze mną na kolację?

Natasza spojrzała na niego zdziwionym wzrokiem.

- Nie błaznuj. To bardzo ważny trop. Może świadczyć o tym, że przypadki kanibalizmu zachodziły już na Marsie. Może tam się to wszystko zaczęło?

- Miła kolacja przy świecach z jednym z gości w roli głównego dania? Czemu nie? Profesor Sonnenberg twierdzi, że im tam nieźle odbija.

- Tylko co ich do tego popchnęło? Przecież nie głód ani nie apetyt na świeże mięso. Z tego, co wiem, mają tam hodowle zwierząt. Poza tym byłoby to zbyt prozaiczne.

- Pewnie jakaś wizja. „Musicie zjeść Johna, a szczęście i pomyślność zapanuje na Ziemi”, czy coś takiego.

- Szkoda, że nie możemy tam polecieć...

- Na Marsa? Kilka miesięcy w jedną stronę? Dziękuję bardzo! Znam ciekawsze sposoby spędzania wolnego czasu. Na przykład kolacja. Może byśmy się jednak wybrali?

- Przestań! Mam teraz ważniejsze rzeczy na głowie niż twoje głupie żarty.

- To nie był żart.

- Nie?

- Nie.

- Zadziwiasz mnie, Frank.

- Siebie też.

ROZDZIAŁ VI

Tego ranka wydarzyło się zaskakująco wiele rzeczy. Około godziny siódmej do Franka zadzwonił komendant z poleceniem natychmiastowego, ale to natychmiastowego, do cholery, stawienia się na komisariacie. Chwilę potem zadzwoniła Natasza, a zaraz po niej matka. Natasza pytała, czy dzwonił już komendant i czy Frank nie wie przypadkiem, o co chodzi. Matka miała zły sen i chciała się upewnić, czy wszystko w porządku. W wyniku tak nagłego i niezwykle zainteresowania jego osobą o tak wczesnej porze, Frank zaciął się dwukrotnie przy goleniu, choć reklamy jego najnowszej maszynki stanowczo twierdziły, że to absolutnie niemożliwe.

Droga na komisariat zajęła mu dwa razy więcej czasu niż zwykle, co w zasadzie było regułą, gdy akurat się śpieszył. Na domiar złego na ekranie jego samochodu pojawiła się migająca na czerwono informacja, że właśnie otrzymał mandat z powodu niedopełnienia obowiązku uiszczenia comiesięcznej opłaty uprawniającej do poruszania się głównymi arteriami Euro. Był piątek trzynastego. Ale on przecież nie wierzył w takie rzeczy.

- A, Frank! - Komendant wyglądał jak gradowa chmura. - Miałeś przyjechać natychmiast!
- Korki - lapidarnie wyjaśnił Frank.
- Trzeba było przyjechać metrem!

Komendant musiał być naprawdę zdenerwowany, skoro powiedział coś takiego. Metro w Eurocity nie należało do najprzyjemniejszych miejsc na świecie i nie korzystał z niego nikt, kto nie był do tego absolutnie zmuszony. Tym bardziej, że trwał właśnie kolejny strajk obsługi i od przeszło dwóch tygodni nikt tam nie sprzątał. Serwisy informacyjne z upodobaniem pokazywały góry śmieci piętrzące się na każdej stacji.

- Co się takiego stało, komendancie? - wesoły ton Franka miał zapewne rozładować napiętą atmosferę. Jeśli tak, jego plan zakończył się spektakularną klęską.

- Sssiadaj! - syknął komendant.

Natasza siedziała już w kącie gabinetu. Frank w pierwszej chwili jej nie zauważył, co również wydało mu się dość dziwne. Nie należała do kobiet, których obecność uchodził uwadze mężczyzny. Teraz jednak wyglądała inaczej niż zazwyczaj - była skulona i jakby w ogóle trochę mniejsza.

- No, teraz, kiedy jesteście już oboje, mogę zacząć. Co wy sobie w ogóle wyobrażacie?! Przed chwilą dostałem największy ochrzan w swoim życiu! I to przez kogo? Przez was! Podobno ona - machnęła ręką w stronę Nataszy w sposób, jaki zazwyczaj wyrzuca się śmieci do kubła - włamała się do bazy Europejskiej Agencji Kosmicznej! Wyciągała stamtąd tajne informacje! Co to w ogóle jest?! Urządźcie sobie jakieś prywatne śledztwo? Bawicie się w

kowboi? Że on coś takiego może zrobić, w to jeszcze byłbym w stanie uwierzyć, ale pani? Miałem panią za najrozsądniejszą osobę na tym pieprzonym komisariacie. Widocznie się pomyliłem. Dostałem wyraźną sugestię, by oboje was wyrzucić na zbity pysk. Bóg mi świadkiem, że miałem na to wielką ochotę! Dam wam jednak jeszcze jedną szansę. Mam nadzieję, że nie będę tego żałować. Od tej pory ma mi pani codziennie dostarczać raport! I żadnych podobnych wyskoków! A teraz żegnam!

Frank i Natasza w milczeniu opuścili gabinet.

- Znajomy w agencji, co?

- Zamknij się.

To zdecydowanie nie był jednak koniec tego miłego dnia. Około trzynastej w pokoju, gdzie, nie odzywając się do siebie już od paru godzin, siedzieli Frank i Natasza, pojawił się pan Vigo.

- Kłopoty, co?

Frank spojrzał na niego przeciągle. Wieczne zadowolenie pana Vigo czasami śmieszyło, czasami denerwowało, a czasami doprowadzało do szału. Dziś było po prostu niestosowne. Kurewsko niedopasowane do sytuacji.

- Nic się nie przejmujcie. Po burzy nadchodzi pogoda, a po zimie wiosna. Mam coś dla was.

Nawet Natasza podniosła głowę.

- Co takiego? - spytała z czymś na kształt nadziei w głosie.

Pan Vigo posiadał wyczucie dramaturgii. Niespiesznie podszedł do krzesła, usiadł na nim, chrząknął, nonszalancko zarzucił nogi na biurko, po czym zaczął:

- Bardzo lubię swoją pracę, choć wielu ludziom zapewne trudno w to uwierzyć. Policyjny patolog to nie jest raczej zawód, o którym matki marzą dla swoich synów. Mnie jednak dostarcza on wiele satysfakcji. Jest coś niesłychanie intymnego w obcowaniu z ciałami ofiar zbrodni. Czy można sobie wyobrazić większą zażyłość? Nawet w czasie orgazmu człowiek nie otwiera się przed drugim człowiekiem tak bardzo, jak wtedy, gdy leży na stole sekcyjnym. - Pan Vigo zaśmiał się, najwyraźniej bardzo zadowolony ze swego dowcipu. - W mojej pracy obcuje z tajemnicami, do których wy, zwykli ludzie, nigdy nie będziecie mieli dostępu. Na przykład wczoraj - właśnie przeglądałem materiały dotyczące sekcji ostatniej odnalezionej przez was ofiary. Byłem niezwykle podniecony - w końcu nie codziennie człowiek styka się z tak interesującym przypadkiem. Nagle - eureka! Odkryłem coś, co wszyscy do tej pory przeoczyli!

Pan Vigo teatralnie zawiesił głos. Natasza nie wytrzymała:

- Co, do cholery?

- Nasz kolega był słony! Nasolony jak śledzie w beczce! Sól konserwuje. Kiedyś przechowywano w ten sposób mięso. Prawdopodobnie wisiał tam już wiele dni, może tygodni.

W pokoju zaległa cisza. Pan Vigo napawał się efektem swojej przemowy. Frank oszołomiony mrugał oczami. Natasza analizowała.

- I jeszcze jedno... - Pan Vigo odwrócił się, już wychodząc. - Nie macie ochoty na pizzę? Właśnie zamawiam.

- Zdajesz sobie sprawę, na co się narażamy? - Tym razem Frank był naprawdę zdenerwowany. - Po tym wszystkim, co wiemy o tych... o tych ludziach, chcesz jeszcze tam

iść? Wleźć do samej jaskini lwa?

- Masz lepszy pomysł?
- Tak. Siedzenie na tyłku i spokojne czekanie na emeryturę.
- No to powodzenia. I uważaj na hemoroidy.
- Natasza, poczekaj! Jesteś nienormalna, wiesz?
- Wsiadasz czy nie?

Tym razem to Natasza prowadziła. Frank był zbyt zdenerwowany. Poza tym postanowił całą swoją postawą manifestować bierny opór wobec podjętych przez nią działań. Efekt wyglądał tak, że siedział i gapił się w okno. Długo tak jednak nie wytrzymał.

- I co zamierzasz? Wejdziemy tam i wszystkich aresztujemy?
- Nie. Zapiszemy się na ich kurs.
- Co?
- Przejdziemy inicjację i będziemy udawać szczerych i oddanych wyznawców.
- A co potem?
- Potem zobaczymy.
- Ty naprawdę jesteś nienormalna.

Pędząc wielopasmową autostradą, szybko opuścili granice Euro. Poza obszarem zabudowanym autopilot dopuszczał prędkość do trzystu kilometrów na godzinę. Frank nie zdążył się nawet porządnie powściąkać, gdy znaleźli się na miejscu.

- Popatrz – zwróciła mu uwagę Natasza. – Coś tu się dzieje.

Rzeczywiście, na placu przed opuszczoną farmą trwał intensywny ruch. Wielkie ciężarówki podjeżdżały do jednego z budynków, po czym znikwały w jego wnętrzu. Z drugiej strony wyjeżdżały inne. Metalowe wrota do ogromnej hali, w której ostatnio odbywało się spotkanie, stały otwarte na oścież. Wszystkiego pilnowali poważni mężczyźni, których już znali z poprzedniej wizyty. Tym razem, co ciekawe, byli uzbrojeni.

- Mają broń – niepewnie stwierdził Frank.
- Boisz się?

Powoli podjechali do farmy. Już za bramą drogę zastąpił im strażnik.

- Dzień dobry! Przyjechaliśmy zapisać się na kurs – powiedziała Natasza głosem, który Frank chciałby słyszeć częściej. Zwłaszcza, gdyby w ten sposób zwracała się do niego.

Mężczyzna popatrzył na nią beznamiętnie.

- W porządku, przyjechali na kurs – rzucił w powietrze. Mała słuchawka, którą miał w uchu, po chwili zabrzęczała.

- Za elewatoem jest niewielki budynek – powiedział uprzejmie. – Tam wszystkiego się dowiecie.

Ruszyli wzdłuż elewatora we wskazanym kierunku. Przed budynkiem, o którym mówił strażnik, stał już dziwny konferansjer, którego poznali poprzednio jako „szefa”.

- Witam, witam! – Rzucił się w ich kierunku. – Jakże się cieszę, że państwo przyjechali! Co prawda kurs już się rozpoczął, ale jakoś sobie z tym poradzimy! Nie zgłosili się państwo w wyznaczonym terminie. No, ale jak to mówią, lepiej późno niż za późno, prawda?

Natasza uśmiechnęła się promiennie.

- Nie byliśmy do końca zdecydowani. Prawdę mówiąc, mój narzeczony był przeciwny, ale w końcu go przekonałam.

- O, to wspaniale, wspaniale! Jak państwo widzą, mamy tu lekkie zamieszanie, dlatego nie przyjmuję państwa w głównym biurze. Ale i tu jest całkiem przyjemnie. Zapraszam do środka!

Ruszyli za nim. Ich przewodnik był wyraźnie zmieszany - jak ktoś, kogo przyłapie się na oglądaniu erotycznych czasopism.

- Tak... Proszę, może tutaj! - Weszli do niewielkiego pomieszczenia, wyglądającego jak skład niepotrzebnych papierów. - Niech państwo usiądą. - Podsunął gościom dwa rozkładane krzesła. - A więc chcielibyście się państwo zapisać na kurs... - Mężczyzna usiadł na brzegu biurka. - Bardzo dobrze. Proszę mi powiedzieć, czy śniło się coś ostatnio panu?

- Z reguły nie pamiętam swoich snów - odparł Frank zaskoczony.

- A pani? Proszę się nie obawiać, proszę po prostu opowiedzieć mi swój ostatni sen. Albo taki, który pani szczególnie zapamiętała.

- Śniło mi się - powoli zaczęła Natasza - że wiszę ponad Ziemią i widzę zło, które lęgnie się w Eurocity.

- Na litość boską! - przerwał jej człowieczek. - Proszę mi opowiedzieć prawdziwy sen, a nie taki, który, jak pani myśli, powinien się pani przyśnić! Na takie sny przyjdzie jeszcze czas.

Natasza zerknęła na niego zaskoczona. Mały człowiek wpatrywał się w nią z sympatycznym uśmiechem na twarzy. Poprawiła się na krześle.

- Jakiś czas temu miałam bardzo dziwny sen - zaczęła. - W zasadzie nic specjalnego, ale jakoś szczególnie go zapamiętałam. Śniło mi się, że leżę w swoim łóżku i śpię. Nagle budzę się i widzę, że na brzegu łóżka, przy moich nogach, siedzi mały chłopczyk. Nie uśmiecha się ani nic nie mówi. Patrzy. Nagle ściąga przez głowę podkoszulkę i razem z nią schodzi cała jego skóra. Pod nią jest potwór. Coś przerażającego. I ten potwór zaczyna iść na czworakach w moim kierunku. Nie mogę się ruszyć ani krzyknąć. Jestem śmiertelnie przerażona. Wtedy się budzę.

- Bardzo dobrze - powiedział mężczyzna w zamyśleniu. - Proszę jutro zadzwonić pod ten numer. Osoba, która odbierze, będzie pani osobistym przewodnikiem. Państwa osobistym przewodnikiem - poprawił się po chwili.

- Naprawdę miałaś taki sen? - zapytał Frank już z powrotem w samochodzie.

- Naprawdę.

- Zdaje się, że zrobiłaś na nim spore wrażenie.

- Cóż, jestem świetna. Nie wiedziałaś?

- Tu wszystko może być na podsłuchu. - Natasza spojrzała sceptycznie na gmach, przed którym stali. - Musimy bardzo uważać na to, co mówimy. Nawet gdy będziemy sami.

- Nie jestem idiotą, nie musisz mi tego mówić. - Frank był tego dnia trochę podenerwowany. - Słuchaj... - Popatrzył na nią uważnie. - Wiesz, że robię to wyłącznie dla ciebie. Sam nigdy bym się nie odważył w to pakować.

- Myślałam, że robisz to, bo to nasza praca.

- Nie, robię to, bo boję się puścić ciebie samą, a wiem, że beze mnie i tak byś poszła. Zależy mi na tobie.

- Uważaj, Frank. Jesteśmy tylko kolegami z pracy. I partnerami wyłącznie w sensie zawodowym. Nigdy nie dałam ci najmniejszego powodu, żebyś myślał inaczej. Lepiej o tym pamiętaj.

- Pamiętam o tym, pamiętam aż za dobrze. Chciałem tylko, żebyś wiedziała.

- No to wiem. A teraz chodźmy.

Budynek, w którym polecono im się stawić, znajdował się w samym centrum Eurocity, w tak zwanej Nowej Dzielnicy Finansowej. Frank bardzo lubił tę część miasta, mimo że do tej pory nie miał zbyt wielu okazji, by podziwiać jej uroki. Samochody nie miały prawa tu wjeżdżać - aby dojechać do dzielnicy, należało skorzystać z metra. Nie było to jednak to samo metro, co gdzie indziej, ale specjalny, oddzielny system, w przeciwieństwie do pozostałych linii czysty, schludny i bezpieczny. Dzięki temu rozwiązaniu dzielnica finansowa przypominała jeden wielki park, w którym przestrzenie między ogromnymi biurówkami zajmowały nie ulice pełne samochodów, ale trawniki i drzewa. Było cicho, wiosną śpiewały ptaki, latem pracujący w wieżowcach ludzie w czasie przerwy na lunch tłumnie wylegali z biur, by zjeść posiłek na trawie albo po prostu poleżeć i pogapić się w niebo.

- Całe to marsjańskie bractwo musi mieć bardzo dużo pieniędzy, skoro urządziło swoją siedzibę w takim miejscu - zauważył Frank.

Weszli do środka. W wielkim, przeszklonym holu, na którego środku rościło ogromne drzewo, przywitała ich sztyl z nazwą instytucji: „ŚWIATOWE CENTRUM MEDYTACJI KOSMICZNEJ”. Chwilę potem podeszła do nich ładna i bardzo miłe uśmiechnięta kobieta.

- Czym mogę państwu służyć? - zapytała uprzejmie, ale z lekką rezerwą.

- Dzwoniliśmy wczoraj - odpowiedziała przymilnie Natasza. - Jesteśmy umówieni z panem Kaminskim.

- Oczywiście! - tym razem ton głosu kobiety wprost ociekał słodyczą. - Witamy w naszym Centrum! Państwo Wang, prawda? Proszę za mną.

Państwo Wang?, zdziwił się Frank. Chyba awansowałem.

Winda zawiozła ich na sześćdziesiąte któreś piętro. Sympatyczna kobieta, ciągle się uśmiechając, doprowadziła ich pod błękitno-szare drzwi.

- To będzie państwa apartament na czas pobytu w Centrum. Wszystko, co znajduje się w środku, pozostaje do państwa dyspozycji. Dotyczy to w ogóle wszystkich rzeczy, z jakich chcieliby państwo skorzystać w tym budynku. Cena wliczona jest w ogólny koszt pobytu.

- Drinki za darmo? - spróbował zażartować Frank.

- Alkohol w naszym Centrum jest zabroniony - odpowiedziała chłodno, acz nadal uprzejmie. - Teraz proszę się rozgościć i odpocząć. Za godzinę przyjdzie po was jeden z naszych braci i zaprowadzi was na pierwsze zajęcia. Życzę owocnego pobytu.

Przy tych słowach kobieta uśmiechnęła się szczególnie życzliwie, po czym odwróciła się i wyszła. Frank rozejrzał się po apartamencie.

- To nasze pierwsze wspólne mieszkanie, co?

- Całe szczęście są oddzielne łóżka - odburknęła Natasza.

Wszystko, musieli to szczerze przyznać, urządzone było ze smakiem. Dominowały kolory jasne i pastelowe. Meble proste, raczej niskie, o obiciach dopasowanych kolorem do ścian. Na ścianach obrazy, naprzeciwko okna pejzaż przedstawiający góry na Marsie. Po lewej zdjęcie

mglawicy Magellana. Po prawej, między wejściem do sypialni a drzwiami do łazienki, płaskorzeźba z kutego żelaza przedstawiająca mandalę.

- Nie ma telewizora - zauważył Frank.

- Fiuuu... - zagwizdała z łazienki Natasza. - Chciałabym mieć coś takiego w domu.

- Które łóżko wybierasz?

- Wszystko jedno, a ty?

- To przy oknie. Muszę spać na prawym boku, a nie chciałbym walić nadgarstkiem w ścianę.

- OK. Załatwione. - Z łazienki dał się słyszeć odgłos puszczonej wody. - Wezmę teraz kąpiel - krzyknęła Natasza. - Nie mogę się powstrzymać, żeby nie wleźć do tej wielkiej wanny.

Frank padł na stojący pod oknem fotel. Zahaczając nogą o nogę, zdjął buty. Tak można żyć, powiedział sam do siebie. Pomyślał o nagim, zanurzonym w wodzie ciele Nataszy. Ciekawe, czy zamknęła drzwi?, przeszło mu przez głowę.

- Cholera, nie wzięłam ręcznika - krzyknęła z łazienki Natasza. - Mógłbyś mi podać?

Ręczniki złożone w kostkę leżały na łóżkach.

- Ten większy czy mniejszy? - spytał Frank.

- Jasne że większy.

Chwytał ręcznik i wszedł do łazienki. Natasza leżała w wannie, pod pianą widać było niewyraźny zarys jej ciała.

- Mógłbyś się tak nie gapić?

- To bardzo trudne.

- Połóż ręcznik na stołku i wyjdź. Bądź grzecznym chłopcem.

Frank westchnął i odwrócił się. Szlag by to trafił!, zaklął w myślach. W pokoju zdjął kurtkę i rzucił ją na łóżko.

Po chwili Natasza wyszła już ubrana. Ręcznikiem wycierała mokre włosy.

- Mógłbyś wziąć swój bagaż ze środka pokoju? Przez cały czas będzie tak stać? Czy wszyscy mężczyźni muszą się zachowywać w ten sam sposób?

- Widocznie muszą - burknął Frank i zabrał torbę. Teraz sytuacja stała się na powrót jasno określona - on był frajerem, a Natasza rządziła. Czyli jak zwykle.

- Kocham cię - powiedział Frank i w tej samej chwili poczuł się jak idiota.

- Słucham?

- Kocham cię - powtórzył.

- Bo zobaczyłeś, jak się kąpię?

W tym samym momencie, Bogu dzięki, rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę! - aż nazbyt skwapliwie krzyknął Frank.

- Dzień dobry, jestem Jean. - Człowiek, który stał w drzwiach, pozbawiony był jakichkolwiek cech charakterystycznych. Wyglądał jak komputerowy awatar witający klientów na internetowych stronach wielkich firm. - Czy są państwo gotowi na pierwsze zajęcia?

- Już, tylko wysuszę włosy - powiedziała Natasza i zniknęła w łazience.

- Zaraz będziemy gotowi - dodał Frank, bo coś trzeba było przecież powiedzieć.

Jean (Na pewno jakiś zboczeniec!) poprowadził ich w głąb korytarza. Weszli do sali wyłożonej lustrami. Światło było przyćmione, a na podłodze leżały materace. W powietrzu unosił się zapach indyjskich kadzidełek.

- Usiądźcie, proszę! Pan Kaminski zaraz przyjdzie - powiedział Jean i cicho opuścił pomieszczenie.

Frank od razu rzucił się na materac. Natasza, co ubodło go dotkliwie, usiadła nie obok niego, ale naprzeciwko, po drugiej stronie sali.

- Gniewasz się? - spytał.

- Nie bądź dzieckiem.

Po chwili wszedł jakiś człowiek.

- Witajcie! - przywitał się radośnie. - Bardzo się cieszę, że do nas trafiliście! Nie, nie wstawajcie! Jestem Gerhard Kaminski, wasz przewodnik. - Podeszedł do Nataszy, wyciągając rękę. - Witaj! - Tym razem podał rękę Frankowi.

Był to człowiek lat około czterdziestu, niewysoki, szczupły, ale za to bardzo wysportowany. Frank wyczuł to po uścisku dłoni - był mocny, mimo że Kaminski nie wkładał w niego zbyt wiele siły.

- Na początek zaproponuję wam pewne ćwiczenie - powiedział mężczyzna i usiadł pomiędzy nimi na materacu. - Oprzyjcie się plecami o ścianę i rozluźnijcie. Teraz zamknijcie oczy. Co widzicie?

- Nic - wypalił od razu Frank.

- Nic - odpowiedziała po krótkim namyśle Natasza.

- Właśnie, nic - zaśmiał się radośnie Kaminski. - Ludzie, którzy mają zamknięte oczy, nic nie widzą. Postaram się otworzyć wam oczy, a wtedy przejrzycie.

Klasnął w dłonie i w tym samym momencie światło przygasło jeszcze bardziej. Ze ścian popłynęła cicha i spokojna muzyka, w której słychać było szum strumienia i śpiew ptaków. A także daleki, przytłumiony dźwięk saksofonu. Kaminski zmienił ton, mówił teraz pewnie i głęboko:

- Czy nie czuliście kiedyś, że jesteście tak naprawdę kimś innym? Nie tą osobą, którą zna wasza rodzina i znajomi, nie tą, która chodzi do pracy, kupuje nowe ubrania, zajmuje się i zamartwia tymi wszystkimi nieistotnymi drobiazgami codziennego życia, ale kimś zupełnie innym, kimś ponadto? Czy nie czuliście, że jest w was człowiek mądrzejszy i starszy od was samych, który spogląda na to wszystko z pobłażaniem i zna zawczasu wszystkie odpowiedzi? Czy nie czuliście tego?

Frank przysięgłby, że ostatnie pytanie odbiło się w sali echem. Może nadają jego mowie lekki pogłos?, pomyślał. Kaminski kontynuował.

- To odzywa się w was głos, głos dawno zapomniany, tłumiony przez wieki, ukryty w was jak lampka na dnie oceanu. Głos, który wie wszystko, zna wszystkie pytania i wie, jak na nie odpowiedzieć. Pokażę wam, jak ten głos obudzić.

W tym momencie huknął grzmot. Tani efekt, pomyślał Frank, lecz Natasza drgnęła i uniosła powieki.

- Nie otwieraj oczu! Jeszcze nie czas - łagodnie napomniął ją Kaminski i Natasza posłusznie je zamknęła.

- Wyobraźcie sobie - zaczął ponownie - wyobraźcie sobie wasze ciało, wyobraźcie sobie po kolei wszystkie jego członki i narządy. Wyobraźcie sobie teraz, że odpada od waszych kości, że zrzucacie je z siebie jak stare ubranie. Widzicie to?

Frank nie widział. Chociaż...

- Wyobraźcie sobie, że jesteście samymi szkieletami. Podchodzę teraz do was i zaczynam powoli was rozmontowywać. Najpierw zdejmuję z was kości ramion, potem nóg, żebra, miednicę, potem czaszkę i kręgosłup. Wszystkie kości wyrzucam za siebie. Czy coś wtedy zostanie?

Franka przeszedł dreszcz. Coś dziwnego działo się z jego rękami. Nagle zobaczył, jakby... jakby coś...

- Coś jednak zostało, prawda? Widzicie to?

Natasza cicho krzyknęła. Frankowi wydało się, że stoi obok samego siebie i patrzy na to wszystko. Kaminski wstał, podszedł do nich i podał im w szklance jakiś napój, który wypili z zamkniętymi oczami.

- Widzicie, co to jest? Widzicie? Widzicie to jaskrawe światło, które dobywa się z głębi was, wychodzi przez wasze usta, uszy i oczy, tak, że świecicie jak chińskie latarnie? Widzicie je?!

Natasza krzyknęła jeszcze głośniejszym głosem. Frank otworzył oczy i spojrzał na swoje ręce. Świeciły jak reflektory samochodu.

Nagle mężczyzna podszedł do Nataszy. Wyciągnął długi nóż i szybkim ruchem poderżnął jej gardło. Krew chlusnęła mu na ręce i tors. Przewrócił drgające ciało na podłogę, zerwał z niego ubranie i zaczął ciąć je na kawałki. Odciął ręce, nogi, rozpruł brzuch, na koniec oderżnął głowę. Frank krzyczał, lecz nie mógł się poruszyć. Po chwili wszystko opanowała ciemność.

ROZDZIAŁ VII

Pierwsze, co stwierdził, to że boli go głowa. Starał się nie ruszać i nie myśleć. I nie oddychać. Kiedy unosił powieki, wysiłek był tak wielki, że wszystko zawirowało, a w głowie rozpętało się huczące piekło. Postanowił za wszelką cenę wrócić do poprzedniego stanu. Zamknął oczy. Świat zawirował jeszcze raz, ale tym razem jakby łagodniej. Może dałoby się jednak cofnąć w ten niebyt, z którego się przed chwilą wydobył? Tak, to byłoby najrozsądniejsze wyjście. Spróbował siłą woli wślizgnąć się z powrotem w tę ciemną pustkę, którą miał jeszcze z tyłu głowy. Przez chwilę miał nawet wrażenie, że mu się uda. Potem zaczęły jednak napływać jakieś obrazy, strzępy myśli, wspomnienia... Aaaaaa!!! – krzyknął nagle i gwałtownie usiadł. Jego głowa eksplodowała i rozpadła się na kawałki. Do ust napłynęły mdłości. Opanował je, lecz przez chwilę była to jedyna rzecz, na której potrafił skupić uwagę.

Sen. Musiało mu się coś śnić. Spróbował sobie przypomnieć, macając pamięcią jak ręką w ciemności, co też to mogło być. Cofał się powoli, ostrożnie, coraz dalej i dalej poza granicę snu i jawy. Natasza... Czy to ona mu się śniła?

Otworzył ponownie oczy. Znajdował się, co nie wiedzieć czemu niezwykle go zdziwiło, w swoim mieszkaniu. Siedział na łóżku w ubraniu, a obok leżała niedbale rzucona w kącie torba. Musiałem wczoraj nieźle zabalować, pomyślał.

Nagle wszystko sobie przypomniał. Serce w nim zamarło. Po kolei, z coraz większą wyrazistością, wracały do niego obrazy z poprzedniego dnia. Chciał przed nimi uciec, schować się gdzieś, najlepiej w chwili, w której jeszcze nie napłynęły – one jednak szły, szły coraz większymi, coraz bardziej przerażającymi falami. Boże, żeby to nie była prawda! Coś chwyciło go za gardło. Jęknął, lecz nie usłyszał swojego głosu. Przez chwilę nie mógł złapać tchu.

Siedział tak nie wiadomo jak długo. W jego głowie otworzyła się tępa, pulsująca pustka. Co jakiś czas pojawiała się rozpaczliwe pragnienie, żeby znowu było wczoraj, żeby jak zwykle siedział z Nataszą w biurze i żeby on, jak zwykle, ciętym wzrokiem wpatrywał się w jej włosy. I żeby nic, ale to nic się potem nie stało.

Powoli przyszedł jednak do siebie. Coś trzeba było zrobić. Jest policjantem, a przecież popełniono morderstwo. Wstał i chwiejnym krokiem przeszedł do drugiego pokoju. Spróbował założyć buty, lecz fala mdłości, która dopadła go po raz drugi, tym razem zwyciężyła. Przyciskając dłoń do ust, pobiegł do łazienki.

Rzyganie w jakimś sensie go uspokoiło. Tępe myśli popłynęły odrobinę żwawiej. Umył twarz, potem zęby. To bardzo dobrze, że są takie proste czynności. Zawsze można się ich chwycić, żeby nie zwariować.

Wyszedł na zewnątrz i zamknął drzwi. Windą zjechał na parking. Samochód stał tam, gdzie zawsze. Wszystko było tak cholernie, tak przerażająco zwyczajne. Wszystko było jak zwykle. Z wyjątkiem tej jednej, tej jedynej rzeczy...

Wsiadł do samochodu i ruszył przed siebie. Jeden zakręt, drugi, podjazd i już był na ulicy. Wołał nie włączać automatycznego pilota, kierowanie przynajmniej zajmowało mu myśli.

Gdyby go ktoś potem spytał, co działo się podczas jego podróży na komisariat, którą jechał i ile czasu mu to zajęło, nie potrafiłby odpowiedzieć. Wszystko, cały świat, wszystkie jego myśli i ruchy zanurzone były w jakiejś tłumiącej dźwięki wacie. Wrażenia docierały do niego z opóźnieniem. Chodził, myślał i poruszał się, jakby nie odnosiło się to do niego, jakby robił to ktoś inny, a on stał tylko z boku i przyglądał mu się bez zainteresowania. Co jakiś czas pojawiała się tylko coś, coś jakby strach, nagłe, bezgraniczne przerażenie, gdy przypominał sobie, co wczoraj zaszło. Miał wtedy ochotę uciec, po prostu uciec od swoich myśli, od tego, co się zdarzyło, od tego, jak teraz będzie musiał z tym żyć, uciec w miejsce, gdzie nie byłoby tego, co jest teraz, gdzie wszystko byłoby dobrze.

Gdy wchodził na komisariat, ludzie patrzyli na niego jakoś dziwnie. Przynajmniej ci, których znał. Czyżby wiedzieli?, przemknęło mu przez głowę. Podchodzili do niego, jakby chcieli mu coś powiedzieć, lecz nagle zatrzymywali się w pół kroku, pozwalając mu przejść. Nie bardzo go to w tej chwili obchodziło.

Do gabinetu komisarza wszedł, nie pytając nikogo o pozwolenie. Aleksanderski nie wydawał się specjalnie zdziwiony nagłym wtargnięciem podwładnego.

- Siadaj - powiedział łagodnie. - Nie za dobrze wyglądasz. Jak się czujesz?

- Nie wiem - odpowiedział Frank zgodnie z prawdą. - Nie zastanawiałem się. Panie komisarzu... - Zrobiło mu się nagle słabo. - Wczoraj zamordowano Nataszę. Byliśmy w siedzibie sekty marsjańskiej, chcieliśmy wziąć udział w ich kursie. Wiedział pan zresztą o naszej akcji. W czasie seansu podano nam jakiś narkotyk, a potem... Natasza została zamordowana.

- Natasza - bardzo powoli powiedział komisarz - była tu przed chwilą. Złożyła wypowiedzenie. Twierdziła, że ma dosyć pracy w policji, że odnalazła siebie czy coś w tym stylu. Kazała ci wytłumaczyć, że nie masz po co jej szukać.

Podobno zemdłał. Ocucono go i chciano nawet dzwonić po pogotowie. Komisarz Aleksanderski wykazał pełne zrozumienie dla nienajlepszego stanu Franka i przydzielił mu trzy tygodnie urlopu. „Doskonale wiemy”, mówił, „że byliście z Nataszą dość mocno związani. Jej odejście to dla ciebie silny cios. Wszystkim nam zresztą będzie jej brakować. Była świetnym policjantem. Ale cóż, policja to nie wojsko, tu dezercja nie jest zabroniona.” Koledzy klepali Franka po plecach i byli w ogóle bardzo życzliwi. Nawet pan Vigo zdobył się na słowa pocieszenia.

Frank przez cały czas nic nie mówił. Pozwolił jak dziecko odprowadzić się do samochodu i odwieźć do domu. Na pytanie, czy nic mu nie trzeba, tylko pokręcił głową. We łbie miał kompletną pustkę. Gdy tylko policjant, który go odwoził, wyszedł, Frank usiadł na łóżku i przez ponad godzinę gapił się w swoje buty. Wreszcie sięgnął po telefon i zadzwonił.

- Profesorze Sonnenberg, musimy się koniecznie spotkać. Potrzebuję pańskiej pomocy.

- Hm... - Profesor Bożydar Sonnenberg wpatrywał się bardzo uważnie w jakiś punkt za oknem. - Pańska partnerka została więc, można powiedzieć, zwerbowana. Czy nie zauważył

pan wcześniej niczego podejrzanego w jej zachowaniu? Jakichś niepokojących objawów, zmian w sposobie bycia, nagłego zamknięcia się w sobie, czy wręcz przeciwnie, pobudzenia?

- Nie. - Frank zawahał się. - Chyba nie. To była - poprawił się - to jest bardzo zrównoważona osoba. Pewna siebie, o zdecydowanych poglądach na każdą sprawę, w zasadzie pozbawiona wątpliwości. Twarda sztuka.

- Twarde rzeczy często pękają z hukiem - zauważył profesor - podczas gdy rzeczy miękkie tylko się zginają. Czy jednak naprawdę nie zauważył pan niczego odbiegającego od normy?

Frank zastanawiał się przez chwilę.

- Podczas naszej pierwszej akcji, jeszcze przy palcu Tolerancji, Natasza źle się poczuła. Potem zresztą, w czasie spotkania na farmie, też. Bagatelizowała sprawę, mówiła, że to nic takiego. Nie zastanawiałem się nad tym specjalnie. Twierdziła, że wszystko jest w porządku, więc jej wierzyłem. Zresztą zazwyczaj się jej nie sprzeciwiałem - stwierdził w zamyśleniu.

- Tak. - Profesor pokiwał głową ze smutkiem. - Dostyc charakterystyczne objawy. Były więc znaki, tylko nikt ich nie dostrzegał. To zresztą też jest dość charakterystyczne. Typowy zespół powołania mistycznego. Najpierw ma się dziwne sny, czasami wizje, potem odczuwa się nieprzepartą, trudną do przewyciężenia skłonność do czegoś, czego nie można nawet dobrze nazwać, a potem to coś nagle przychodzi i nas zabiera. Tak po prostu. Oczywiście człowiek się przed tym broni, stara się nie przyjmować do wiadomości, że dzieje się z nim coś dziwnego, bagatelizuje całą sprawę. Ale im bardziej się przed tym broni, tym bardziej to coś go przyciąga. To Natasza szczególnie mocno naciskała, żebyście zajęli się tą sprawą, prawda?

- Tak.

- Właśnie. Prawdopodobnie na poziomie świadomości tłumaczyła to sobie zupełnie inaczej, tak naprawdę jednak po prostu nie mogła oprzeć się sile, która ją tam ciągnęła.

- Dlaczego jednak pociągało ją coś takiego, ta mieszanina bzdur i zabobonów, przecież to są tak naprawdę szaleńcy i zbrodniarze, i ona, ona - policjantka zwariowana zupełnie na punkcie walki z przestępcami - dała im się omotać?!

- Gdy demon wybierze cię na swojego wierzchowca, nie tak łatwo się oprzeć. Nie wiem, może były jakieś powody. Czasami zło pociąga naszą podświadomość tym bardziej, im usilniej nasza świadomość stara się służyć dobru. Albo odwrotnie - staramy się być ze wszystkich sił dobrzy, bo czujemy, że tak naprawdę w głębi duszy jesteśmy źli i boimy się tego.

- Przecież ja ją znałem, ona nie była taka.

- Przez cały czas była jak zaciśnięta pięść, nie pozwalała sobie na chwilę słabości. Tak zachowują się ludzie, którzy odczuwają lęk przed samymi sobą.

Frank przymknął oczy i oparł głowę o oparcie fotela. Cała ta sprawa go przerastała. Znowu odczuwał tę cholerną chęć ucieczki. Wstać, wyjść, a potem wyjechać. Gdzieś, jak najdalej stąd. Z dala od tego wszystkiego.

- Co można zrobić, żeby ją z tego wyciągnąć? - spytał jednak po chwili.

- Pracuje pan w policji. Moim zdaniem najskuteczniejsza i najprostsza metoda to wejść tam i ją odbić. Została przecież w pewnym sensie porwana.

- W pewnym sensie, ale nie we właściwym sensie. Natasza była dziś rano na komisariacie, złożyła wypowiedzenie. Wszystko, co robi, robi świadomie i na własne życzenie. Nie stało się nic nielegalnego. Policja jest wobec tego faktu zupełnie bezradna.

- Ech, przypominają mi się stare, dobre czasy! Za mojej młodości policja też była zazwyczaj zupełnie bezradna.

Frank spojrział na profesora uważnie. Sonnenberg zreflektował się i uśmiechnął przepraszająco.

- A pan, nie może pan dalej kontynuować śledztwa? - zapytał Franka.

- Dostałem trzy tygodnie urlopu. Poza tym moi przełożeni nie wydają się być zainteresowani tematem. To Natasa była głównym motorem sprawy. Kiedy odeszła, wszyscy odetchnęli z ulgą. Komisariat policji to taki sam urząd jak każdy inny. A urzędnicy nie lubią nietypowych spraw. Wolą zajmować się rzeczami, które dobrze znają - kradzieżami, morderstwami, gwałtami, handlem narkotykami.

- Przecież w tej sprawie w grę wchodziły zarówno morderstwa, jak i handel narkotykami.

- Nie było bezpośrednich dowodów na powiązanie marsjańskich sekt zarówno z jednym, jak i drugim. Były przypuszczenia, hipotezy, domysły - nic, na czym można by oprzeć akt oskarżenia. Taka sprawa tylko zaniża statystyki skuteczności w wykrywaniu przestępstw. A tak - nie ma przestępstwa, więc nie ma sprawy.

- A pan bardzo by chciał ją z tego wyciągnąć, prawda?

- Tak.

- Kocha ją pan?

- Byliśmy partnerami, nie zostawia się partnera w potrzebie.

- No tak... Cóż, nie pozostaje panu zatem nic innego, jak pójść tam za nią.

- Słucham?

- Jak Orfeusz za Eurydyką. Musi pan zstąpić do piekieł.

ROZDZIAŁ VIII

Profesor Sonnenberg pozwolił Frankowi przespać się w jego domu. Frank potrzebował tego jak rzadko kiedy. Najchętniej w ogóle by zasnął i obudził się dopiero wtedy, gdy cały świat wróci do normy. Bo że coś jest z nim nie w porządku, to nie ulegało wątpliwości. Teraz myślał jednak o tym z odrobinę mniejszym drammatyzmem, niż jeszcze kilka godzin temu. Może zawdzięczał to wielkiemu kieliszkowi koniaku, jakim profesor uraczył go na koniec rozmowy? Diabli wiedzą. Taki koniak potrafi czasem zupełnie zmienić człowiekowi perspektywę. A może to po prostu zmęczenie, które nie pozwalało mu za bardzo rozczulać się nad swoim losem? Też diabli wiedzą. W każdym razie zasypiał trochę spokojniejszy. Kiedy przytulił głowę do poduszki i nakrył się pledem o zapachu starej szafy (całkiem zresztą przyjemnym, przypominającym czasy, kiedy w niedzielę chodził w odwiedziny do babci), w jego głowie, oprócz słodkiego przedsennego otępienia, kołatała się już tylko jedna myśl: Oj, nie tak się umawialiśmy, nie tak... Ten właśnie dziecinny bunt przeciw podłej rzeczywistości był ostatnią rzeczą, jaka zajmowała jego wygaszającą się świadomość. Potem oczywiście coś mu się śniło, ale znów nie pamiętał, co.

- Czas wstawać, młody człowieku! - Frank zobaczył tuż nad sobą brodą twarz profesora. - Spał pan ponad dwanaście godzin.

Frank niechętnie otworzył oczy. Wydawało mu się, że położył się zaledwie przed chwilą. Głowa lekko go bolała, ale poza tym czuł się chyba dość dobrze.

- No, wystarczy już tego leżenia! Mamy dziś sporo roboty. Proszę się umyć i zejść na śniadanie. Herbata już czeka.

Kręte, skrzypiące drewniane schody poprowadziły go na dół. Jakie tu wszystko jest ciasne!, pomyślał nagle. Futryny niskie, małe pokoiki, schody, na których trzeba się schylać... Nawet jego łóżko, co zauważył dopiero dziś rano, było wąskie i krótkie.

Salon na dole miał jednak normalne rozmiary. Na niewielkim stoliku, przy którym wczoraj pili koniak, parowało gorące śniadanie.

- Przygotowałem dla pana prawdziwy *english breakfast*. - Profesor Sonnenberg wydawał się bardzo zadowolony z roli gospodarza. - Co pan sobie życzy - jajka na bekonie, zapiekane tosty, gotowaną fasolę?

- Gotowaną fasolę? - Frank uniósł brwi.

- Nigdy nie jadł pan gotowanej fasoli na śniadanie? - udał zdziwienie profesor. - O, jakże wiele pan stracił! To typowo angielski zwyczaj. Dziś już niestety zanikający. Wie pan, globalizacja.

- Mogą być jajka. - Frank dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest głodny. Przez cały wczorajszy dzień nic przecież nie jadł.

- Proszę bardzo: jajka, herbata, tosty, sok pomarańczowy. Życzę smacznego.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Frank pochłaniał wszystko z widoczną przyjemnością. Na końcu dobrał się nawet do fasoli.

- O jakiej robocie pan mówił? - zapytał, gdy już skończył.

- No, przecież nie zostawię pana samego. - Profesor Sonnenberg położył mu dłoń na ramieniu. - Musimy wszystko przedyskutować, opracować strategię, przygotować pana. Jest sporo rzeczy do zrobienia.

- Chce mi pan pomóc? Dlaczego?

- To dosyć długa historia.

- Mam czas, jestem na urlopie.

Profesor Sonnenberg uśmiechnął się z lekka.

- Widzę, że wraca panu poczucie humoru. To dobry objaw. No cóż, żeby opowiedzieć panu tę historię, sam muszę trochę poprawić sobie nastrój. Przywołuje ona dosyć nieprzyjemne wspomnienia, można nawet powiedzieć, że bardzo nieprzyjemne. Całe szczęście pociechę wlewają do butelek. Bogu dzięki, nie schowałem wczoraj tego koniaku!

Profesor chwycił butelkę i nalał sobie solidny kieliszek.

- Chce pan też? - spytał.

- Nie, dziękuję. To znaczy tak, proszę.

Frank dawno już nie pił alkoholu o tej porze. Ostatnio jednak w ogóle działo się dużo niecodziennych rzeczy.

Profesor Sonnenberg wypił spory łyk, westchnął, poprawił się na fotelu, spojrzał jeszcze raz na gościa i zaczął opowiadać.

- Wydarzyło się to w czasach, kiedy pisałem doktorat w Oxfordzie. Był tam ze mną jeszcze jeden doktorant, niejaki Haggis, Szkot. Poznaliśmy się na początku studiów, ale zaczęliśmy się przyjaźnić nieco później. Miał na imię Alexander, choć i tak wszyscy mówili na niego Haggis. Nawet jego matka tak podobno na niego wołała.

- Haggis był dobrym chłopcem, choć nawet jak na Szkota dość zamkniętym w sobie. Prawie nic nie mówił, chyba że o swoim doktoracie. Ja wówczas byłem w podobnym stanie, więc świetnie do siebie pasowaliśmy. Mieliśmy zwyczaj spotykać się wieczorem w pubie i rozmawiać przy piwie o prowadzonych badaniach. To znaczy ja opowiadałem o swoich, a on o swoich. Był w tym zawsze jakiś element licytacji. Jakbyśmy się wzajemnie motywowali do pracy.

- Biedny Haggis tak jak ja zajmował się kultami opętania. Próbował odkryć ślady ich istnienia w wierzeniach starożytnych Germanów, Celtów i Słowian. Znane opisy tego typu rytuałów pochodzą prawie wyłącznie z badań nad współczesnymi ludami prymitywnymi. Wyjątkiem jest Ameryka Łacińska, ale tam dotarły one z Afryki wraz z transportami niewolników. Haggis utrzymywał, że pewne elementy mitologii starożytnych ludów barbarzyńskich świadczą bardzo wyraźnie o występowaniu obrzędów opętania także w ich kulturach.

- Mój przyjaciel Haggis popełnił jednak w swoich badaniach pewien poważny błąd metodologiczny – stracił dystans, za bardzo się zaangażował. Nie mógł oprzeć się pokusie sprawdzenia na własnej skórze, na czym polegają zjawiska, które opisuje. Potrafię to nawet w pewien sposób zrozumieć, rzeczy, o których mówię, są naprawdę niezwykle fascynujące. Poza tym dają złudną obietnicę poznania innej, niedostępnej pozostałym ludziom rzeczywistości. Poczucia się kimś lepszym. Haggis wpadł w tę pułapkę. Wie pan, o co mi chodzi – gdy czytamy o średniowiecznych rycerzach, mamy ochotę kupić sobie miecz i zbroję. Kiedy zaś Haggis czytał, jak w słowiańskich wojowników wcielają się duchy wilków, też chciał czegoś takiego doświadczyć.

- Zaczął więc eksperymentować. Tłumaczył to tym, że skoro nie zachowały się do naszych czasów żadne opisy starożytnych rytuałów, powinien przejść tę samą drogę, by się dowiedzieć, jak wyglądały. Innymi słowy chciał samemu doświadczyć opętania. Nazywał to „archeologią uczestniczącą”.

- Uniwersytety to dziwne miejsca. Z pozoru bardzo konserwatywne, dają jednak swoim pracownikom czasami aż nadto swobody. Przynajmniej te najlepsze. Nigdy w końcu nie wiadomo, która z dziesięciu, wydawałoby się, głupich teorii, okaże się przełomem zdolnym odmienić oblicze świata. Haggisowi pozwolono więc na jego zabawy. Traktowano go trochę jak nieszkodliwego maniaka. Żartowano sobie nawet z niego, w czym, muszę to przyznać ze wstydem, czasami ochoczo brałem czasem udział.

- Lubilem go jednak. Dostrzegałem niepokojące zmiany w jego zachowaniu, lecz zajęty własnymi badaniami przegapiłem moment, w którym mogłem go jeszcze uratować. Gdy poprosił mnie pewnego dnia o pomoc przy jednym z eksperymentów, zgodziłem się, choć teraz wiem, że przyłożyłem w ten sposób rękę do jego śmierci.

- Chodziło tym razem o germańskich berserków. Byli to wojownicy, którzy w trakcie walki wpadali w bojowy szał. Wierzono, że zamieniają się wówczas w niedźwiedzie. Stąd zresztą ich nazwa, która oznacza „człowieka w skórze niedźwiedzia”. Berserkowie wzbudzali zabobonny strach. Po przemianie zyskiwali nadludzką siłę, stawali się odporni na rany i ból, rzucali się z gołymi rękami na przeważające siły wroga, używając do walki często tylko zębów i paznokci.

- Haggis sądził, że ich przemiana nie była spontaniczna. Według niego byli oni członkami tajnego bractwa wojowników, zaś dusze niedźwiedzi wcielały się w nich w wyniku starożytnego rytuału, którego opis nie zachował się do naszych czasów. Postanowił go odtworzyć. Może imponowała mu siła i dzikość germańskich wojowników? Sam był raczej wątły i słaby, jako dziecko musiał często marzyć, że jest kimś takim.

- Pamiętam to jak dziś. Pomogłem mu wynieść z pokoju w akademickiej bursie wszystkie meble, a podłogę wyłożyć materacami z sali gimnastycznej. W oknie zamontowaliśmy metalową siatkę, której nie dało się zdjąć bez użycia narzędzi. Haggis rozebrał się i oddał mi ubranie. Jedynymi rzeczami, które sobie zostawił, było kilka butelek wody, irlandzki bęben bodhráni słoik halucynogennych grzybów. Był piękny majowy weekend, wszyscy gdzieś wyjechali. Bursa stała praktycznie pusta. Zamknąłem go w pokoju od zewnątrz i pojechałem do rodziców do Londynu. Klucz, tak jak mnie o to prosił, zabrałem ze sobą.

- Wróciłem w poniedziałek rano. Od razu poszedłem do jego pokoju, ciekawy, jak też udał się jego eksperyment. Stałem pod drzwiami i zacząłem nasłuchiwać. Po drugiej stronie

panowała cisza. Otworzyłem zamek i wszedłem do środka. Tego, co tam zobaczyłem, nigdy nie zapomnę. Całe pomieszczenie było we krwi. Na materacach leżało ciało Haggisa. Miał zdarte, zakrwawione paznokcie i pokąsane ręce. Na ścianach i drzwiach widniały ślady drapania. Wyrzywione w grymasie usta odsłaniały zęby i ukazywały za nimi czarną, pustą jamę. Tuż obok w kałuży krwi leżał odgryziony język. Eksperyment udał się, można powiedzieć, aż za dobrze.

W salonie profesora Sonnenberga zapadło milczenie. Frank, zasłuchany w opowieść, zapomniał nawet o trzymanej w ręku lampce koniaku.

- Bardzo mi przykro - powiedział jak zwykle bez większego sensu. - Moje wyrazy współczucia.

Profesor Sonnenberg pokiwał w zamyśleniu głową.

- Jak więc pan widzi, mam do wyrównania pewien rachunek z... - wahał się przez chwilę - ...z tego typu zjawiskami. Drugi raz nie mogę sobie pozwolić na luksus niedołożenia wszelkich starań, aby uratować jakąś biedną duszę przed odmętami otchłani. Można nawet powiedzieć, że nie mam wyjścia. Muszę panu pomóc. Poza tym kultury opętania to moja praca. Całe życie się tym zajmowałem. Czy gdyby był pan wulkanologiem i w pobliżu pana domu wybuchł wulkan, siedziałby pan w gabinecie i czytał książki, czy poszedłby pan go zbadać?

- Spieprzałbym, gdzie pieprz rośnie - w zamyśleniu odparł Frank.

- To czemu pan nie spieprza?

- Sam się zastanawiam.

ROZDZIAŁ IX

Profesor Sonnenberg spojrzął na stary zegar wiszący na ścianie.

- Powinni za chwilę być – powiedział ni to do siebie, ni do Franka.

- Kto? – zdziwił się Frank.

- Kiedy pan spał, zadzwoniłem do kilku przyjaciół. Obiecali przyjść. Może wspólnie zdołamy panu pomóc? Jeszcze trochę koniaku?

- Nie, dziękuję. – Frankowi i bez alkoholu kręciło się w głowie.

Profesor nalał sobie do pełna.

- Sporo pan pije – zauważył Frank.

- Idę w ślady mojego wielkiego rodaka, Winstona Churchilla – godnie, choć z lekką ironią w głosie odpowiedział profesor. – Czy wie pan, że wypijał on butelkę brandy dziennie? A mimo to wygrał wojnę.

- Mój wujek wypijał codziennie butelkę wódki. A mimo to skończył jak zapijaczona szmata.

- Cóż, nie ma stuprocentowo pewnej metody – filozoficznie zauważył profesor.

W tym samym momencie rozległ się dzwonek u drzwi.

- Oho, już są! – krzyknął profesor i rzucił się do wejścia.

Po chwili z przedpokoju dobiegły głosy. W tym przynajmniej jeden, Frank był tego pewien, żeński. Odruchowo przełknął ślinę.

- A oto i moi goście! – profesor Sonnenberg, wyraźnie uradowany, oznajmił to jeszcze w przedpokoju. Zaraz potem całe towarzystwo wkroczyło do salonu.

Jako pierwsza szła wysoka brunetka. Mimo iż w pierwszej chwili jej włosy wydawały się czarne, z bliska okazały się ciemnobrązowe. Orzechowe oczy lustrowały Franka uważnie.

- Niech pan nie wstaje – rzuciła, nim Frank zdołał nawet o tym pomyśleć i bezceremonialnie walnęła się na fotel, na którym wcześniej siedział profesor. Tuż za nią do pokoju wszedł mały, szpakowaty, szczupły człowiek o ciemnej karnacji i lekko południowych rysach.

- Pozwólcie, że was sobie przedstawię – profesor Sonnenberg przybrał ceremonialny ton.

- Oto porucznik Frank Quetzalcoatl James, młody człowiek, o którym wam mówiłem. – A to panna Atina oraz pan Vaiapoiat Ng, znany szerzej jako Mister Ng.

- Quetzalcoatl? – spytała ni to drwiąco, ni to uprzejmie kobieta.

- Atina? A jak dalej? – zrewanżował się Frank, dbając, by jego głos brzmiał możliwie obcesowo.

Kobieta roześmiała się lekko.

- Mówmy sobie po imieniu, Frank. Zapewne przyjdzie nam spędzić ze sobą sporo czasu.

Była ładna. Była naprawdę bardzo ładna.

Profesor Sonnenberg i Mister Ng usiedli na kanapie naprzeciwko Franka.

- Pora ci wyjaśnić, Frank, o co w tym wszystkim chodzi - profesor jakby za przykładem kobiety zaczął mu mówić po imieniu. - Pan Ng i ja, nie tylko zresztą my, jesteśmy członkami pewnej nieformalnej organizacji zajmującej się, że tak powiem, zwalczaniem wpływów ludzi, którzy tak ci zależli za skórę. Pan Ng ma z tymi ludźmi pewne zadawnione porachunki, moją motywację już poznałeś. Nie wspominałem ci o tym wszystkim wcześniej, bowiem organizacja, o której mówię, oprócz tego, że nieformalna, jest też w najwyższym możliwym stopniu tajna. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, Frank, jak głęboko sięgają wpływy sekt, z którymi walczymy. Teraz mogę ci o tym wszystkim powiedzieć, bowiem jestem już pewien twojej lojalności. Wcześniej, mimo iż od początku cię lubiłem, musiałem zachować daleko posuniętą ostrożność.

Mówcie dalej, pomyślał Frank. Nic mnie już nie zdziwi.

- Od dawna szukamy kogoś takiego jak ty - nagle odezwał się Mister Ng. - Kogoś na tyle zdeteterminowanego, by wejść w struktury sekty, będąc w pełni świadomym jej charakteru. Kogoś, kto udowodnił już, że nie jest podatny na opętanie i kto jej równie nienawidzi, jak my. Kogoś, kto do niej przeniknie, by zniszczyć ją od środka.

- Pan Ng - odezwał się znów profesor - to człowiek o dużych wpływach i jeszcze większej wiedzy. Jest praktykiem w sprawach, którymi ja zajmuję się tylko teoretycznie. Może zapewnić ci pomoc nie tylko organizacyjną, ale też wsparcie, że tak powiem, duchowe. Co więcej, jest głęboko przekonany, że masz w sobie wystarczającą siłę, żeby dokonać tego dzieła. W takich sprawach zazwyczaj się nie myli.

Świetnie, naprawdę świetnie!

W pokoju zaległa cisza.

- Boisz się, Frank? Strach cię obleciał? - drwiąco spytała kobieta.

- Nie próbujcie bawić się ze mną w dobrego i złego policjanta - z irytacją odpowiedział Frank. - Najpierw mówicie mi, że jestem jakimś herosem, jedynym na świecie, który potrafi pokonać zło, a teraz jakaś kobieta wyśmiewa się ze mnie i próbuje wjechać mi na ambicję. Nie zapominajcie, że jestem policjantem, znam się na takich sztuczkach.

- Atina - poprawiła go kobieta. - Nie „jakaś kobieta”. I przepraszam.

- Nie gniewaj się, Frank - łagodnie powiedział profesor. - Jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Poza tym wydawało mi się, że chcesz pomóc Nataszy?

Z niewyjaśnionych przyczyn Frank nagle poczuł dziwną złość na profesora za wymienienie imienia Nataszy przy tej kobiecie. Aż sam się zdziwił.

- Jasne - odpowiedział. - Po prostu cała ta historia dawno mnie już przerosła.

- Zgadzasz się więc uczestniczyć w naszym przedsięwzięciu? Musisz to wyraźnie powiedzieć, wszystko to może być bardzo niebezpieczne, nie chcielibyśmy cię do niczego wciągać na siłę.

- Jaki jest wasz plan?

- Powtórzysz jeszcze raz całą drogę, jaką przeszedłeś z Nataszą. Wnikniesz w struktury sekty, poczynając od najniższych szczebli. Kiedy próbowaliście to robić z Nataszą, błędziliście

po omacku, a my skierujemy cię od razu do samego środka. Przez te kilka lat trochę poznaliśmy działanie i zwyczaje sekty.

- Zaraz, chwileczkę. Przecież jestem tam w pewnym sensie spalony. Byłem tam, znają mnie, mogą wiedzieć od Nataszy, że jestem policjantem i że będę próbował ją uwolnić. Jeśli tam wrócę, w najlepszym razie będą mnie izolować od wszelkich ważnych informacji, w najgorszym...

- Zmienimy ci wygląd. Damy nową tożsamość. Sprawimy, że będziesz dla nich atrakcyjnym nabytkiem. Pokażemy, jak udawać wiernego wyznawcę.

- A kiedy już tam trafię, co mam zrobić?

- Decyzję podejmiesz sam. Nawet my nie wiemy do końca, co tam spotkasz. Więc jak, zgadzasz się?

Szlag by to trafił!, pomyślał Frank.

- Tak. Czemu nie?

- Wedle tego, co zdążyliśmy ustalić, jądrem nauczania sekty jest doktryna o implantach – podczas gdy profesor Sonnenberg mówił, Mister Ng przyglądał się jakiemuś bliżej nieokreślonemu punktowi na ścianie. – W czasie specjalnych seansów, w których mogą brać udział tylko wybrani członkowie, kosmici telepatycznie wcielają się w ziemskich „braci”, po czym zostawiają w ich ciałach, jak wierzą sami zainteresowani, coś w rodzaju przekazników, umożliwiających później bezpośredni kontakt. W ten sposób „bracia” stają się niejako „nowymi ludźmi”, członkami nowej rasy, która ma poprowadzić exodus na Marsa. Doktryna ta, nawiasem mówiąc – nie byłbym sobą, gdybym o tym nie wspomniał – podobna jest niezwykle do pewnych wierzeń szamanów syberyjskich, którzy są przekonani, że duchy zostawiają im w ciałach specjalne kryształy pozwalające im zyskać niezwykle duchowe moce.

- Obie te rzeczy różnią się tym – wtrącił nagle Mister Ng – że w tym drugim przypadku jest to prawda.

- Tak, oczywiście. – Profesor skłonił się w jego kierunku w sposób znamionujący wielki szacunek. – Z tego, co wiemy, nasi porabani przyjaciele zostawili już za sobą okres czczego gadania i rozpoczęli przygotowania do jakiejś konkretnej akcji. Krótko mówiąc, znudziło im się czekanie na koniec świata, po którym ma nastąpić ich upragniona przeprowadzka na Marsa i postanowili rzecz trochę przyspieszyć. Niestety nie wiemy, co to ma być za akcja, między innymi dlatego tak ważne jest, by ktoś dotarł do jądra sekty, zanim to wszystko się zacznie.

-Ale skąd wiemy, że ich wierzenia to bujda? – Frank palnął nagle bez zastanowienia. – Przecież już od dwudziestego wieku mówi się o wizytach kosmitów na Ziemi. Z tego, co słyszałem, istnieje obszerna dokumentacja na ten temat. Tak na chłopski rozum gdzieś tam przecież musi coś być. Może oni rzeczywiście się z nimi kontaktują?

Atina prychnęła i odwróciła się do okna.

- A zastanawiałeś się kiedyś, Frank, dlaczego kosmici z tych wszystkich relacji są niebiescy albo zieloni? – profesor zapalił się, jakby Frank zahaczył o jego ulubiony temat. – Nie biali, czarni, czerwoni, żółci, ale właśnie niebiescy albo zieloni? Bo biały, czarny, czerwony i żółty to kolory skóry ludzi! Kosmici zostali wymyśleni przez nas na zasadzie przeciwieństwa! Są podobni do nas, bo człowiek nie jest w stanie wyjść poza swoje antropocentryczne wyobrażenia, mają ręce, nogi, głowy, ale ponieważ są kosmitami, muszą

się od nas różnić. Nie istnieją ludzie zieloni albo niebiescy, więc oczywiście jest, że takiego właśnie koloru muszą być kosmici! Ale już twarze mają prawie takie same jak my: oczy, usta, nos. Tylko te oczy są większe, usta węższe, a noski mniejsze. Żeby było podobnie, ale jednak inaczej. Gdyby kosmici rzeczywiście przylecieli na Ziemię, to prawdopodobnie nie przypominaliby niczego, co znamy. A ci są zawsze tylko trochę wyżsi lub tylko trochę niżsi od nas. Trochę chudsi, trochę inteligentniejsi. Ale to ciągle karykaturalne odbicia nas samych! Już tylko to świadczy, że zostali wymyśleni. „Kosmiczni bracia” naszych przyjaciół z sekty są tacy sami! Zbyt podobni do rzeczy, które znamy stąd, z Ziemi.

Mówiąc to, profesor aż się zapowietrzył i poczerwieniał na twarzy. Siedział teraz i głośno sapał.

- A ty, widzisz kosmitów, Frank? - drwiąco spytała Atina. - Przyznaj się.

Frank zignorował ją.

- A jaka jest jej rola w tym wszystkim? - Wskazała na kobietę.

- Pójdę tam z tobą. Jako twoja żona. Cieszysz się?

Jak cholera, pomyślał Frank, ale i tym razem nic nie powiedział. Znowu miał to dojmujące uczucie, że wszystko, co się wokół niego dzieje, jest nieprawdą. Że mu się to śni. Albo że ogląda film ze sobą w roli głównej. Przecież jeszcze tydzień temu wszystko było takie pewne i poukładane. Miał robotę, którą lubił, czuł się fajnym gościem, podkochiwał się w koleżance z pracy. Żadnych specjalnych problemów, żadnych napięć. Miła, przewidywalna przyszłość z perspektywą awansu za parę lat i emerytury za kilkadziesiąt. Aż trudno uwierzyć, że było to tak niedawno.

- Pozostaje jeszcze jedna kwestia - Mister Ng trochę syczał, gdy to mówił, jakby nie chciało mu się do końca otwierać ust. - Kwestia zmiany wyglądu. Tym zajmie się Atina.

- Jest charakteryzatorką? - zdziwił się Frank. Przy tym jej całym zadzieraniu nosa, byłoby to nawet zabawne.

- O, tak, jasne! - Atina wydeła usta. - Tak cię ucharakteryzuję, że cię rodzona matka nie pozna!

- Zwyczajna charakteryzacja - pospieszył z wyjaśnieniami Sonnenberg - byłaby zbyt niebezpieczna. Coś by się odkleiło, coś by się starło i dekonspiracja gotowa. Musimy naprawdę zmienić twój wygląd.

- Wypróbujemy na tobie działanie pewnego indiańskiego specyfiku. - Atina cały czas patrzyła Frankowi w oczy, jakby chcąc sprawdzić, jak zareaguje. - To rodzaj trucizny, tyle że bardzo rozcieńczonej. Pozyskuje się ją z jadu północnoamerykańskiego grzechotnika. Jej zażycie powoduje czasowe zwiótnienie mięśni twarzy i niedokrwienie skóry. Cała twarz spłynie ci w dół o kilka centymetrów, skóra obwiśnie i zszarzeje. Będziesz wyglądał na starszego o dwadzieścia lat.

Frank mimowolnie przełknął ślinę.

- Do tego oczywiście przefarbujemy ci włosy - dodał profesor. - Nikt cię nie pozna. Zagrasz rolę podstarzałego milionera, który ze strachu przed śmiercią szuka zbawienia na Marsie. I jest skłonny za to słono zapłacić.

- Tam bardzo lubią takich gości - pogardliwie wysyczał Mister Ng. - Handel nieśmiertelnością to zawsze był świetny interes.

- Czy ona też podda się takiej kuracji? - spytał Frank, wskazując na Atinę.

- Nie - zaśmiała się kobieta. - Co to, to nie! Zagram twoją młodą, głupiotką żonkę, która jest z tobą WYŁĄCZNIE - to słowo specjalnie podkreśliła - dla pieniędzy.

- Zagrać głupoty może być dla ciebie zbyt trudne, ta rola nie odpowiada naturalnym warunkom. Sugerowałbym raczej rolę cynicznej i wrednej jędz.

- Oho! - uniosła brwi Atina. - Widzę, że już mnie trochę lubisz. A przecież znasz mnie tak krótko.

- Dobrze... - Frank zwrócił się do profesora, by utrzymać nerwy na wodzy. - A czy zażycie tego środka jest bezpieczne? Nie ma żadnych skutków ubocznych?

- Z tego, co wiemy, nie. Może nastąpić najwyżej lekkie osłabienie. Jedynym problemem jest to, że nie wiemy dokładnie, jak długo utrzymuje się jego działanie. Na pewno kilka dni, reakcja jest jednak specyficzna dla każdego organizmu i zależy także od wielu czynników zewnętrznych. Wysiłek fizyczny albo na przykład stres mogą przyspieszyć twój metabolizm i spowodować szybszy rozkład trucizny. Na wszelki wypadek Atina będzie miała zapasowe dawki.

- Musimy więc trzymać się razem, kotku - kpiąco rzuciła Atina.

- Czy ona zawsze taka jest? - nie wytrzymał Frank.

- Zawsze. - Mister Ng po raz pierwszy lekko się uśmiechnął. - Ale można przywyknąć.

ROZDZIAŁ X

Frank od co najmniej dwóch minut wpatrywał się w odbicie w lustrze. To bardzo dziwne uczucie widzieć kogoś innego w miejscu, gdzie do tej pory znajdowała się aż do znudzenia znajoma gęba. Pochylił się nad umywalką, nabrał zimnej wody w dłonie i opłukał twarz. Potem, nie otwierając oczu, wymacał ręcznik, wytarł się i spojrzął raz jeszcze. Gdzieś podświadomie miał nadzieję, że ta nowe, obce oblicze zniknie i w jego miejscu z powrotem pojawi się on. On, którego znał i lubił przecież, nawet pomimo tych kilku mankamentów w wyglądzie, które tak często wyolbrzymiał lub dla odmiany bagatelizował, w zależności od nastroju. Zamiast siebie zobaczył jednak znowu to coś. Rysy twarzy uległy deformacji. Z obwisniętymi policzkami, ziemistą cerą i ciężko opuszczonymi powiekami wyglądał jak pięćdziesięcioletek. Tylko oczy, oczy wciąż były te same. Zawsze to coś.

Minęły już prawie dwa tygodnie, odkąd zamieszkał u profesora. Wszystkie przygotowania zostały ukończone. Czas ruszyć do boju.

- No i jak ci się podoba twój nowy wygląd? - Profesor Sonnenberg zajrzał do łazienki i ciekawie zerknął na Franka.

- Wyglądałem już gorzej - spróbował zażartować Frank. - Na przykład kiedy oblewałem awans na podporucznika.

- Jesteśmy teraz prawie w tym samym wieku - z powagą zauważył profesor. - Myślę, że w obecnej sytuacji możesz mi zacząć mówić po imieniu.

- Jasne. Jakie jest zdrobnienie od Bożydar?

- To proste: Bożydar. Nie wiedziałeś?

Wrócili razem do salonu.

- Bardzo dobrze. - Mister Ng przyglądał się Frankowi zadowolony. - Świetnie się spisujesz, Atina.

- W ogóle jestem świetna. - Atina wzruszyła ramionami.

No nie, kolejna świetna babka! - pomyślał Frank. Chyba mam ostatnio do nich szczęście.

- Jeszcze tylko spodnie, marynarka - najdroższe ciuchy, jakie mogliśmy znaleźć - złoty zegarek i znaczek najbardziej snobistycznego klubu w Euro - wyliczał profesor. - Musisz wyglądać bogato, Frank.

- Wpłaciliśmy w twoim imieniu na konto sekty sporą sumę pieniędzy - dodał Mister Ng. - Przyjmą cię tam z otwartymi ramionami.

- Ech! - westchnął profesor. - Chciałbym rocznie zarabiać tyle, ile jest wart twój „strój roboczy”.

- Nasza organizacja dba o pracowników - powiedziała z ironią Atina. Frank dopiero teraz zauważył, że i ona się przebrała. Miała na sobie prostą, białą, jedwabną sukienkę ozdobioną kilkoma niezwykle wprost szykownymi dodatkami. Sama biżuteria starczyłaby pewnie, żeby spłacić zadłużenie jakiegoś kraju trzeciego świata. Poza tym wyglądała...

- Nie gap się tak na mnie, Frank - rzuciła mu przez ramię. - Jesteśmy małżeństwem, powinieneś być mną znudzony.

Mruknął coś niewyraźnie.

- Chyba jesteście gotowi. - Mister Ng przyjrzał im się krytycznie. - Nic więcej nie da się raczej wymyśleć.

- Chwileczkę. - Frank nagle coś sobie przypomniał. - A w jaki sposób będziemy się kontaktować? Mówił pan, że będziecie nas pilotować. Macie dla nas jakiś system łączności?

- Jakikolwiek urządzenia są zbyt niebezpieczne. Mają tam świetny sprzęt. Nie zapominaj, że część z nich pracowała w agencjach kosmicznych. Namierzyliby was w trzy sekundy.

- Więc jak...? Nie powie mi pan chyba, że będziemy tam zdani tylko na siebie?

- Skontaktujemy się przez sen. Będę się wam śnił.

- Słucham?!

- Pan Ng będzie się wam śnił. - Profesor Sonnenberg położył Frankowi dłoń na ramieniu.

- Znam go, potrafi takie rzeczy.

Będzie nam się śnił! Jasne. Niech to wszystko, cholera, trafi najjaśniejszy szlag! Frank nie mógł wprost uwierzyć, że to właśnie on wciąż musi spotykać takich świrów. Najpierw ci popaprańcy z marsjańskiej sekty, teraz ten niewyrośnięty specjalista od łączności przez sen. Kogo jeszcze spotkam w tym tygodniu? - myślał z przekąsem. Spojrzał w bok na siedzącą obok kobietę. A ta, ciekawe, co ona chowa w zanadrzu? Może jest wilkołakiem?

Pędzili trzysta kilometrów na godzinę po moście nad Kanałem. Jedyne, co było w tym wszystkim dobre, to samochód. „Organizacja” mocno się postarała, żeby ich para rzeczywiście wyglądała na zamożnych ludzi. Frank jeszcze nigdy nie siedział w czymś takim. Skórzane siedzenia, mahoniowa deska rozdzielcza i naprawdę, naprawdę dużo miejsca. No i wszystkie te urocze gadżety - barek, system kina samochodowego. Robiło wrażenie.

Zastanawiał się po raz już nie wiadomo który, po co to wszystko robił. Po co się w to w ogóle pchał? Kochał Nataszę i chciał jej pomóc. To na pewno. Czy na tyle jednak, żeby dać się zabić? Tego nie był już taki pewny. Miał (to już drugi powód) ten cholerny, policyjny nawyk ścigania bandytów. A to są bandyci. Można więc powiedzieć - przyzwyczajenie zawodowe. Tylko czy, dajmy na to, lekarz da się zabić, żeby móc wyleczyć pacjenta? No chyba nie.

Frank spojrzął po raz drugi na Atinę. Właśnie sobie wyobraził, jak pogardliwie by prychnęła, jak wydełaby wargi i co by powiedziała, gdyby teraz zrezygnował. No tak. Wychodzi na to, że da się zabić, bo nie ma dość odwagi, by powiedzieć kobiecie, którą poznał ledwo przed dwoma tygodniami, że strach go obleciał. Niezły paradoks. To są właśnie uroki bycia mężczyzną. Trzeba wypiąć pierś i ściskając w rękach karabin, dumnie kroczyć naprzeciw kulom, choć tak naprawdę chciałoby się uciec do mamusi. Cóż... jak trzeba, to trzeba.

- A ty, dlaczego to robisz? - zapytał.

Atina popatrzyła na niego z ciekawością.

- No proszę, zauważyłeś mnie wreszcie. A już myślałam, że uznałeś mnie za element swojego wyposażenia, jak ten samochód.

- Daj spokój. Skończmy już z tymi przepychankami. No, dlaczego?

- Tata mi kazał - odparła wesoło.

- Nie żartuj!

- Naprawdę.

- Kto?

- Mister Ng. Nie jestem podobna?

Popatrzył na nią osłupiały.

- Pan Ng jest twoim ojcem?!

- Całe szczęście wdałam się w mamę. Przynajmniej z wyglądu.

Gdyby Frank kierował w tej chwili samochodem, na pewno z wrażenia walnąłby w jakieś drzewo. Bogu dzięki jakiś dobry człowiek wymyślił autopiloty. No i na moście nie było drzew.

- I on kazał ci tam pójść?

- No, nie do końca. To wszystko nie jest takie proste. Sama chciałam.

Atina rzeczywiście nie wyglądała na kobietę, której ktoś, nawet tatuś, mógłby coś rozkazać.

- Powiesz coś więcej, czy mam umrzeć w nieświadomości?

- Nie umrzesz - powiedziała bardzo poważnie. - Przynajmniej nie w najbliższej przyszłości.

- A ty co, masz implant? Kosmici ci powiedzieli?

Spojrzała na niego ze złością.

- Nigdy więcej tak nie żartuj! To wcale nie jest śmieszne.

OK, nie chcesz, to nie mów. Bez łaski, myślał.

- A my, jak my się tam będziemy komunikować? - zmienił temat. - Wszystko tam pewnie jest na podsłuchu. Prawdopodobnie mają też kamery. Musimy rozmawiać ze sobą, jakbyśmy rzeczywiście byli znużonym małżeństwem. Trzeba będzie wymyślić kod porozumiewawczy.

- Nic z tego. Jak zaczniemy dawać sobie znaki albo mówić dziwne rzeczy w rodzaju „ciotka Zuzanna połknęła szpilkę”, na pewno się zorientują. Musimy zachowywać się absolutnie normalnie.

- To jak będziemy się porozumiewać? Jakoś przecież musimy.

- Intuicyjnie. To jedyne wyjście. Oboje znamy sytuację, oboje wiemy, jaki jest nasz cel, musimy spróbować rozumieć się bez słów. Poza tym mój ojciec będzie się śnił nam obojgu, to też rodzaj kontaktu.

Świetnie, nie ma co. Frank westchnął.

- No to przynajmniej jedno sobie ustaliliśmy - powiedział głośno. - Pozwolisz, że włączę muzykę? Żoneczko? - dodał po chwili.

- Jak sobie życzysz, kochanie.

Jeśli Frank miał kiedyś wrażenie *deja vu*, to właśnie teraz. Budynek Światowego Centrum Medytacji Kosmicznej wyglądał dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy był tu z Nataszą. W

środku to samo ogromne drzewo i nawet ta sama uprzejmie uśmiechnięta kobieta, która właśnie do nich podchodziła.

- Dzień dobry państwu! Czym mogę służyć?

Frankowi zaschło momentalnie w gardle. Był pewien, po prostu był pewien, że go rozpoznała.

- Ja i mój mąż byliśmy umówieni. Dzwonił do nas taki śmieszny człowieczek, chyba Chris jakiś tam. Na pewno pani o nas słyszała, jestem Andrea Wilson, a to mój mąż, Frank Wilson, branża energetyczna.

Trzeba przyznać, że Atina fenomenalnie grała idiotkę.

- Oczywiście! - Kobieta przybrała najlepszy ze swoich uśmiechów. - Pan Karloff już na państwa czeka.

Pan Karloff? - zdziwił się Frank. Coś takiego! Jednak to prawda, że pieniądze otwierają wszystkie drzwi.

Ruszyli przeszklonym holem w kierunku windy.

- Jak państwu minęła podróż? - kobieta była ciepła i przyjacielska, niczym agent ubezpieczeniowy próbujący wcisnąć klientowi polisę.

- Och, świetnie! Właśnie wracamy z Nepalu, szukaliśmy tam harmonii, rozumie pani. Ale Himalaje to jednak nie to samo co kiedyś! Straaszne tłumy. Niedługo byle księgowego będzie stać na domek pod Mount Everestem! - Atinie najwyraźniej sprawiało wielką przyjemność udawanie bogatej snobki.

Weszli do windy. Nie była to jednak ta winda, którą Frank jechał na górę poprzednim razem. Ta najprawdopodobniej służyła wyłącznie panu Karloffowi i wiozła gości bezpośrednio do jego apartamentów. Kiedy ruszyli, aż zaparło mu dech.

- Spore przyspieszenie - powiedział.

- Jedziemy na ostatnie piętro - pospieszyła z wyjaśnieniami kobieta. - Dystans dwustu dziesięciu pięter winda pokonuje w czasie około trzydziestu sekund.

Dwieście dziesięć pięter, czyli jakieś osiemset czterdzieści metrów, szybko obliczył Frank. Że też ludziom chce się budować tak wysokie dziadostwa.

Po chwili dojechali na miejsce. Drzwi windy rozsunęły się, ukazując wiodące ku górze schody.

- Proszę za mną. - Kobieta ruszyła przodem. To, co ujrzeli na górze, robiło naprawdę spore wrażenie. Całe ostatnie piętro wysokościowca pozbawione było ścian. Zamiast nich, nad podłogą wyglądającą jak pokryta dywanem platforma do lądowania helikopterów, wznosiła się wielka, szklana kopuła. Widzieli stąd całe Euro, gdzieś daleko połyskiwał nawet Kanał. Frank miał wrażenie, że stoi na szczycie wielkiej góry. Wręcz oczekiwał, że zaraz poczuje na twarzy wiatr, a w uszach zabrzmiał charakterystyczny świst.

- Oto gabinet pana Karloffa. - Kobieta skłoniła się i przepuściła gości przodem.

Frank dopiero teraz zauważył, że pod szklaną kopułą znajduje się zwykłe, niczym nie wyróżniające się biuro. Dostyc niecodziennie wyglądało ono na tle odległych chmur. Musi tu być niesamowicie nocą, pomyślał. Nad głową gwiazdy, a prawie kilometr w dół jarzące się wszystkimi światłami Euro... Karloff musi się tu czuć jak w tym swoim kosmosie.

Na środku wielkiej, wiszącej jakby w powietrzu podłogi stało duże, czarne, mahoniowe biurko z rzeźbionymi nogami w kształcie głów smoka. Tuż za nim wyrastał wysoki fotel przypominający tron. Na nim siedział człowiek, którego Frank widział już przemawiającego na farmie.

- Państwo Wilson – poinformowała kobieta i natychmiast wyszła.

- Proszę usiąść – powiedział gospodarz i wskazał coś za plecami gości. Tuż za Frankiem i Atiną stały dwa wygodne, skórzane fotele. Frank przysięgłby, że jeszcze przed chwilą ich nie było.

- Bardzo się cieszę, że zdecydowali się państwo nas odwiedzić – mężczyzna mówił powoli i cały czas nie spuszczał z nich wzroku. – Nasze bractwo zawsze z radością wita w swym gronie tak znamienitych i szanowanych obywateli.

To znaczy bogatych, pomyślał Frank. Miałeś na myśli bogoli.

Widać było, że także na Atinie całe to otoczenie zrobiło spore wrażenie. Szybko się jednak pozbierała.

- Słyszeliśmy wiele o bractwie od naszych przyjaciół – zaszczebotała. – Braliśmy już nawet udział w jednym sensie. Gdzie to było, kochanie? Chyba na Riwierze. Baaardzo nam się podobało, prawda? – zwróciła się do Franka.

- Tak. Bardzo – odpowiedział. Jeszcze nie całkiem pewnie czuł się z nową twarzą. Miał wrażenie, że za chwilę odpadnie mu od czaszki. Na wszelki wypadek wołał za dużo nie ruszać ustami.

- Mój mąż – Atina postanowiła mówić za niego – jest bardzo zainteresowany państwa naukami. Wie pan – ściszyła głos – od jakiegoś czasu ma pewne problemy ze zdrowiem. Nic poważnego całe szczęście, żadnych chorób czy coś w tym rodzaju. Po prostu nie jest już tak sprawny jak kiedyś. Jeśli rozumie pan, co mam na myśli...

No nie!, oburzył się Frank. Zrobiła ze mnie impotent! Tego już chyba za wiele!

- Boi się, że może to być początek, wie pan... – dramatycznie zawiesiła głos. – Lekarze nie chcą niestety nam pomóc. Uparcie twierdzą, że wszystko jest w porządku, a te problemy, no... o których mówię, są natury psychicznej. Psychicznej! Pan sobie wyobraża? I my za coś takiego mamy im płacić nasze pieniądze? No niech pan sam powie!

- Kochanie, przestań już... – Frank naprawdę czuł się zażenowany.

- No i wie pan – kontynuowała niezrażona Atina. – Może te implanty...

Karloff chrząknął lekko i poprawił się na swoim tronie.

- Tak, oczywiście. Na pewno będziemy w stanie państwu pomóc. Jednak nasza działalność ma przede wszystkim aspekt duchowy...

- Nie, jasne! Duchowość też nas bardzo interesuje. – Atina była w swoim żywiole. – Mamy nawet w domu posążek takiego grubego Buddy, a mąż bardzo lubi sushi...

Teraz to już chyba trochę jednak przesadza, pomyślał Frank.

- Wpłaciliśmy na państwa konto pewną sumę pieniędzy – starał się nadać swojemu głosowi możliwie stateczne brzmienie. – Na początek, to się rozumie. Chcielibyśmy w zamian, że się tak wyrażę, przystąpić do waszej wspólnoty.

- Moglibyście przystąpić do naszej wspólnoty, nawet gdybyście byli żebrakami – poważnie odparł Karloff. – Ale oczywiście wszelką pomoc przyjmiemy z wdzięcznością.

- Oczywiście. - Frank pozwolił sobie na odrobinę ironii. - Nie od wczoraj robię interesy, wiem, co ma pan na myśli.

- Póki co, proszę się u nas rozgościć. Przygotowaliśmy dla państwa najlepszy apartament. Właściwy kurs odnowy duchowej rozpocznie się jutro. Dziś proszę rozejrzeć się i odpocząć.

- Dziękujemy bardzo. - Frank wstał, uznając audiencję za zakończoną. - Niezwykle miło było pana poznać. Wiele o panu słyszeliśmy.

- Macie tu solarium? - zainteresowała się Atina.

Apartament, który przydzieliło im bractwo, rzeczywiście zasługiwał na swoją nazwę. Skórzane fotele i kanapa, dębowe meble (Frank sprawdził - lity dąb, nie jakieś tam imitacje), kryształowe lustra i wielkie, ogromne łóże w sypialni. Wszystko jednak przebijała łazienka. Wanna wielkości małego basenu, poziacane (chyba) krany i kłamki, no i panel sterowniczy, który wyglądał, jakby służył do obsługi elektrowni atomowej, a nie prysznicza i urządzenia do hydromasażu. Frank ze wszystkich sił starał się nie dać po sobie poznać, jak duże wrażenie zrobił na nim ten luksus. Grał przecież bogacza, powinien być do takich rzeczy przyzwyczajony. Z najwyższym trudem przezwyciężył w sobie pokusę, by nie rzucić się na wielkie łóżko albo nie pobawić się kurkami w łazience. Zamiast tego przybrał znudzony wyraz twarzy i usiadł na fotelu.

Atina, jak przystało na kobietę, zajęła się rozstawianiem kosmetyków w łazience.

- Niezwykły człowiek, prawda kochanie? - krzyknęła przez otwarte drzwi.

- Tak - odpowiedział głośno. - Widać, że to wielka osobowość.

- Co mówisz? - Wychyliła się z łazienki.

- Że to wielka osobowość!

- Aha. I to jego biuro! Zróbmy coś takiego u nas!

- Nie mamy tak wysokiego domu.

Granie małżeństwa bogaczy zaczęło im chyba obojgu sprawiać przyjemność.

- No to co! - odkrzyknęła z łazienki Atina. - Moglibyśmy podwyższyć budynek o jedno piętro, a na dachu zbudować taką szklaną kopułę.

- Jedyne, co byś stamtąd widziała, to dom Hotkinsów, oni za to widzieliby nas jak na dłoni.

- Dlaczego ty zawsze musisz utraćć wszystkie moje pomysły! - pożałowała się głosem skrzywdzonego dziecka.

- Bo jestem od ciebie mądrzejszy, kochanie.

Zapadał wieczór i w sposób nieunikniony nadchodziła pora położenia się do łóżka. Wspólnego łóżka.

- Kto się pierwszy myje, ja czy ty? - krzyknęła z łazienki Atina.

- Myj się. Ja jeszcze trochę poczytam.

Na stoliku leżały czasopisma wydawane przez sektę - kilka numerów tygodnika o nazwie *Przebudzenie*, wyglądających jak foldery reklamowe. Frank zaczął kartkować jeden z nich.

- Nie mają tu aromatyzera! - krzyknęła Atina.

Aromatyzер? Co to, u diabła, jest aromatyzер? Frank zaczął przeglądać tytuły artykułów. *Nowe przesłania Kosmicznych Braci, Starożytnie przepowiednie, Powrót na Marsa*. Odłożył ten

numer i wziął następną. *Głosy z Kosmosu, Przepowiednie na temat końca świata, Nowa Ziemia na Marsie*. Zdaje się, że nie mają tu zbyt szerokich zainteresowań, stwierdził.

Atina wyszła z łazienki. Ubrana była w szlafrok, a na głowie miała zakręcone wałki. Musiał przyznać, że nawet teraz wyglądała prześlicznie.

- Wolne - powiedziała.

Frank odłożył gazetę i poczłapał do łazienki. Unosił się tam jeszcze zapach tych wszystkich kobiecych kosmetyków, których przeznaczenia żaden prawdziwy mężczyzna nie jest w stanie odgadnąć nawet w połowie. Wciągnął głęboko to ciepłe, pachnące, wilgotne od niedawnej kąpieli powietrze. Musiał się powstrzymać, żeby tym razem nie zacząć grzebać wśród przedmiotów pozostawionych przez Atinę na półce. Rozebrał się i wszedł pod prysznic. Strumienie wody uderzyły w niego ze wszystkich stron. Skoro jesteście małżeństwem, ciągnął rozważania, to może pójść tam i zażądać tego, co mi się prawnie należy? Jeśli nie chce nas zdekonspirować, będzie musiała się zgodzić.

Uśmiechnął się do siebie. To był, trzeba to przyznać, bardzo kuszący pomysł. Sam jednak wiedział aż za dobrze, że absolutnie, wyłącznie teoretyczny.

Wytarł się i zaczął myć zęby. Wolał nie patrzeć w lustro, żeby nie zobaczyć tam swojego nowego odbicia. Wyplukał usta i usiadł na stołku kąpielowym. Starał się podświadomie odwiec powrót do sypialni. No bo jakże to tak? Zdrowa kobieta i zdrowy mężczyzna w jednym łóżku i nic? Było w tej sytuacji coś wysoce nienormalnego. Coś krępującego i niepokojącego nawet. A jeśli, dajmy na to... są przecież pewne odruchy fizjologiczne... nawet przez sen... Matko, chyba by umarł ze wstydu!

Na wszelki wypadek założył bardzo obciste slipki.

- Jakie seksowne slipki! - zauważyła Atina. - Nowe? Szkoda, kochanie, że ostatnio... - westchnęła i odwróciła się do ściany.

Teraz dopiero wszystko zrozumiał! Ta cała historia z jego impotencją miała stanowić alibi! Jeśli te małe gnojki zainstalowały tu swoje kamery, nie zdziwią się, że przez całą noc Atina i Frank będą leżeć grzecznie na dwóch przeciwległych krańcach łóżka. Sprytne.

Wyłączył światło i wsunął się pod kołdrę. Jeszcze przez chwilę półprzytomnie roił „co by było, gdyby”, a potem zapadł w sen.

Cisza. Cisza i ciemność. W zasadzie nie ciemność, bo tu i ówdzie dało się dostrzec, ale raczej kątem oka, białkiem bardziej, niż samą źrenicą, coś jakby lekki poblask. Cisza też zresztą nie była całkowita. Słyszał ją, słyszał tę ciszę, jakby przestrzeń sama sobą generowała jakiś nieokreślony, ale wyczuwalny przecież dźwięk. Frank rozejrzał się, próbując dostrzec cokolwiek. Tuż za nimi płynęli inni. Dwie, trzy, może cztery łodzie. Długie, pełne ludzi nasłuchujących w napięciu jak on. Wiosła z cichym, regularnym pluskiem zanurzały się i wynurzały z wody. Prawie widział, choć w zasadzie bardziej wydawało mu się, że widzi ich mokre pióra unoszące się co i raz nad powierzchnią.

Nagle, gdzieś z prawego brzegu rzeki, wystrzelił w ich kierunku biały jęzor ognia. Najpierw jeden, potem drugi i trzeci. Z początku bezgłośnie, jakby nierzeczywiście, wkrótce jednak dołączyły do nich świst, huk, potem plusk rozbryzgującej się wody. Frank poczuł na twarzy zimne krople, łodzią coś zakołysało, a z przodu i z tyłu doleciały przytłumione krzyki, jakby rzeka zarojła się nagle ludźmi. „Do brzegu! Do brzegu! Wiosłujcie do brzegu!”

Chwycił mocniej wiosło i zaczął wiosłować z całych sił. Łódź skręciła, a jej dziób wrył się w wodę. Ostrzał zyskiwał na sile z każdą sekundą. Błyski i huki zlały się niemalże w jedną ciągłą, pulsującą światłem i grzmotem nawałnicę. Rozbryzgi przybliżały się coraz bardziej. Frank tracił powoli dech, a krople wody zalewały mu oczy. Nagle tuż nad głową usłyszał długie, przelatujące wycie. Chwilę potem gdzieś z tyłu rozległ się trzask jakby łamanych desek i przeraźliwe, pełne bólu wrzaski. Łódź podniosła się i opadła na wzburzonej fali.

Wstrzelili się, pomyślał z przerażeniem. Jakby przywołane tą myślą, nad ich głowami przeleciały kolejne pociski. Woda zagotowała się niemalże od wybuchów. Kolejne łodzie z suchym trzaskiem, żegnane przerażonymi głosami rannych i tonących, szły na dno. Strach, okropny, zwierzęcy strach zalał mu myśli czarną falą. Wioślarze z jego łodzi dawno już zgubili rytm. Krzyczeliby, wylili ze strachu, gdyby ich dłoni na wiosłach i szczęk nie zaciskała ta jedna, jedyna myśl silniejsza niż wszystko, czego do tej pory pragnęli: byle do brzegu.

Tego pocisku nie usłyszał. W stroboskopowym świetle rozbłyskujących co i raz wybuchów zobaczył nagle, jak jego łódź rwie się i łamie w pół, a ludziom przed nim siedzącym odlatują jakby w zwolnionym tempie ręce, głowy i kawałki ciała. Poczul, jakby ktoś uderzył go w piersi stukilowym młotem. Oczy spowiła mu ciemność, a on sam poszybował gdzieś do tyłu jak zdmuchnięty ze stołu paproch. Plecami uderzył w powierzchnię wody. Wkrótce potem poczuł w ustach smak wdzierającej się do gardła rzeki.

Opadał powoli. Huk wystrzałów zastąpiła nagle szumiąca i bulgocząca cisza. Było ciemno, tylko gdzieś w górze dały się co jakiś czas dostrzec fosforyzujące, blade błyski. Wkrótce jednak i one zniknęły. Nie wiedział – żyje jeszcze, czy już nie? Wszystko ogarniał otepiający spokój. Nagle miękko o coś uderzył. Dno, pomyślał, jakby była to rzecz najoczywistsza na świecie, jakby chodziło o windę, która zatrzymała się na parterze. Teraz będzie mógł wstać i pójść do domu. Tak...

Wokół panowała nieprzenikniona ciemność. Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Coś białego i bladego sunęło w jego stronę. Twarz! Ludzka twarz! Wprost na niego cicho i bezszelestnie jak ryba płynął człowiek! Frank chciał się ruszyć, odepchnąć jakoś, żeby popłynąć mu na spotkanie, ale nie mógł. Po chwili twarz znalazła się tuż przy nim. Była blada i pomarszczona jak palce u rąk, gdy za długo siedzi się w wannie. Wokół niej falowało coś, chyba włosy. Długie i czarne – musiały należeć kiedyś do kobiety. Z tyłu niewyraźnie połyskiwało równie blade ciało. Twarz zbliżyła się do jego twarzy i uważnie przyjrzała mu się pustymi, wyżartymi przez wodę oczami. Nagle poznał ją, poznał tę twarz. Natasha.

Aaaa... Frank obudził się z cichym krzykiem. Sen, cholera, to tylko sen... Obok spokojnie oddychała Atina. Było cicho, cicho i ciemno, musiała trwać jeszcze noc. Do położonego tak wysoko apartamentu nie docierał z miasta żaden dźwięk. Tylko szyby rozświetlał lekki poblask.

Poczul pod głową wilgoć. Jego poduszka była mokra od potu. Usiadł na łóżku i głęboko odetchnął. Bosymi stopami dotknął dywanu. Ta ciepła miękkość uspokoiła go trochę. W końcu to tylko zwykły koszmar. Miliardom ludzi śnią się koszmary. Być może części z nich nawet w tej chwili.

Zaraz, zaraz, coś tu jednak było nie tak... Coś niepokoiło go i nie pozwalało tak po prostu poprawić poduszki, położyć się na drugim boku i zasnąć. Tylko co? No co? Co, u diabła...

Postanowił przełożyć te rozważenia na rano. Już, już miał odwrócić poduszkę na suchą stronę i z cichym westchnieniem złożyć głowę na jej chłodnej powierzchni, gdy nagle zrozumiał. Ten sen... Pamiętał go!

ROZDZIAŁ XI

- Kochanie, jak ci się spało? - Atina wpatrywała się w twarz Franka z napięciem.

Nie, pomyślał, nie snił mi się twój ojciec.

- Przyśnił mi się jakiś koszmar. Nic nadzwyczajnego. A ty, jak spałeś?

- Dobrze - odpowiedziała z ledwie wyczuwalnym rozczarowaniem. - Nic nie pamiętam.

Była już całkowicie ubrana. Musiała wstać znacznie wcześniej. Frank przeciągnął się na łóżku i ziewnął.

- Nie wiesz, gdzie jemy śniadanie? - spytał.

- Dzwoniła ta kobieta z recepcji. Powiedziała, że śniadanie podadzą za pół godziny na trzydziestym drugim piętrze. Zjemy je razem z innymi uczestnikami kursu.

- Nie możemy zamówić do pokoju?

- Nie. Chodzi o wytworzenie poczucia wspólnoty, czy czegoś takiego.

- Trudno - powiedział i jeszcze raz ziewnął. Jak łatwo człowiek przyzwyczaja się do luksusu! Czuł się rozczarowany, że nie będzie mógł zjeść śniadania w łóżku.

- Wstawaj, kochanie! Dość tego leniuchowania! Musisz się jeszcze wykąpać i ogolić. Chyba nie chcesz spędzić całego dnia w łóżku? - ponagliła go Atina.

Wykąpać? Przecież wczoraj przed snem się kąpał! Czyżby się w nocy ubrudził? Frank prawie już zapomniał, że kobiety mają na temat czystości daleko mniej liberalne poglądy niż mężczyźni.

Westchnął, wstał z łóżka i stopami poszukał kapci. Ten wczorajszy sen jakoś dziwnie go rozbił. Drapiąc się po brzuchu poczłapał do łazienki.

Z przyzwyczajenia spojrzął w lustro, lecz widok jego „nowej” twarzy aż go odrzucił. No tak, o tym też zapomniał.

Pomieszczenie, w którym podano śniadanie, przypominała skrzyżowanie refektarza z salą bankietową w hotelu. Na jej środku stał długi, obleczony białym obrusem stół, nakryty dla co najmniej dwudziestu osób, pod ścianą zaś znajdował się również długi bufet. Frank i Atina byli jednymi z pierwszych gości. Frank odruchowo zajął miejsca w strategicznej części stołu, tuż naprzeciwko wejścia. W ten sposób za plecami mieli już tylko ścianę, a przed sobą widok na całe pomieszczenie.

- Co ci przynieść, kochanie? - zapytał Atiny.

- Poczekaj, pójdę z tobą.

Bufet zaopatrzony był nad wyraz dobrze. Po prawej stronie stały soki, herbata i kawa. Obok w specjalnych, termicznych pojemnikach gorące potrawy: jajka na bekonie, frankfurterki, łosoś w sosie koperkowym i ziemniaczane krokietki. Za nimi pełna gama

zimnych przystawek: sałatki, sery, wędliny, owoce morza, gotowane warzywa, krojone ogórki i pomidory. Widok zamykały piętrowe patery z ciastkami i owocami.

Frank przełknął ślinę.

- Pamiętaj, kochanie, że jesteś na diecie. - Atina znacząco położyła mu dłoń na ramieniu.

Jasne, zachnął się w duchu. To znaczy, że mam się nie obżerać, jakbym widział coś takiego pierwszy raz w życiu. Tylko że ja rzeczywiście widzę coś takiego pierwszy raz w życiu.

Po chwili bolesnej rozterki nałożył sobie łososia i jakieś sałatki.

Powoli zjawiali się inni uczestnicy kursu. Korzystając z możliwości, jakie dawało mu jego miejsce, Frank starał się ich wszystkich dokładnie obejrzeć. Trochę przeszkadzało mu w tym, nie ulegało to wątpliwości, naprawdę wyśmienity łosoś - ale może to nawet i lepiej? Przynajmniej nie wyglądał jak szpieg badający ruchy obcych wojsk.

- Dzień dobry, czy to miejsce jest wolne? - Jakies starsze małżeństwo podeszło do krzesł ustawionych dokładnie naprzeciwko Franka i Atiny Wyglądali na emerytów. Raczej niezbyt zamożnych.

- Tak, oczywiście. - Atina uśmiechnęła się i ruchem ręki zaprosiła ich do stołu.

- Państwo przyjechali z daleka? - zagadnął mężczyzna.

- Zza Kanału. Mieszkamy w londyńskiej części - odpowiedział Frank.

- O, to cudownie! - włączyła się kobieta. - My jedziemy aż z Niemiec.

Co w tym takiego cudownego?, zadał sobie pytanie Frank. Powstrzymał się jednak od komentarza i spytał:

- A dokładnie z której części Niemiec?

- Okolice Monachium. Herta i Erich Edrogan. Bardzo nam miło państwa poznać.

- Frank Wilson. A to moja żona Andrea.

Podali sobie ręce nad stołem.

- Anglia! - rozmarzył się mężczyzna. - Mieszkalem tam przez kilka miesięcy, gdy byłem młody. Pracowałem w firmie budowlanej. Stawialiśmy centrum samochodowe pod Londynem. Wie pan, auta wszystkich marek pod jednym dachem. Czy Big Ben jeszcze bije?

- Bije, bije. Tylko znacznie ciszej. Podobno jego dźwięk płoszył gniazdujące nad Tamizą ptaki.

- Nigdzie już nie ma poszanowania dla tradycji. - Pokręcił głową. - Nawet w starej, dobrej Anglii. A państwo co robią?

- Branża energetyczna. Żona zajmuje się działalnością charytatywną.

- Może nam mogłaby pani pomóc? - zażartował mężczyzna. - Emerytury w Niemczech nie są już takie jak kiedyś. Ostatnio musieliśmy przenieść się do mniejszego mieszkania. Wszystko w ogóle schodzi na psy...

- A dlaczego zdecydowali się państwo wziąć udział w kursie? - zainteresowała się Atina.

- Pan Karloff ma rację - z wielkim przekonaniem zaczęła nagle mówić kobieta. - Ziemia skazana jest na zagładę. Susze, epidemie, zatrucie środowiska... Zalew emigrantów - dodała ciszej. - Tylko ktoś taki jak on może nas z tego wyciągnąć!

- Jednak ci kosmici... - Frank nie mógł się powstrzymać. - Jakoś nie bardzo jestem w stanie do końca w to uwierzyć.

Atina kopnęła go pod stołem.

- A brał pan kiedyś udział w kontakcie? - zaperzyła się kobieta. - Oni naprawdę tam do nas przemawiają, naprawdę!

- Pamiętasz, kochanie? Przecież ci się podobało! - Atina próbowała ratować sytuację.

- Tak, rzeczywiście. Coś w tym jest. - Frank był już grzeczny. - No i pan Karloff - dodał z własnej inicjatywy - to wielkiej klasy osobowość!

- Tak! - zapalił się mężczyzna. - Wielki człowiek! Naprawdę wielki! Słyszał pan kiedyś, jak przemawia? Aż przechodzą ciarki. A wie pan, że w naszym wieku na częste przechodzenie ciarek już raczej nie ma co liczyć! - Puścił do Franka oko.

Ciekawe, czy miał też na myśli mój wiek?, zastanowił się Frank. Czyżbym wyglądał aż tak staro?

Rozważania przerwało mu wejście jakiejś kobiety.

- Drodzy bracia i siostry, witamy was bardzo serdecznie w naszym centrum! - oznajmiła.

- Jeśli już zjedliście śniadanie, proszę, przejdźcie do sali obok. Za dziesięć minut rozpocznie się tam pierwsze spotkanie w ramach naszego kursu medytacji kosmicznej. Dziękuję bardzo!

Ukloniła się i wyszła.

- Bardzo tu wszyscy grzeczni, prawda? - nabożnym głosem odezwała się ich sąsiadka z naprzeciwnika.

- I bardzo dobrze wychowani - stanowczo dodał jej mąż.

Frank wstał.

- Już idziesz, kochanie? - zdziwiła się Atina. - Jeszcze dziesięć minut!

- Doleję sobie kawy. I może wezmę ciasteczko... Chcesz też?

Sala konferencyjna, w której miało się odbyć spotkanie, była trochę za duża jak na tę liczbę osób. Po obu stronach wąskiego, ciągnącego się przez całą salę przejścia stało w równych rzędach co najmniej pięćdziesiąt krzeseł, podczas gdy kurs liczył najwyżej dwudziestu uczestników. „Bracia i siostry”, którzy przybywali powoli z sali śniadaniowej, siadali w różnych miejscach, pozostawiając między sobą dużo wolnej przestrzeni, jakby każdy chciał wytyczyć wokół siebie obszar oddzielający go od innych. Preferowano przy tym raczej tylne rzędy, pierwsze trzy stały za to niemal całkowicie puste. Frank swoim zwyczajem chciał usiąść gdzieś na końcu, aby móc obserwować wszystkich uczestników spotkania, jednak Atina, trzymając go pod rękę delikatnie, acz stanowczo, zaciągnęła go na sam przód. Niedaleko nich zajęło miejsce małżeństwo z Niemiec, zadowolone najwyraźniej, że ma już jakichś znajomych.

Frank rozejrzał się po sali. Ściany i sufit wykonano w całości z telewizyjnych ekranów, a sferyczna konstrukcja stropu przypominała planetarium. Można tu było wyświetlać szerokopanoramiczne, trójwymiarowe filmy, a i aparatura nagłaśniająca też pewnie nie należała do najgorszych. Fajnie oglądać na czymś takim pornosy, pomyślał Frank.

Tuż przed nim znajdował się niewielki podest z wysuwaną z podłogi konsolą, a obok najwyczajniejsze w świecie krzesło.

Czuję się jak w kinie, zadrwił w myślach. Ciekawe, co dziś dają?

Na sali panowała pełna oczekiwania cisza. Większość ludzi, jak zauważył Frank, przybyła na kurs w pojedynkę, par takich jak małżeństwo z Niemiec czy on z Atiną było niewiele.

W ścianie za podestem rozsunęły się nagle wcześniej niewidoczne drzwi. Dokładnie w tym samym momencie górne lampy przygasły, za to podest spowiło jasne, ciepłe światło. Na salę wolnym, pewnym krokiem wkroczył mężczyzna. Był to Gerhard Kaminski, człowiek, który „zabił” Nataszę. Frankowi serce aż podskoczyło do gardła.

- Witajcie, kochani! - mężczyzna mówił spokojnym, mocnym głosem. - Cieszę się, że jesteście tu z nami. Nazywam się Gerhard Kaminski i będę w czasie tego kursu waszym nauczycielem i opiekunem. Jeśli będziecie mieli jakieś pytania, wątpliwości albo po prostu będziecie czegoś potrzebowali, ze wszystkim możecie zgłaszać się do mnie.

Kaminski powiódł po sali poważnym wzrokiem, a potem nagle uśmiechnął się szeroko i ciepło.

- Nie bójcie się - powiedział łagodnie. - Widzę, że część z was podświadomie czegoś się obawia. Nie ma czego, naprawdę! Jesteście tu wśród przyjaciół. Jesteście wśród ludzi, którzy lubią was, a nawet kochają. Popatrzcie teraz na siebie. Jesteście razem, a jednak oddzielnie. Siedzicie tu samotni! Tu grupka, tam grupka, tu jakaś samotna osoba, tam inna. Są między wami wielkie puste przestrzenie! I nie chodzi mi tylko o tych parę niezajętych krzeseł. Chodzi mi o wasze życie! O wasze puste, samotne życie, w którym brakuje czegokolwiek, co byłoby dla was naprawdę ważne. Czy nie mam racji?

Nikt nie odpowiedział. Frank zaś miał dziwne wrażenie, że Kaminski skierował to pytanie do niego, właśnie do niego.

- Nie bójcie się - powtórzył mężczyzna. - Tu znajdziecie wszystko, czego od tak dawna szukacie. Pozwólcie, że zaproponuję wam na początek pewien eksperyment: przywitajcie się z sąsiadami. Tymi, którzy siedzą o te kilka krzeseł dalej. Obawiacie się tego trochę? Boicie się, jak zostanieie przyjęci? Boicie się przekroczyć ten niewidzialny mur, który zawsze oddzielał was od innych ludzi? Pokażę wam, jak to się robi.

Kaminski zszedł z podestu i podeszedł do małżeństwa z Niemiec, które siedziało najbliżej przejścia.

- Cześć, jestem Gerhard - powiedział, kładąc rękę na ramieniu kobiety. - A ty, jak masz na imię?

- Herta - odpowiedziała nieśmiało zagadnięta.

- Jak? Nie słyszę cię. Nie bój się, nic ci się złego nie stanie. Czy ja wyglądam na złego człowieka? - spytał, jakby mówił do małej dziewczynki.

- N-nie - odpowiedziała i podniosła na niego wzrok.

- Co słyszać, Herto? Jak się czujesz?

- Dobrze - odparła już trochę śmieiej.

- Dobrze... Rozmawiamy jak przyjaciele, Herto. Mnie możesz powiedzieć wszystko.

- Dziś rano trochę bolało mnie kolano - poskarżyła się.

- Bardzo? - spytał z troską w głosie.

- Nie, trochę tylko. Przyzwyczałam się już... - dodała cicho. - Już od dwóch lat mnie tak boli.

- Nie przejmuj się. Ciało i dusza stanowią jedność. Kiedy ulecymy twoją duszę, i ten ból zniknie. A ty - zwrócił się do człowieka siedzącego po drugiej stronie przejścia - jak się nazywałeś?

- Ja? El... - zająknął się mężczyzna w średnim wieku, mocno łysiejący i grubawy. - Elmar. Elmar Rothy.

- Witaj, Elmar. Cieszę się, że jesteś tu z nami. Widzę po twojej twarzy, że coś cię gnębi. Powiesz mi, co?

- Pół roku temu umarła moja żona. - Mężczyzna patrzył w podłogę.

- Brakuje ci jej?

- Tak, bardzo - westchnął. - Nie wiem, co ze sobą zrobić.

- A dzieci? Masz dzieci?

- Córkę. Odwiedza mnie raz do roku.

- Nie martw się, tu znajdziesz nową rodzinę. Widzicie? - zwrócił się do wszystkich. - To łatwe. Wystarczy podejść i porozmawiać. Zauważyć drugiego człowieka. Spróbujcie. Wstańcie i spróbujcie. Elmar, wstań! Herto! Przywitaj się ze swoimi sąsiadami z tyłu!

I wtedy nastąpiła rzecz zadziwiająca. Elmar i Herta podnieśli się z miejsc. Z początku nieśmiało, rozglądając się niepewnie na boki, podeszli do sąsiadów. Padły pierwsze, ciche pozdrowienia, wyciągnęły się ręce, spotkały się dłonie. Frank zdumiony rozglądał się wokół. Co za pieprzona sielanka!, pomyślał. Nagle o mało nie zasyczał z bólu. Atina drugi raz tego przedpołudnia kopnęła go w kostkę. Spojrzał na nią z wyrzutem. Dając mu znak oczyma, wstała i przeciskając się pomiędzy krzesłami, ruszyła w kierunku jakiejś młodej, wystraszonej dziewczyny. „Cześć, jestem Andrea” - usłyszał.

No tak, pomyślał, skoro mamy wejść w to głębiej, musimy się starać. Z bezgłośnym westchnieniem wyprostował się i rozejrzał po sali. Wszędzie wokół trwały powitania, pytania „co słyhać?” i poklepywania po ramionach. Podeszedł do dziewczyny, od której właśnie odeszła Atina. Nie była zbyt ładna. Cóż, nie trafił tu przecież dla przyjemności.

- Cześć, jestem Frank. Co słyhać?

- W porządku. - Nieznajoma podniosła nieśmiało wzrok. - Mam na imię Monika. Skąd jesteś?

- Świetnie! Cudownie! - Gerhard Kaminski starał się przekrzyczeć narastający gwar. - Jesteście cudowni! Chodźcie, chodźcie teraz do mnie! Usiądźcie wszyscy tu, blisko mnie!

Gwar ustał. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ludzie przestali rozmawiać i zaczęli zajmować miejsca wokół podestu. Siadali teraz blisko siebie, wypełniając szczerlnie pierwsze rzędy. Frank i Atina także i tym razem starali się znaleźć jak najbliżej.

- Widzicie? - powiedział Kaminski. - To nie było wcale takie trudne. Nie przygotowaliśmy tu dla was żadnych strasznych rzeczy. Wręcz przeciwnie! Poprowadzimy was prostą i łatwą drogą, która zmieni wasze życie i uczyni was szczęśliwymi. Chcecie tego? - spytał łagodnie.

- Tak... - rozległy się niepewne głosy z kilku miejsc.

- Pewnie! Każdy by chciał! - krzyknął wesoło. - Kilka tygodni kursu w luksusowych warunkach i wszystkie problemy znikają! Gdybym opatentował tę metodę, zostałbym milionerem!

Kaminski, Frank musiał to przyznać, potrafił doskonale panować nad widownią. Atmosfera na sali stała się niemalże familijna.

- Nie chodzi mi jednak o pieniądze - jego głos spoważniał. - Chodzi mi o was. Czy wy, gdybyście odkryli patent na szczęście, trzymalibyście go wyłącznie dla siebie?

Kaminski nie spieszył się z odpowiedzią.

- Wiem, że nie - powiedział wreszcie. - My też nie mamy takiego zamiaru. Chcemy, aby wszyscy na świecie poznali tę prawdę, którą my już znamy. Aby ją jednak przyjąć, aby zrozumieć, jak pięknym i odświeżającym jest ona darem, trzeba porzucić tę nędną skorupę, jaką było dotychczas wasze życie. Trzeba zabić w sobie tego małego, wystraszonego człowieczka, bojącego się bezustannie świata i innych ludzi. Trzeba urodzić się na nowo. Nie bójcie się jednak, to nie boli. Wręcz przeciwnie, jest nawet dość przyjemne. No i potem, potem jest naprawdę bosko - mrugnął do nich porozumiewawczo. - Wyobraźcie sobie siebie zadowolonych z życia, pewnych, z zawsze jasnymi, pełnymi wiary myślami. Siebie, którzy myślicie o sobie z sympatią, którzy myślicie o świecie bez strachu, którzy nie boicie się przyszłości. Tak właśnie będzie, i to już niedługo.

- Nie mamy tu jednak czarodziejskiej różdżki ani żadnej cudownej tabletki, nie jesteśmy w stanie zmienić was ot tak - Kaminski pstryknął palcami - na zawołanie. Będziecie musieli przejść pewną drogę, nie macie się jednak czego lękać, poprowadzimy was. Weźmiecie tu udział w kilku ćwiczeniach duchowych, pokażemy wam pewne techniki, dzięki którym otworzycie swoje umysły i pozbedzicie się strachu. Do tego sauna i siłownia gratis - uśmiechnął się, zadowolony z żartu. - Takie wczasy połączone ze zbawieniem. Na początek jednak pokażemy wam film. Z góry przepraszam za brak popcornu.

Na scenie powoli zgąsło światło. Z głośników popłynęła cicha, relaksacyjna muzyka. Oparcia foteli opuściły się, a w powietrzu pojawił się subtelny zapach kwiatów.

- Popatrzcie na świat - głos Kaminskiego dochodził teraz jakby z pewnej odległości. - Popatrzcie na planetę, na której przyszło nam żyć.

Na ekranach rozbłysła wszystkimi kolorami Ziemia. Widać było błękit oceanów, zieleń lasów, biel chmur, żółty piasek pustyni, słychać było śpiew ptaków, szum drzew, krzyki zwierząt. Nagle pojawił się człowiek. Widziany z góry i trochę od tyłu, szedł przed siebie pewnym krokiem. Ubrany był jak pielgrzym, brakowało mu tylko laski. Na horyzoncie zamajaczyło miasto. Człowiek szedł w jego kierunku, a ono rosło coraz bardziej i bardziej. Stawało się wielkie, coraz większe, zapełniało już sobą cały horyzont i przesłaniało niebo. Pielgrzym szedł dalej, aż wkroczył w jego obręb. Szedł po brudnych, zaśmieconych i zatłoczonych ulicach. Mijał żebrzące dzieci, prostytutki, starców grzebiących w śmietnikach. Widział sceny zbrodni i wypadki, trupy leżące na ulicach, płonące samochody, krzyżące i wymachujące pięściami tłumy, obrazy wojny i zniszczenia, głód, spalone i podziurawione pociskami domy.

Człowiek szedł dalej, lecz nie kroczył już tak szybko i pewnie. Jego sylwetka przygarbiła się jakby i zmalała, postać zszarzała i wyblakła. Na czole błyszczały kropelki potu, a rysy ściągnęły się i zastygły.

- To właśnie my - rozległ się głos Kaminskiego. - Tak wyglądamy. Czy jest jakieś wyjście?

Pielgrzym szedł z coraz większym trudem. Powłóczył nogami. Nagle stanął i padł na kolana. Potem przewrócił się i zwinął w kłębek. Zapadał wieczór. Miasto zapłonęło światłami. Mrok gęstniał, aż nastała noc. Wokół zrobiło się pusto.

Człowiek leżał na chodniku i oddychał z trudem. Co i raz przemknął obok niego szczur, przybiegł skądś pies, obwąchał go i pobiegł dalej. Pielgrzym obrócił głowę i spojrzał pustymi, zmęczonymi oczami w niebo. Na firmamencie płonęły pojedyncze gwiazdy, mimo łuny

bijącej od miasta widać je było wyraźnie. Nagle jedna rozbłysnęła jakby jaśniej. Wystrzelił od niej promień, który odbił się błyskiem w oczach leżącego. Człowiek podniósł głowę. W tym momencie promień dotknął jego twarzy, po czym rozszerzył się i objął całą jego postać. Pielgrzym wstał, zadartł do góry głowę i rozpostarł ramiona. Strumień światła porwał go w górę. Obrazy znacznie przyspieszyły. Człowiek leciał, niesiony światłem, oddalając się coraz bardziej od Ziemi. Błękitna planeta malała pod jego stopami, przybierając miast niebieskiego, czerwony odcień, jakby skąpana była we krwi.

- Patrzcie teraz! - głos Kaminskiego stał się naraz wysoki i dźwięczny.

W czerni kosmosu rozbłysły miliardami gwiazdy, wszystkie tak blisko, jakby były na wyciągnięcie ręki. Zbliżały się i przelatowały obok mgławice i galaktyki, co i raz gwałtownie wybuchała supernowa. Z tego wielkiego, kosmicznego tańca emanował majestatyczny, olimpijski spokój. Człowiek leciał z otwartymi szeroko oczami, a jego twarz naznaczona była szczęściem. Naraz tuż przed nim zapłonęło inne, pulsujące spokojnie światło. Zbliżało się coraz szybciej, aż wreszcie oczom człowieka ukazała się piękna, zielono-niebieska planeta. Wkrótce stanął na jej powierzchni. Rosły na niej drzewa i kwiaty, błękitne wstęgi potoków wypływały ze spokojnych, granatowych jezior. Nad ich brzegami spacerowały zwierzęta i ludzie, tuż obok siebie, w całkowitej harmonii. Lew leżał obok gazeli, nie czyniąc jej najmniejszej krzywdy. Na drzewach wisały dojrzałe, soczyste owoce, które ludzie zrywali i jedli z uśmiechami na twarzach. W dali połyskiwały ośnieżone górskie szczyty.

- Oto Nowa Ziemia! - głos Kaminskiego pełen był cichej radości. - Ja właśnie obiecali nam nasi kosmiczni bracia! Czyż nie chcielibyście tam się znaleźć?

Straszny kicz, pomyślał Frank. Kicz i banał. Ale działa, dopowiedziało coś w jego głowie.

- Kochanie, dobrze się czujesz? - głos Atiny pojawił się nagle, niewiadomo skąd. Światło na sali było już zapalone. Ludzie wstawali z miejsc i cicho rozmawiając, szli w kierunku wyjścia.

- Tak - powiedział niepewnie. - Coś dziwnego... Chociaż nie, pewnie tylko mi się zdawało...

- Chodź, zajęcia na dziś skończone. Mamy teraz czas wolny. Pan Kaminski powiedział, że jest tu bardzo piękny basen. Nie masz ochoty popływać?

ROZDZIAŁ XII

Porucznik Frank Quetzalcoatl James, świeżo przybyły na szkolenie do Indii, od samego rana czuł się niezbyt dobrze. W nocy obudził go silny ból głowy, który minął dopiero po przyjęciu podwójnej dawki środków przeciwbólowych. Nie było w tym w sumie nic dziwnego, miał w końcu za sobą kilkunastogodzinną podróż samolotem, zmianę stref czasowych i gwałtowne przejście z europejskiej zimy w sam środek subkontynentalnych upałów. Mimo tych niedogodności postanowił wykorzystać dzień wolny, jaki program pobytu zakładał na aklimatyzację, aby zwiedzić kilka polecanych przez przewodnika zabytków. W końcu nie wiadomo, kiedy następnym razem uda mu się odwiedzić Indie.

Szedł właśnie dość wąską i niemiłosiernie zatłoczoną ulicą w kierunku pobliskiego, niezwykle ponoć interesującego meczetu, który pochodził z początków panowania na tych terenach dynastii Wielkich Mongołów. Od dłuższego czasu żałował swojej wyprawy. Żałował, że zgodnie z sugestiami kolegów nie wynajął taksówki albo chociaż rikszy. Chciał jednak, choć teraz wiedział już, jakie to nierozsądne, poznać ów lokalny koloryt, o którym tyle czytał w książkach.

Lokalny koloryt okazał się tymczasem mieszaniną hałasu, ścisiku, smrodu i niezbyt przyjaznych spojrzeń tubylców, przed którymi nie sposób nigdzie uciec, bowiem ulica, przez którą próbował się przebić, nie miała odgałęzień – można było nią iść tylko do przodu albo do tyłu.

Czuł się coraz bardziej nieswojo. Masa napierających zewsząd ludzi, pot – cudzy i własny – zapachy ekskrementów i przypraw, feeria jaskrawych barw, wszystko to zacieśniało się wokół niego jak pętla. Wtedy właśnie usłyszał krzyk.

W pierwszej chwili odwrócił się, jakby krzyk skierowany był do niego. Spojrzał za siebie jak człowiek, który na ulicy słyszy nagle swoje imię. Nie dostrzegł nikogo, choć krzyk ciągle trwał. Rozejrzał się po ulicy, jednak na pozostałych przechodniach krzyk zdawał się nie robić żadnego wrażenia. Niektórzy obejrzeli się co prawda, lecz po chwili wrócili do poprzednich zajęć. Frank stwierdził, że również nie będzie zwracać na niego uwagi.

To całkiem właściwe w tej sytuacji postanowienie okazało się jednak nad wyraz trudne do zrealizowania. Krzyk, który ciągle słyszał, nie był bowiem zwykłym krzykiem. Nie brzmiał jak żaden inny krzyk, który człowiek, nawet dobrze wychowany, chcąc nie chcąc słyszy czasem na ulicy. Był przeciągły, monotonny, nie narastał ani nie opadał. Nie wybrzmiewała w nim rozpacz ani ból, raczej determinacja.

Krzyk zdawał się dochodzić gdzieś z tyłu. Przeciskając się przez tłum, Frank podążył w tamtym kierunku. Po chwili dostrzegł człowieka siedzącego w kucki po ścianą odrapanego domu. Człowiek ów był nagi, nogi miał splecione, a plecy wyprostowane. To właśnie on

krzyczał. Robił to powoli, zapamiętane, długo. Krótkie przerwy na oddech wykorzystywał, by spojrzeć na przechodzących obok ludzi. Po chwili znów zamykał oczy i zaczynał krzyczeć.

Frank nigdy wcześniej nie słyszał czegoś podobnego. Nagi człowiek krzyczał z wielką znajomością rzeczy. Wypreżał tułów, zadzierał głowę, jakby chciał zmienić swoje ciało w wielką tubę, z której dobywa się dźwięk. Jego krzyk był przy tym przejmujący, przenikający ciało słuchacza do głębi, choć pozostali przechodnie wydawali się go nie rejestrować.

Frank odchodził poruszony. Jeszcze przez długi czas słyszał w oddali przeciągły, niepokojący dźwięk. W końcu jednak krzyk ucichł.

Na kolacji w centrum konferencyjnym starał się mimochodem poruszyć interesujący go temat. Ach tak – odpowiedzieli jego nowi, hinduscy koledzy – ci dziwni, wrzeszczący na ulicach faceci! To krzyczący derwisze albo coś takiego. Wyznawcy boga Sziwy, jeśli się nie mylimy.

Minęło kilka dni i Frank zapomniał o całym incydencie. Miał pełne ręce roboty, bowiem program szkolenia był bardzo napięty – oprócz wykładów, zawierał także ćwiczenia w terenie oraz ochotniczą pomoc przy budowie miejscowego szpitala.

Właśnie wtedy zaszło jednak wydarzenie, które postawiło całą sprawę w zupełnie innym świetle. Którejś nocy Frank obudził się nagle, powodowany jakimś dziwnym niepokojem. Wsłuchując się w odgłosy dobiegające z ciemności, usłyszał gdzieś w oddali znajomy dźwięk. Zerwał się z łóżka, podbiegł do okna i po chwili był już pewien – słyszał krzyk. Ubrał się pośpiesznie i wypadł na dziedziniec znajdujący się pod oknami pokoju. Teren hotelu, budynki i plac tonęły w srebrzystym księżycowym świetle. Krzyk było stąd słychać o wiele wyraźniej. Dochodził z przeciwległego końca placu, spod ściany, za którą znajdowały się hotelowe garaże. Frank ruszył szybkim krokiem w tamtym kierunku, zastanawiając się po drodze, skąd na terenie dobrze strzeżonego przecież hotelu wziął się w nocy krzyczący derwisz.

W miarę dochodzenia do ściany, krzyk stawał się coraz głośniejszy. Frank wiedział już, gdzie ukrywa się człowiek, którego szukał. W załomie muru, gdzie ciemność była szczególnie gęsta, zdawał się nawet dostrzegać zarysy siedzącej po turecku postaci.

Gdy dotarł do tego miejsca, spotkała go jednak niespodzianka – miejsce w załomie muru było puste. W jego pobliżu również nikogo nie dostrzegł. Krzyk jednak nie ustał. Wręcz przeciwnie, stał się teraz szczególnie głośny, jakby dobiegał tu, stąd, spod tej ściany, jakby ktoś krzyczał Frankowi prosto w ucho.

Niepewnie rozejrzał się wokół. Spostrzegł ochroniarza stojącego na warcie w pobliżu bramy. Wydawał się niczego nie słyszeć, a przecież krzyk był bardzo głośny, mógłby postawić na nogi cały hotel.

Następnego ranka obudził się, nie będąc pewnym, czy dziwne wydarzenia zeszłej nocy rzeczywiście miały miejsce, czy był to tylko koszmar sen. Ich wspomnienie nie dawało mu jednak spokoju. W bibliotece hotelu przypadkiem wpadła mu w ręce książka poświęcona Indiom. Zaczął ją czytać:

Jednym z najbardziej znanych wyobrażeń Sziwy jest Nataradża, Pan Tańca. Ukazuje ono Sziwę jako tancerza otoczonego ognistym kołem płomieni. Okrąg ten symbolizuje wieczny i stale ponawiający się cykl zniszczenia i odnawiania życia.

Jako Nataradża, Sziwa w górnej prawej ręce trzyma bębenek, którego rytmiczne uderzenia wyobrażają nieubłagany upływ czasu. W górnej lewej dłoni trzyma płomień będący symbolem śmierci i zniszczenia, a

także wielkiego ognia, w jakim pograży się świat u kresu kalijugi – ostatniej, najmroczniejszej z czterech epok kosmicznych.

Sziwa – bóg śmierci i zniszczenia – nie jest jednak tym, który odbiera wszelką nadzieję. Jego trzecia, prawa dłoń uniesiona jest ku górze w geście mówiącym: „Nie lękaj się”, natomiast przednia lewa ręka, której palce ułożone są w charakterystyczny kształt wyobrażający głowę stonia (symbol pewności i niezachwianego dążenia do celu), wskazuje na lewą, uniesioną w tanecznym geście nogę, co obrazować ma jedną z podstawowych prawd hinduizmu: wyzwolenie z wiecznego cyklu cierpienia i ułudy osiągnąć można nie tylko przez odwrócenie się od świata i ascezę, lecz także dzięki niezachwianemu podążaniu własną drogą życiową, połączonemu z wyrzeczeniem się pragnienia owoców swych czynów. Symbolem owego wyrzeczenia jest twarz Sziwy – beznamiętna, spokojna i pogodna, co kontrastuje wyraźnie z jego ciałem – wirującym w rytm ekstazy tańca.

Taniec Sziwy ma znaczenie kosmiczne i eschatologiczne. Jego ruchy stwarzają świat, napędzają wieczne koło stworzenia i zniszczenia. Znaczy to także, że świat jest wytworem boskiego tańca – wraz z jego zakończeniem przestanie istnieć. Konsekwencją tego jest traktowanie świata jako ułudy, jako bytu nie istniejącego realnie.

Frank odłożył książkę zniecierpliwiony. Nie wyjawiała mu ona nic z tego, co chciałby wiedzieć. Wrócił do zwykłych, codziennych zajęć, uznając całą sprawę za wytwór rozbudzonej egzotycznymi doznaniem wyobraźni. To normalne, przekonywał sam siebie, umysł reaguje tak czasem na upał i nowe, nieznane otoczenie. Postanowił raz jeszcze udać się do miasta, by ostatecznie rozwiązać swe obawy. Był pewien, że ponowne spotkanie z krzyczącym człowiekiem ukaże mu całą zwyczajność i pospolitość zjawiska, które tak nierozsądnie demonizował.

Po skończonych wykładach, już całkiem spokojny, ruszył do centrum miasta. Szedł w kierunku ulicy, na której po raz pierwszy usłyszał krzyk. Znowu przeciskał się przez tłum, znowu otoczył go natłok kolorów, zapachów i dźwięków. Po kilkunastu minutach z gęszczy rozmów, skrzypień i pokrzykiwań jego ucho wyłowiło znajomy dźwięk.

Krzyczący człowiek siedział na tym samym miejscu co przedtem. Tym razem podszedł do niego blisko, stanął naprzeciw i zaczął uważnie mu się przypatrywać. Starał się nie słyszeć krzyku, który wprawiał go w dziwne zdenerwowanie. Skupił się na obserwacji.

Człowiek, który przed nim siedział, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Twarz miał zniszczoną, skórę ciemną i wysuszoną. Był raczej chudy. Włosy przyprószone siwizną wyraźnie odcinały się od ciemnej karnacji. Na jego czole widniał jakiś znak namalowany białą farbą.

Frank wpatrywał się w niego z napięciem, lekko zaciskając wargi. Mimo najszczerzych chęci, nie umiał opanować drżenia rąk. Krzyk coraz natarczywiej wdzierał się do jego mózgu. Zdawał się wypełniać sobą całą przestrzeń, wypierać wszystkie myśli i uczucia. Resztką sił Frank próbował zachować kontrolę nad swoim umysłem. Nie potrafił dostrzec nic, co chociaż trochę pomogłoby mu zrozumieć sytuację, w jakiej się znalazł. Wreszcie nie wytrzymał. Chwył siedzącego człowieka za ramiona, zaczął nim potrząsać i krzyczeć.

Jego zachowanie wywołało poruszenie na ulicy. W krótkim czasie otoczył go krąg nieprzyjaznych postaci. Człowiek, którym potrząsał, wydawał się przerażony. Na jego twarzy malował się wyraz zaskoczenia i niezrozumienia.

W nocy powtórzyła się sytuacja z poprzedniego dnia. Frank obudził się, słysząc krzyk. Nie wstał jednak i nie wyszedł na zewnątrz. Nie podszedł nawet do okna. Leżał w łóżku, wsłuchując się w daleki odgłos. Czekał, aż ustanie. Bezskutecznie.

Po upływie czasu, którego długość trudno określić, wiedział już, że krzyk nie umilknie. Mimo to starał się zasnąć. Przewracał się z boku na bok, usiłując myśleć o czymś innym.

Rano nie był w stanie stwierdzić, czy spał tej nocy. Nawet jeśli udało mu się zasnąć, krzyk towarzyszył mu także we śnie. Jedno było pewne – o świcie ucichł.

Poranna toaleta przychodziła mu z najwyższą trudnością. Mimo ulgi, jaką czuł, jego głowę wypełniały obrazy i myśli, które nie wróżyły niczego dobrego. Przy pierwszej nadarżającej się sposobności poszedł do hotelowej biblioteki, odnalazł książkę, którą wczoraj przeglądał i zaczął czytać:

W miarę zbliżania się końca cyklu, to znaczy czwartej i ostatniej jugi, ciemności pogłębiają się. Ostatnia juga uważana jest zresztą za wiek ciemności par excellence, gdyż ze względu na grę słów wiąże się ją z boginią Kali, której imię oznacza „Czarna”. W kalijudze człowiek i społeczeństwo doświadczają skrajnej dezintegracji. Wedle Wisznu-purany kalijugę charakteryzuje to, że w epoce tej miejsce zajmowane w hierarchii społecznej wyznacza majątek, bogactwo uznawane jest za jedyne źródło cnót, namiętność i pożądliwość stają się jedynymi więzami łączącymi małżonków, fałsz i kłamstwo – jedynymi warunkami sukcesu życiowego, seks – jedynym źródłem przyjemności. Od wielu tysięcy żyjemy oczywiście w kalijudze.

Dni, które nastąpiły potem, pogorszyły tylko obraz sytuacji. Krzyk, który do tej pory dał się słyszeć wyłącznie w nocy, zaczął odzywać się także za dnia. W piątek Frank słyszał go podczas porannych wykładów. W sobotę dał o sobie znać w czasie popołudniowej sjeisty. W niedzielę towarzyszył mu już przez cały dzień.

Koledzy wkrótce zauważyli jego dziwny stan. Z troską zaczęli wypytywać go o zdrowie. Zbywał ich opowieściami o zatruciu. Coraz trudniej było mu skupić uwagę. Książka, w której jeszcze nie tak dawno szukał odpowiedzi, stała się nagle zbyt trudna. Jej czytanie zdawało się tylko wzmacniać krzyk. Przestał chodzić na ćwiczenia i wykłady.

Odpuśczenie od zajęć dał mu raczej niewiele, pozwolił jednak zebrać myśli. Choć w jego położeniu było to wyjątkowo trudne, kurczowo starał się trzymać resztek zdrowego rozsądku. Wciąż nie rozumiał przyczyny swojego stanu, znał jednak jego bezpośredniego sprawcę. Postanowił podjąć ostatnią, rozpaczliwą próbę obrony.

W poniedziałek rano ubrał się w zwykły, cywilny strój. Rozejrzał się po pokoju jak człowiek, który chce zapamiętać miejsce, do którego już nie powróci. Tuż przed wyjściem zatrzymał się, wrócił i zabrał rewolwer.

Po opuszczeniu hotelu ruszył w kierunku ulicy, na której po raz pierwszy usłyszał krzyk. Szedł szybko, roztrząsając zdziwionych tubylców. Krzyk towarzyszył mu już stale, nie nasilał się ani nie oddalał.

Gdy Frank dotarł na miejsce, nie znalazł jednak nikogo. Miejsce po krzyczącym derwiszu było puste. Nerwowo wypytywał przechodniów, lecz żaden nie znał angielskiego. Naraz wydało mu się, że krzyk, który dochodził do tej pory zewsząd i znikąd, wyraźnie się ukierunkował. Dobiegał teraz z budynku stojącego po drugiej stronie ulicy.

Frank mimowolnie zacisnął dłoń na rękojeści rewolweru. Chwilę się wahał, lecz wreszcie ruszył. Nogi ciężkie jak z ołowiu niechętnie wiodły go do celu. Wszedł do środka. Budynek był kilkupiętrowy, źródło krzyku najprawdopodobniej znajdowało się na ostatnim piętrze. Frank powoli wchodził po drewnianych, wijących się wokół dziedzińca schodach. Mijał po drodze dzieci i zdziwione kobiety w sari.

Krzyk wyraźnie zyskiwał na sile, stawał się głośniejszy w miarę, jak Frank wchodził coraz wyżej. Szedł za nim jak pies tropiący zwierzynę. Gdy dotarł na dach, nie zdziwił się, że znówu nie znalazł tam nikogo. Przypomniała mu się noc w hotelu, gdy po raz pierwszy ruszył na poszukiwanie krzyku. Podszedł blisko krawędzi dachu, gdzie krzyk był najgłośniejszy, wychylił się i spojrzął w dół. Od ziemi dzieliły go dwa, może trzy piętra.

Spadając w dół, mijając po drodze drewniane balustrady i suszące się na sznurach kolorowe tkaniny, wsłuchał się po raz ostatni w dobiegający go zewsząd dźwięk. Mimo świstu wiatru i warkotu przejeżdżającego nieopodal samochodu, zrozumiał coś, co nagle wydało mu się rzeczą niesłychanie oczywistą:

To krzyczał on, porucznik Frank Quetzalcoatl James, lecący z narastającą prędkością w kierunku ziemi, bum.

Frank powoli otworzył oczy. Wkoło panowała nieprzenikniona ciemność. Atina lekko poruszyła się na łóżku. Słyszał jej oddech i nieokreślony szum instalacji budynku. Cholera, zaklął, jasna cholera! Co to było? Sen? Nigdy w życiu nie śnił mu się tak wyrazisty, tak realny sen. Inna sprawa, że w ogóle rzadko coś mu się śniło. Dopiero niedawno... W głowie tłukły mu się jeszcze obrazy z tamtej strony. Starał się je uchwycić, zanim uciekną raz na zawsze w otchłań niepamięci.

Próbował zrekonstruować krok po kroku scenariusz sennego marzenia. Nie wszystko rozumiał. Na przykład kim tak naprawdę był człowiek, który mu się śnił? Nazywał się tak jak on i to był on (czuł to przecież wyraźnie), jednak przez cały czas trwania snu obserwował jego perypetie z pewnym dystansem, jakby oglądał film. Człowiek ów nie wyglądał też jak Frank. Chociaż z drugiej strony za nic nie mógł sobie teraz przypomnieć, jak wyglądał. No i podstawowa sprawa: co to wszystko znaczyło? Czuł podświadomie, że ten sen był w jakiś sposób ważny, że tkwił w nim jakiś przekaz. Tylko jaki? I czy w ogóle w snach może tkwić jakiś przekaz? Przecież dotychczas nie wierzył w takie rzeczy. Jego matka pewnie powiedziałaaby, że wczoraj wieczorem najadł się czegoś ciężkostrawnego i stąd te koszmary.

Przewrócił się na drugi bok. Ręka dotknęła chłodnej szafki przy łóżku. Namacał leżący na niej zegarek. Fluorescencyjna tarcza wskazywała czwartą trzydzieści dwie. Godzina samobójców, pomyślał. Nic dziwnego, że śniły mu się takie rzeczy. To jednak dosyć niezwykle wrażenie, ujrzeć we śnie własną śmierć. Spróbował przypomnieć sobie, jak też wyglądał ten moment, kiedy uderzył w ziemię. Nie, nic raczej tam nie było, właśnie wtedy się obudził. Przez chwilę czuł żal, że ominęła go tak wspaniała okazja, by się przekonać, jak to wtedy jest.

No tak, zreflektował się po chwili, ale to przecież tylko sen. Podświadomie uległ przekonaniu, że rzeczywistość senna istnieje realnie, i że taka przyśniona śmierć wyglądałaby tak samo jak prawdziwa. A to przecież bzdura. Materiał, z którego zbudowany jest sen, może pochodzić tylko z naszych wcześniejszych realnych doświadczeń, a on nigdy jeszcze nie umarł. Tak samo niemożliwe jest, by sen ukazywał przyszłość.

Czyżby?, odezwało się znów coś w jego głowie.

ROZDZIAŁ XIII

- Źle się pan czuje? - Kaminski przypatrywał się Frankowi uważnie.

- Nie, nie... - Frank przywołał na twarz wymuszony uśmiech. - Po prostu... nienajlepiej dziś spałem.

- Śniło się panu coś?

Już wyczuł padlinę, pomyślał z niechęcią. Faktycznie nie czuł się za dobrze.

- Nic specjalnego. Takie tam.

- Proszę nam opowiedzieć. Niech się pan nie obawia, jest pan wśród przyjaciół. Sny są ważnym elementem naszego życia duchowego. Może analiza pańskiego snu pomoże wszystkim tu zebranych? Może otworzy im oczy na kilka spraw, pozwoli zrozumieć parę rzeczy? Przede wszystkim będzie jednak ważna dla pana.

Tere-fere, pomyślał ze złością. Miał ochotę przylać temu arcyprzyjacielskiemu palantowi.

- No, kochanie, nie daj się prosić! - Atina położyła mu dłoń na kolanie i ledwie wyczuwalnie je ścisnęła. - Przecież chcemy przejść wtajemniczenie, prawda?

Spojrzał na nią wzrokiem skazańca. Jasne. Zapomniał. Mieli się starać. Być pilnymi i pojętymi uczniami.

- No więc śniło mi się... śniło mi się, że ktoś mnie gonił, a ja nie mogłem uciekać. Nogi miałem jak przyklejone do ziemi. A raczej ciężkie jak z otowiu.

Kaminski popatrzył na Franka ze smutkiem.

- To naturalne, że nie chce pan mówić o takich sprawach. Sny są bardzo intymną rzeczą. Zwłaszcza te istotne, poruszające do głębi. Nie każdy jest od razu w stanie aż do tego stopnia odsłonić swoje wnętrze. Ale proszę spróbować. Jeśli naprawdę chce pan rozpocząć nowe życie, musi pan przeprogramować całą swoją osobowość. Ten sen to jak zapis najgłębiej skrywanych procedur. Jeśli je poznam, łatwiej mi będzie panu pomóc.

Atina od dłuższego czasu natarczywie przydeptywała Frankowi stopę. Spojrzał na nią kątem oka.

- Śniło mi się, że byłem w Indiach - zaczął z oporem. - Tam usłyszałem krzyk. Krzyk niezwykły, bardzo przejmujący, jakiego nigdy przedtem nie słyszałem. Ten krzyk przesładował mnie, słyszałem go wszędzie, nawet we śnie. Chciałem się od niego uwolnić, ale nie mogłem. Wreszcie zrozumiałem, że to ja krzyczę.

Odetchnął głęboko. Dziwna sprawa, naprawdę zrobiło mu się lżej.

- Jak się skończył ten sen?

- Zginąłem. W zasadzie popełniłem samobójstwo. Skoczyłem z dachu.

Kaminski sprawiał wrażenie bardzo usatysfakcjonowanego. Miał minę, jakby chciał poklepać Franka po ramieniu.

- Niezwykle ciekawy sen. Ukrywa pan przed nami bardzo głęboką osobowość.
- Widzisz! Zawsze mu to mówiłam! - Atina z upodobaniem grała rolę idiotki.
- Szkoda, że nie ma tu twojej matki - odwzajemnił się Frank.
- Co masz do mojej matki?
- Nic. Nigdy mnie nie lubiła.
- Mama? Mama zawsze cię lubiła!
- Akurat!
- Co to znaczy „akurat”?!
- Akurat to akurat.

Frank czuł, jak ogarnia go złość. Złość na Atinę, że kazała mu opowiedzieć ten sen, na siebie, że mu się przyśnił i na Kaminskiego, że był tak cholernie miły. Całą tę złość chciał wyładować na Atinie i jej matce. Fakt, że tak naprawdę nie znał tej drugiej, nie miał tu nic do rzeczy.

- Kochani! - Kaminski nie chciał dopuścić do rozwoju kłótni. - Spokojnie! Wyciszcie się i uspokójcie! Wasza reakcja jest całkowicie naturalna. Ludzie często reagują rozdrażnieniem, gdy próbuje się zerwać tę skorupę, która pokrywa ich dusze. To jak z porodem - towarzyszy mu ból, ale potem rozpoczyna się nowe życie. Powściągnijcie więc emocje i poddajcie się tej sile, która was już niedługo przemieni!

Ten kretyń ma na wszystko gotową odpowiedź, pomyślał z niechęcią Frank, ale zgodnie z sugestią „powściągnął emocje”.

- No dobrze - mruknął. - Niech będzie.

Sala, w której się znajdowali, przypominała wielką oranżerię. Rosły tu drzewa i krzewy, kwitły kwiaty, zieleniła się trawa, a przez środek płynął najspokojniej w świecie najprawdziwszy strumień. A wszystko to na sześćdziesiątym ósmym piętrze w ogromnym pomieszczeniu bez nawet jednego okna. Takie miejsca nazywano biosferami i budowano je w koloniach na Marsie, aby koloniści mogli odreagowywać stres związany z monotonią marsjańskiego krajobrazu. Zdziwiające, że „bracia” zbudowali coś takiego na Ziemi, gdzie wszystkie elementy tego sztucznego rajy występowały przecież w rzeczywistości. A może zresztą nie było w tym nic dziwnego? Sztuczna rzeczywistość jest znacznie wygodniejsza od prawdziwej. Doznania, które oferuje, nie wymagają zbyt wiele wysiłku, a ich intensywność znacznie przewyższa to, co oferuje natura. Dla kogoś, kto przyzwyczał się do obcowania z takim kondensatem, zwykła ziemska łąka musi się wydawać zaledwie nędzną podróbką.

Najbardziej zdumiewająca była trawa, zwykła trawa rosnąca między drzewami i krzewami. Na sześćdziesiątym ósmym piętrze wieżowca w samym środku Euro! Na tej to trawie, na brzegu przepływającego przez środek biosfery strumienia, leżały maty, na matach zaś siedzieli uczestnicy kursu w mniej lub bardziej udanych imitacjach pozycji lotosu.

Atina wyglądała, jakby właśnie w ten sposób siadała zazwyczaj do kolacji. Obie nogi skrzyżowane i założone jedna na drugą, kręgosłup wyprostowany, ręce oparte na kolanach i lekko rozchylone nozdrza - wprost nie można było oderwać od niej oczu. Frankowi za to cierpła lewa noga, bolały go pośladki i przez cały czas myślał tylko o tym, by wreszcie móc z powrotem zgarbić plecy. Inni też nie sprawiali wrażenia przesadnie szczęśliwych.

W środku siedział Kaminski. Od dłuższego już czasu nic nie mówił. Niemal czuło się napięcie, z jakim pozostali uczestnicy kursu czekali na to, co też teraz powie lub zrobi. On jednak tylko siedział, siedział z zamkniętymi oczami, wyprostowany jak struna i milczał. Co i raz któryś z uczestników nie wytrzymywał, podnosił powieki i spoglądał na niego z wyczekiwaniem, jakby pytał: „no i co, długo jeszcze będziemy tak siedzieć?“, lecz po chwili onieśmielony kamiennym spokojem gospodarza na powrót zamykał oczy i pogrążał się w oczekiwaniu. Kiedy Kaminski wreszcie przemówił, zebranych przeszły ciarki.

- Jeśli naprawdę chcecie poczuć rytm kosmosu, wsłuchajcie się w swój oddech. Wszechświaty kurczą się i rozszerzają, gwiazdy zapadają, a potem wybuchają ze zdwojoną siłą jako supernowe. Kosmos oddycha, tak jak my. Wsłuchajcie się w ten rytm. Powolny, głęboki, niespieszny. Zwykle ludzie oddychają płytko i chaotycznie. Ten oddech jest jak ich życie - pełen pośpiechu, nieuważny. Nauczcie się oddychać zgodnie z rytmem kosmosu, powoli, głęboko, napełniając powietrzem całe płuca, a potem zwolna wypuszczając je przez nos. Spróbujcie! Najpierw wdech. Nie spieszcie się. Niech ten oddech będzie teraz najważniejszą rzeczą w całym wszechświecie. Nie myślcie o niczym innym, nie rozpraszać się. Liczy się tylko ten strumień powietrza, wpływający do waszych płuc. Teraz wydech. Powoli. Bardzo powoli. Aż do samego końca. Aż poczujecie w sobie ssącą pustkę. I jeszcze raz.

Postusznie, jeden po drugim, kursanci włączali się w rytm jego oddechu. Kaminski niespiesznie, ale systematycznie zwalniał ten rytm, wydłużał okresy wdechu i wydechu, aż wreszcie ustalił je i ujednotocił na pewnym poziomie. Ten monotony, powolny rytm dziwnie współgrał z szumem przepływającego obok potoku i z odgłosem krwi tętniącej w uszach, który się wkrótce pojawił. Potem dostosowały się do niego myśli, których bieg zwolnił i stał się spokojniejszy, aż wreszcie niemal całkiem zamarł. Świat zniknął gdzieś, odsunął się poza granice wyznaczone przez ten rytm, aż wszyscy, którzy siedzieli na trawie, znaleźli się jakby w wielkiej kuli oddzielającej ich od wszystkiego, co nie było nimi i ich oddechem.

- Spójrzcie teraz w głąb siebie - głos Kaminskiego dochodził jakby z oddali. - Co widzicie?

Frank spojrzał i zdziwił się. Zobaczył siebie, kiedy jeszcze był dzieckiem. Siedział na podłodze w dużym pokoju mieszkania rodziców. Wysoko nad nim, na gigantycznej wprost wysokości swojego wzrostu, jego matka nakrywała do stołu. Frank nie patrzył jednak na nią. Całą jego uwagę przykuwała pewna linia w przestrzeni, poza którą nie miał prawa wyjść. Tę linię wyznaczały drzwi pokoju, za którymi rozciągał się mały korytarzyk, a za nim wiodące w dół schody. Z tych schodów mógł spaść, tak tłumaczył mu jego ojciec. Ale co to znaczy „spaść”? Tego mały Frank nie rozumiał.

Miał za to niezwykłą ochotę pójść tam i zobaczyć (może nawet polizać?) to coś zabronionego. Wiedział jednak, że nie może. Jakaś niezrozumiała siła przytrzymywała go i przyklejała do podłogi, każąc mechanicznie jeździć małym, metalowym samochodzikiem to w przód, to w tył po dywanie i patrzeć jednocześnie w całkiem inną stronę. Tam właśnie, w kierunku, w którym spoglądał, znajdowała się przezroczysta tafla oddzielająca go od nieznanego; niewidoczna, jakby szklana, której bał się i która jednocześnie przyciągała go jak magnes.

Potem obraz się zmienił. Znowu był razem z Nataszą i Kaminskim w sali wyłożonej lustrami. Siedzieli we trójkę, tak jak teraz, na podłodze, a Kaminski coś mówił. Frank znów zobaczył, jak Kaminski podchodzi do Nataszy, wyciąga nóż i jednym wprawnym ruchem

podrzyna jej gardło. Znow zobaczył przewracające się ciało i pochyloną nad nim postać Kaminskiego. Widział zrywane ubranie i ćwiartowane, drgające jeszcze zwłoki. Znow nie mógł nic zrobić, poruszyć się ani nawet krzyknąć. Coś jednak było tym razem inaczej. Siedział oniemiały i przerażony, ale coś przeszkadzało mu oddać się w pełni uczuciu rozpacz i cierpienia. Coś, jak cierń w stopie, uwierało go i odwracało myśli od bólu, który powinien teraz odczuwać. Wreszcie zrozumiał – tym czymś była odbita w lustrze twarz człowieka pochylonego nad Nataszą. Jego twarz.

Nagle ktoś zaczął wołać. Odwrócił się. Stał na wielkiej, ciągnącej się aż po horyzont łące. Gdzieś w oddali biegał pies. I to Frank go wołał. Pies podbiegł bliżej, nie przestając merdać ogonem. Frank osunął się na kolana, aby łatwiej dosięgnąć kudłatego łba. Zwierzę położyło uszy po sobie, wysunęło pysk i zaczęło lizać go po twarzy. Frank zamknął oczy. Ciepłe, mokre liźnięcia. Cała twarz w ciepłej, wilgotnej cieczy. Podniósł powieki. Przed nim, w takiej samej pozycji, na wyciągnięcie ręki, klęczał drugi on. Oczy miał zamknięte, a ręce, tułów i całą twarz umazane krwią.

Najpierw usłyszał głosy. Dochodziły z góry, a on, jak sobie to właśnie uświadomił, leżał. Zza zamkniętych powiek prześwitywało ostre światło. Te głosy coś mówiły, i to mówiły do niego. Nie miał jednak ochoty im odpowiadać. Czuł się zmęczony i osłabiony, i kiedy tak leżał, było mu dobrze. Miał nadzieję, że jeśli poleży tak dostatecznie długo, nie ruszając się i nie odpowiadając, głosy zniechęcą się i odejdą. I zostawią go w spokoju.

- Halo, panie Wilson! Słyszysz nas pan? – głosy nie ustępowały.

Nie ma głupich. Nie odpowie.

- Panie Wilson! – Czyjeś ręce potrząsnęły nim lekko. Ktoś podniósł palcami jego prawą powiekę i zaświecił mu latarką prosto w źrenicę. Frank odruchowo odwrócił głowę.

- Ocknął się.

Otworzył oczy. Jeszcze przez chwilę nic nie widział, przed oczami miał wielką czarną plamę od tej cholernej latarki.

- Panie Wilson! Obudził się pan!

Spojrzał do góry i zobaczył twarz Kaminskiego. Uśmiechała się.

- Co się stało? – zapytał, przytomniejąc.

- Proszę się nie martwić. Wszystko jest w porządku. Miał pan wizję.

Wcale się nie martwił. Wizję?

- Podczas ćwiczeń zapadł pan w trans. Jako jedyny z całej grupy – wyjaśnił Kaminski. Zabrzmiało to jak pochwała.

- No i co? – spytał Frank opryskliwie.

- Został pan wybrany. Pańska wizja to znak powołania. Nasi kosmiczni bracia chcą do pana przemówić.

O cholera! To jest chyba dokładnie to, na co czekali z Atiną! Przepustka do głębszych struktur sekty. Frank momentalnie odzyskał przytomność umysłu.

- Tak?

Dopiero teraz dostrzegł mężczyzn obok Kaminskiego. Ubrani byli w czarne uniformy i uważnie mu się przypatrywali. Jeden z nich zapytał:

- Pamięta pan coś?

- Z tej wizji? Raczej niewiele - odpowiedział na wszelki wypadek.

- Nie szkodzi - pospieszył uspokoić go Kaminski. - Na początku to się często zdarza. Dopiero później, wraz postępującym rozwojem duchowym, adepci nabierają umiejętności świadomego przekraczania granicy obu stanów. Nauczy się pan tego.

Co za ulga, pomyślał Frank. Nagle coś sobie przypomniał.

- A gdzie jest At... Andrea? Moja żona?

- Pańska małżonka wraz z innymi uczestnikami kursu kontynuuje ćwiczenia - odpowiedział mężczyzna wyglądający na lekarza.

- Kontynuuje... - mechanicznie powtórzył Frank. Spojrzał pytająco na nieznanym.

- Teraz proszę leżeć i odpoczywać. Kiedy poczuje się pan lepiej, może pan wrócić do apartamentu. W odpowiedniej chwili wezwiemy pana.

- Kochanie! To cudownie! Taka jestem z ciebie dumna! - głos i postawa Atiny wyrażały najszczerzy entuzjazm, ale oczy obserwowały go badawczo.

- Powiedzieli, że w odpowiedniej chwili mnie wezwą - wytłumaczył, starając się, by zabrzmiało to jak przechwałka.

- I ty naprawdę... miałeś wizję?

- Tak - odpowiedział, patrząc jej w oczy.

Atina prawie niedostrzegalnie spoważniała. Coś jeszcze trajkotała, mówiła, jak to wspaniale, że Frank, i to jako pierwszy z kursu, dostał tego zaszczytu, że szkoda tylko, że nie poczekał na nią, ale to nic, bo na pewno wkrótce do niego dołączy. Mimo to jej spojrzenie wyrażało niepokój. Frank nie miał jednak ochoty go rozwiewać. Czuł się zmęczony. Senny. Szczerze mówiąc, wszystko go denerwowało.

- Położę się teraz na chwilę - powiedział.

Poszedł do sypialni i usiadł na łóżku. Jakoś tak... wszystko mu się pomieszało. Tępo patrzył przed siebie, na widniejącą za oknem panoramę miasta. Zzuł buty i padł na pościel. Atina weszła do sypialni i usiadła obok niego.

- Ja też miałam wczoraj sen - powiedziała. - Śnił mi się mój ojciec.

- Tak? - zapytał bez zainteresowania.

- Mówił, żebyśmy uważali na siebie. Żebyś ty uważał...

Świetna rada, pomyślał. Jakież szczegóły?

Staruszek Ng niezbyt dobrze wywiązywał się z roli medium. Gdyby pracował jako hydraulik, można by mu było nie zapłacić.

Atina zmarszczyła brwi i dotknęła policzka Franka.

- Nieciekawie wyglądasz. Czas chyba przyjąć lekarstwo.

- Jakie znowu lekarstwo? - mruknął. Mogłaby wreszcie zostawić go w spokoju.

- TWOJE lekarstwo - powiedziała z naciskiem. - BARDZO źle wyglądasz.

Zrozumiał, o co chodzi. Wstał i szybko poszedł do łazienki. Faktycznie, odbicie w lustrze zaczęło niebezpiecznie przypominać jego prawdziwą twarz. Zwisające policzki podciągnęły się jakby, a fałdy wygładziły. Indiańska trucizna powoli przestawała działać.

- Masz rację - rzucił w kierunku drzwi. - Nie jest dobrze.

Atina grzebała już w walizce. Po chwili wyciągnęła z niej małą fiolkę i jednorazową strzykawkę.

- Usiądź.

Posłusznie padł na fotel i podciągnął rękaw koszuli. Atina zawiązała mu na przedramieniu opaskę, a potem odnalazła żyłę.

- To jednak bardzo wygodne ożenić się z pielęgniarką - zażartował.

Popatrzyła na niego bez słowa i zacisnęła opaskę jeszcze mocniej. Aż syknął z bólu. Miało to też dobrą stronę, bo prawie nie poczuł ukłucia.

- I jak? - spytała.

- Byłaś boska - odpowiedział. Teraz czuł się jeszcze gorzej.

ROZDZIAŁ XIV

Frank obudził się niespodziewanie. Była noc. Odwrócił się na wznak. Nad sobą, po swojej stronie łóżka zobaczył stojące nieruchomo ciemne postacie. Pewnie jeszcze śpię, pomyślał, lecz w tym momencie jedna z nich pochyliła się i lekko dotknęła jego ręki. Ten dotyk był jak najbardziej realny. Frank chciał coś powiedzieć, może nawet krzyknąć, lecz postać położyła mu delikatnie dłoń na ustach. Atina spała, słyszał obok jej oddech. Nieznajomi rozsunęli się, jakby zapraszali go, by wstał. Usiadł na łóżku, stopami namacał kapcie. Popatrzył na majaczące niewyraźnie sylwetki. Nie mógł dostrzec ich twarzy, było zbyt ciemno. Nagle jedna z postaci wyszła z sypialni, a pozostałe podążyły za nią. Wstał i ruszył ich śladem. Ktoś podał mu ubranie. Mam z nimi iść, pomyślał. Nie czuł strachu ani obawy. Ubrał się i stanął wychekująco. Wyszli na korytarz.

Światła na korytarzu także były zgaszone. Zdziwiło go to, bo wiedział, że zwykle palą się całą noc. Lekki poblask dawały tylko małe światełka umieszczone przy numerach pokoi oraz fosforyzujące listwy przy łączeniu ścian z podłogą, zamontowane zapewne na wypadek awarii. Ich światło było jednak zbyt słabe, żeby cokolwiek rozjaśnić, w zasadzie wskazywały tylko drogę. Ruszyli przed siebie. Przez cały czas panowała nierzeczywista prawie cisza. Skrzypienie podłogi, cichy trzask zamykanych lekko drzwi, szelest, jaki wydaje ubranie podczas ruchu – to jedyne dźwięki, które rozbrzmiewały w ciemności. Nagle przystanęli. Jedna z postaci wyciągnęła rękę i dotknęła ściany. Rozległ się szum rozsuwanych drzwi. Winda, stwierdził Frank. Weszli do środka.

Również w windzie wyłączono światło. Gdy ruszyła, poczuł lekki ucisk w okolicy żołądka. Stał obok nieznanym w absolutnej ciemności i ciszy. Wiele by dał, żeby usłyszeć teraz tę kretyńską muzyczkę, jaką czasem puszczają w hotelowych windach. Mimo uporczywego wpatrywania się w twarze swoich towarzyszy, nie mógł dojrzeć na nich żadnych szczegółów. Mają maski, czy co?, zaczął się zastanawiać.

Wreszcie winda stanęła i drzwi się rozsunęły. Przed sobą miał schody, poznał to po małych lampkach świecących pod każdym stopniem. Ruszyli w górę. Najpierw dwie postacie, potem on, za nim jeszcze dwie. Stopni nie było dużo, najwyżej dziesięć. Mniej więcej w połowie drogi pomyślał, że w zasadzie powinien je policzyć. Tak przynajmniej robiło się w książkach, które czytał w dzieciństwie. Już za moment stwierdził jednak, że to głupie. Co by mu dała ta informacja?

Widok, który ukazał się jego oczom, zaskoczył go zupełnie. Frank znajdował się na dachu wieżowca, w gabinecie Karloffa, teraz to zrozumiał. Wcześniej, kiedy wchodził po schodach, niczego nie widział, bo zasłaniały mu plecy prowadzących go osób. Z wrażenia potknął się na ostatnim stopniu. Wszędzie wokół, prawie na wyciągnięcie ręki, gwiazdy. Cały nieboskłon

rozjarzony milionami świetlnych punkcików. Gwiazdy, a poniżej ciągnące się aż po horyzont światła Euro.

Tak się zapatrzył, że z rozpędu wpadł na idących przed nim ludzi. Zresztą nieznajomi zatrzymali się i rozsunęli. Dopiero teraz zauważył, ku czemu był prowadzony. Tuż przed nim stało w półokręgu kilkanaście osób. Potrafił je dostrzec, bo oblewał je blask, który zdawał się pochodzić z podłogi. Tylko jedną twarz znał i potrafił rozpoznać – należała do stojącego w środku półokręgu Karloffa. Reszta była jakaś dziwna... Ktoś pchnął go lekko, więc zrobił kilka kroków. Przyjrzał się nieznajomym uważniej i serce zamarło mu w piersi. Te twarze były zielone, oczy ogromne i migdałowe, usta małe i wąskie.

Jeden z kosmitów podał coś Karloffowi, ten wziął to i bez słowa podszedł do Franka. Powoli wyciągnął rękę i dotknął dłonią jego czoła. Potem, przesuując dłonią po jego twarzy, zamknął mu oczy i delikatnie otworzył usta. Frank poczuł na języku jakiś przedmiot, chyba kapsułkę, ale nie był tego pewien. Zamknął usta, przełknął. Po chwili wszystko zalało ostre, jaskrawe światło. Otworzył oczy, lecz zaraz znów musiał je zamknąć. Po jakimś czasie, mrużąc powieki, spróbował ponownie. Stał w wielkim, spływającym z nieba słupie światła. Spojrzał w górę. Nad wieżowcem, tuż ponad szklaną kopułą, zawisł ogromny, ciemny, przesłaniający gwiazdy kształt. To z niego spływało światło.

Nagle światło uniosło Franka w górę. Zupełnie jak na tym filmie, pomyślał. Instynktownie schował głowę w ramiona, bojąc się, że uderzy w szklany strop kopuły. Do niczego takiego jednak nie doszło. Nie zdążył nawet się zdziwić, bo oto za chwilę znalazł się w wypełnionym jasnym światłem pomieszczeniu. Od wszystkiego bił jaskrawy blask, który rozmywał kształty i kontury, tak że trudno było cokolwiek dostrzec. Frank stał przez chwilę oszołomiony, ale niespecjalnie nawet zdziwiony. Można by powiedzieć, że czekał na ten moment od dawna, może od zawsze.

Po chwili podeszło do niego kilku obcych. Wyglądali tak samo, jak ci tam, na dole. Wielkie, migdałowe oczy wpatrywały się w niego uważnie. Cienkie, zielone palce zaczęły go dotykać, jakby sprawdzały, z czego jest zrobiony.

Nagle w pomieszczeniu pojawił się stół. Biały, jak cała reszta, wisiał nad podłogą, jakby unosił się w powietrzu. Wyglądał jak stół operacyjny, tylko jakiś taki... lepszy. Tu i ówdzie wystawały z niego różne dziwne przyrządy, służące nie wiadomo do czego.

Jedna z zielonych postaci gestem pokazała, że Frank ma się rozebrać. Zrobił to, jego ubranie opadło na białą podłogę. Obcy poprowadził go ku stołowi.

Położył się, a jego umysł ogarnął dziwny spokój. Nie zastanawiał się, po co tu jest ani co się za chwilę stanie. Gapił się leniwie w sufit (o ile oczywiście było tu coś takiego jak sufit), starając się zgadnąć, skąd pochodzi to niezwykle białe światło. Mimo najszczerzych chęci, nie potrafił jednak odnaleźć jego źródła. Czasami co prawda wydawało mu się, że widzi coś, coś jak tysiące małych lampek czy reflektorów, później jednak wszystko się roztopiało, zamazywało i znowu miał wrażenie, że to po prostu powietrze tak się jarzy.

Tymczasem kosmici zebrali się wokół niego, widział wyraźnie pochylone nad sobą głowy. Chciał się uśmiechnąć, a nawet podnieść dłoń w geście pozdrowienia, ze zdziwieniem jednak stwierdził, że nie może się poruszyć. Nie zmartwiło go to specjalnie. Zielone postacie na pewno wiedziały, co robią. Nagle jedna z nich dotknęła jego brzucha. Poczuł gorąco, potem

coś jakby szczypanie, ale raczej przyjemne niż nieprzyjemne. Zielona dłoń zagłębiła się w jego ciele, czuł to wyraźnie, mimo że nie doświadczał bólu.

Po chwili inne ręce także skierowały się w jego stronę. Otworzono mu jamę brzuszną, później klatkę piersiową. Skupione, pełne powagi twarze przypatrywały się jego wnętrznościom. Nagle zobaczył swoje serce. Jeden z obcych wyjął je, potrzymał przez chwilę, jakby pokazywał innym, po czym obmył w jakimś płynie i włożył z powrotem. Kolejny obcy wyciągnął dłoń, szarpnął lekko i uniósł w powietrze kość. Przyjrzał jej się bez zainteresowania i odłożył na bok. W jego drugiej dłoni pojawił się jakiś lśniący, metaliczny i gładki przedmiot.

A więc to są te słynne implanty! Myśli Franka toczyły się leniwie i doprawdy nic nie było w stanie go zdziwić. Po chwili, włożony wprawnym ruchem w jego ciało, implant znalazł się na właściwym miejscu. Wymienią mi wszystkie kości?, zaczął się zastanawiać Frank. Nie było to jednak pytanie, na które oczekiwał natychmiastowej odpowiedzi. Nie... wcale... Naprawdę nie ma pośpiechu, naprawdę...

Wreszcie operacja dobiegła końca. Wyraźnie zadowoleni kosmici zaczęli zaszywać ciało. A więc to już koniec? Frank był trochę zawiedziony. Okazało się jednak, że nie, bo nagle obok pojawił się drugi stół. Jeden z obcych położył się na nim i wyciągnął rękę. Inny kosmita, za pomocą czegoś w rodzaju węża zaopatrzonego w przyssawki na obu końcach, połączył ją z ręką pacjenta.

Frank poczuł dziwne, musujące ciepło rozlewające się po całym ciele. Krew kosmity torowała sobie drogę w jego żyłach, wypierając tę starą, ludzką. To było bardzo przyjemne uczucie, bardzo. I takie... napawające dumą. Obcy podszedł teraz do jego głowy. Pochylił się, wyciągnął obie ręce i dotknął czoła. Teraz otworzy mi czaszkę, pomyślał dumny Frank, jak dziecko, które odgadło odpowiedź na zagadkę wydrukowaną w gazecie.

Po chwili poczuł znajome szczypanie. To naprawdę dziwne wrażenie widzieć, jak ktoś grzebie ci w głowie. W innej sytuacji na pewno trochę by się bał, teraz jednak wiedział, że wszystko jest w absolutnym porządku. Dostrzegł, jak ktoś podaje coś pochylonej nad nim postaci. Obcy wziął to, po czym potrzymał przed oczami Franka, jakby chciał, żeby się temu dokładnie przyjrzał. Przedmiot był mały, lśniący i wyglądał jak jakieś urządzenie. Coś jak rozrusznik serca albo stymulator hormonalny, albo... no wiecie... To coś zostało włożone do mózgu Franka.

ROZDZIAŁ XV

Kiedy obudził się ponownie, dochodziła już jedenasta. Atina siedziała przy lustrze w sypialni, kończąc makijaż.

- Trochę dziś zaspaleś, kochanie - przywitała go znad rozstawionych kosmetyków. - Spóźnimy się na śniadanie.

Nic nie odpowiedział. Dotknął palcami czoła. Oczywiście że nie było żadnego śladu, tak tylko sprawdził. Odruchowo.

- No, wstawaj, wstawaj! - Atina malowała właśnie rzęsy.

Wstał i ruszył do łazienki. Na ścianie zamontowane tam było duże lustro, sięgające od podłogi aż po sufit. Rozebrał się i stanął przed nim, by dokładnie się przyjrzeć swojemu ciału. Nie, nie po to, żeby odnaleźć jakąś bliznę czy coś takiego. Nie. Wiedział, że kosmiczni bracia - jego kosmiczni bracia - nie zostawiają blizn. Chciał obejrzeć swoje ciało, tak jak się ogląda nowe ubranie po powrocie ze sklepu.

Wszedł pod prysznic. Gorąca woda spływająca po twarzy, piersi i plecach przypomniwała mu wczorajsze uczucie. Ciepło rozchodzące się po wszystkich żyłach, nowa krew...

Wytań się, ubrał i wyszedł z łazienki. W tej samej chwili rozległo się pukanie.

- Proszę! - krzyknęła z sypialni Atina. Do pokoju weszła Natasza. Frank nie był zbyt zdziwiony jej wizytą.

- Pan Karloff prosi pana na zebranie braci - powiedziała i uśmiechnęła się.

- Już idę.

- Kochanie, kto to? - zapytała Atina, nie wychodząc z sypialni.

- Muszę iść. Wzywają mnie - odpowiedział, nie troszcząc się specjalnie, czy usłyszała.

Szli korytarzem, a on nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Za każdym razem, gdy spoglądał na Nataszę, rozpierała go radość. Ciekawe, czy mnie rozpoznała?, zastanawiał się. Nie, na pewno nie! Ta moja głupia twarz! Jakie to wszystko śmieszne i dziecinne... Chciałem się przed nimi ukryć! Nie, nie powie jej teraz. Jeszcze nie. Zrobi jej niespodziankę.

Zebranie odbywało się w gabinecie Karloffa. Kiedy tam wchodził, czuł prawdziwe wzruszenie. Próbował przypomnieć sobie, gdzie stali wczoraj jego kosmiczni bracia. Chyba tam... Nie było wtedy tego wielkiego biurka z rzeźbionymi nogami. A stąd chyba porwał go strumień światła...

Karloff siedział wraz z innymi w kręgu utworzonym ze skórzanych foteli na środku gabinetu. Oprócz niego znajdowali się tam: Kaminski, mały człowieczek z farmy i jeszcze kilka osób, których Frank nie znał. Dwa miejsca były wolne. Jedno z nich zajęła Natasza.

- Witamy, bracie! - pierwszy odezwał się Kaminski. - Usiądź z nami. To miejsce jest dla ciebie.

Frank usiadł na wolnym fotelu. Czuł dumę, ale też zmieszanie. Jak to tak, on, tu, razem z Karloffem...?

- Przywitajmy naszego nowego brata - odezwał się Karloff. - Dziś w nocy dostąpił on wtajemniczenia. Nasi kosmiczni bracia przyjęli go i przemienili na własne podobieństwo, tak jak niegdyś nas. Witaj, bracie!

Pozostali z pomrukiem aprobaty kiwnęli głowami. „Witaj, bracie!”, rozległo się z każdej strony.

- Nasz nowy brat, Frank Wilson, przeszedł wtajemniczenie wyjątkowo szybko. Już po trzech dniach kursu miał objawy powołania. Nasi kosmiczni bracia musieli bardzo go polubić - Kaminski mówił z dumą w głosie, jakby było to jego osobistą zasługą. - Już od pierwszej chwili wiedziałem, że będzie dla nas dobrym nabytkiem - dodał.

- Nasz brat jest znanym i szanowanym przedsiębiorcą - zabrał z kolei głos Karloff. - Pracuje w branży energetycznej. Na pewno będzie w stanie bardzo pomóc naszej wspólnotie.

Frank niespokojnie poruszył się na fotelu.

- Zawsze z wielką radością przyjmujemy do wspólnoty ludzi tak znamienitych i godnych szacunku jak ty, bracie - kontynuował Karloff. - Wysoka pozycja, jaką osiągnąłeś w poprzednim życiu, jest dla nas ważnym sygnałem. Świadczy to, że już wtedy byłeś silny duchowo, a takich ludzi właśnie potrzebujemy. Poza tym twoja pozycja społeczna i zamożność mogą być dla nas bardzo użyteczne. Wielu jeszcze sądzi, że nasze bractwo to zbieranina narkomanów i wyrzutków. Fakt, że wstępują do niego tak znamienici obywatele jak ty, raz na zawsze zamknie usta wszelkim oszczercom. Twój przykład może stanowić dla świata sygnał, jak bardzo się w tym względzie myli. Możesz też wykorzystać kontakty biznesowe, aby pomóc nam przekonać ludzi, od których wiele zależy, że nasze bractwo jest wiarygodnym partnerem w interesach. Takim, z którym warto się liczyć i z którym warto utrzymywać przyjazne kontakty. To pomoże nam umocnić pozycję wspólnoty i na pewno ułatwi realizację planów.

Frank nabrał w płuca powietrza, jakby miał zamiar coś powiedzieć. Żadne słowo nie opuściło jednak jego ust.

- Twoja przemiana duchowa nie jest oczywiście zakończona - odezwał się z kolei Kaminski. - Będziemy stopniowo wprowadzać cię w tajemnice bractwa, już teraz jednak czuję, że osiągniesz w nim znaczącą pozycję. Przydzielimy ci w tym celu osobistego przewodnika. Będzie nim siedząca obok ciebie siostra Natasza. Siostra Natasza także dołączyła do nas niedawno, jednak jej wiara i zapał sprawiły, że już teraz wydaje się niezastąpiona. Oddajemy cię więc w naprawdę dobre ręce.

- Nie ma też co ukrywać, że są to ręce wyjątkowo ładne - zaśmiał się Kaminski. - Mam nadzieję, że ta szczęśliwa okoliczność pomoże ci w szybkim przyswojeniu sobie naszych tajemnic. A już na pewno nie przeszkodzi. - Mrugnął do niego okiem. - A! - dodał po chwili. - Tylko się nie zakochaj! Natasza jest jak zakonnica, nie istnieje dla niej nic poza sprawami naszego bractwa.

- Dobrze, dość już tych żartów. - Karloff uśmiechnął się chyba po raz pierwszy, odkąd Frank go poznał. - Myślę, że tyle wystarczy na początek. Nasza Rada będzie uważnie

przyglądać się twoim postępom. Gdy nadejdzie pora, wezwiemy cię ponownie.

Natasza podniosła się z fotela. Frank zinterpretował to jako znak, że audyencja została zakończona, więc sam również wstał.

- Życzymy powodzenia, bracie Wilson! - Kaminski żartobliwie pomachał mu na pożegnanie.

Frank otworzył usta, ale i tym razem nic nie powiedział. Natasza ruszyła w kierunku wyjścia, a on po chwili poszedł za nią. Serce ścisnęła mu mieszanka poczucia winy i dziwnej ulgi. Miał im przecież wszystko wyjaśnić, ale jakoś... nie wyjaśnił. Może kiedy indziej.

ROZDZIAŁ XVI

- Kim jesteś, Frank? - Kaminski wpatrywał się we Franka z powagą, lecz życzliwie.
 - Jestem Frank, Frank Wilson, członek bractwa.
 - Jasne. To najważniejsze. Członkiem bractwa jesteś jednak od niedawna. Kim byłeś wcześniej?
 - Przedsiębiorcą z branży energetycznej.
 - A bardziej ogólnie?
 - Mieszkańcem Euro.
 - A jeszcze, jeszcze, jeszcze bardziej ogólniej?
 - Człowiekiem?
 - Właśnie.

Siedzieli we trójkę z Nataszą w gabinecie Kaminskiego. Pomieszczenie wyglądało jak trochę pomniejszona i uboższa wersja królestwa Karloffa z ostatniego piętra. Także stąd rozciągał się wspaniały widok na Euro, tyle tylko, że biuro Kaminskiego znajdowało się kilka pięter niżej, nie miało więc szklanego sufitu.

- Właśnie - powtórzył Kaminski. - Człowiekiem. Jak trudno czasami uświadomić sobie tę przynależność. Nakładamy na siebie mnóstwo masek, przyjmujemy wiele ról: męża, obywatela, pracownika, sympatyka tej czy innej partii, a o tej jednej roli zapominamy. Zastanawiałeś się kiedyś, co to znaczy być człowiekiem?

- No... to znaczy, przynajmniej tak myślę, zachowywać się po ludzku. Być dobrym, uczciwym, pomagać innym...

Kaminski pokiwał głową, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Ale przecież nie wszyscy ludzie tacy są. Czy oni nie są ludźmi? Czy nie zachowują się po ludzku?

- Są ludźmi, tylko...
- Tylko co?
- Są złymi ludźmi.
- Aha. Czyli są dobrzy ludzie, tacy prawdziwi ludzie, i źli ludzie, niecałkiem ludzie.
- No nie. Wszyscy są ludźmi, tylko niektórymi...
- Nie dorastają do pewnego wzorca.
- Właśnie.

Siedzieli na podłodze - Kaminski swobodnie, ze skrzyżowanymi nogami, opierając łokcie na kolanach i z dłońmi splecionymi w kształt przypominający namiot. Natasza pod oknem, wsparta na lewej ręce. Frank naprzeciwko nich, oparty plecami o kanapę.

Kaminski uśmiechnął się.

- Czyli źli ludzie nie dorastają do pewnego wzorca. A skąd ten wzorzec się bierze, gdzie jest zapisany?

- W konstytucji, w prawie, w świętych księgach różnych religii...

- A kiedy nie było jeszcze ani konstytucji, ani prawa, ani świętych ksiąg, to co, nie było wtedy dobrych ludzi?

- Byli.

- A źli ludzie?

- Też byli.

- To skąd dobrzy ludzie wiedzieli, że dobrzy są dobrzy, a źli, że są źli?

- No... to chyba wiadomo było... od zawsze.

- Czyli ludzie wiedzieli od zawsze, co to znaczy być dobrym człowiekiem, a co to znaczy być złym. Mniej więcej oczywiście.

- Tak.

- A czy nie można sobie wyobrazić, że pewnym ludziom to się pomieszało? Że myśleli, że są dobrzy, choć tak naprawdę byli źli? Mogło tak być?

- No tak, mogło.

- Może nawet całe narody żyły w takim błędzie?

- Mogło tak być.

- A teraz wyobraźmy sobie taką sytuację: żyją obok siebie dwa narody. Jeden czyni dobrze, a drugi czyni źle, myśląc, że robi dobrze. I nagle pojawia się między nimi trzeci naród, taki zupełnie dziki, prosto z lasu. I pyta się tych narodów: jak mamy żyć, żeby być prawdziwymi ludźmi? A ci mu odpowiadają: jedni tak, a drudzy tak. To skąd ten trzeci naród ma wiedzieć, których posłuchać?

- No, to się chyba czuje.

- To ten naród, który robi źle, choć myśli, że robi dobrze, tego nie czuje?

- ...

- Czuje, czy nie?

- Nie wiem.

- A gdyby na całym świecie połowa ludzi robiła tak, a druga połowa zupełnie odwrotnie, to skąd byłoby wiadomo, którzy robią dobrze?

- Jest jeszcze Bóg...

- Ale przecież i jedni, i drudzy mogą mieć swojego boga, i każdy może im mówić co innego. Poza tym nie wszyscy wierzą w Boga. To jak?

- Nie wiem.

- Nie wiesz?

- Nie wiem.

- Czyli tak naprawdę nie wiadomo, co jest dobre, a co złe? Myślimy, że jest dobre to, co większość ludzi uważa za dobre. Gdybyśmy żyli w społeczeństwie, które za dobre uważa inne rzeczy, też byśmy tak uważali.

- Chyba tak.

Natasza w ogóle się nie odzywała. Zresztą odkąd została „opiekunem” Franka, bardzo mało rozmawiali. Próbował ją zagadywać, jakoś się zbliżyć, ale ona chętnie mówiła tylko na tematy związane z bractwem, inne pytania zbywała.

- A teraz, Frank – ciągnął Kaminski – wyobraź sobie, że żyjemy w świecie, w którym nikt jeszcze nie podzielił rzeczy na dobre i złe, w który jeszcze nie wiadomo, jak być twoim „prawdziwym” człowiekiem. Wyobraziłeś to sobie? Teraz, w takim świecie, zadam ci jeszcze raz to pytanie: co to znaczy być człowiekiem?

- ...

- No co? Chodzić na dwóch nogach? Mieć nagie ciało i włosy na głowie? To na pewno też, ale przecież obaj czujemy, że nie to jest najważniejsze. Myślisz o tym, Frank? Zastanawiasz się, co jest istotą człowieczeństwa? Jak sądzisz, czy krowa zastanawia się, co jest istotą krowieństwa?

- Myśleć. Być człowiekiem, znaczy myśleć.

- Bardzo dobrze. Zwierzęta nie myślą, a przynajmniej nie na tym poziomie abstrakcji, co my. A kiedy tak sobie myślisz, jak to jest być człowiekiem, to co sobie myślisz?

- Że chyba dobrze. Przynajmniej w porównaniu do zwierząt. Myślimy, mamy cywilizację techniczną.

- Mamy cywilizację techniczną. A jesteśmy szczęśliwi?

- Nie, nie wszyscy.

- Ale tak ogólnie. Jako ludzie.

- To chyba tak.

- Bo mamy cywilizację techniczną, bo myślimy?

- No tak.

- A gdybyś tak pomyślał o swoim życiu jak o filmie, to jak ten film się skończy? Jaki los czeka głównego bohatera?

- Śmierć.

- Właśnie. Czyli raczej o happy-endzie nie ma mowy. Co o tym sądzisz?

- Wszyscy umierają.

- Wszyscy umierają. Nie niepokoi cię to? Nie wydaje ci się dziwne, że my, ludzie, którzy myślimy i mamy taką wspaniałą cywilizację techniczną, umieramy, zdychamy jak jakieś psy albo koty, jak zwierzęta?

- No tak, trochę to nieprzyjemne.

- Nieprzyjemne? To przecież skandal! Po to zostaliśmy obdarzeni umysłem, po to posiadliśmy umiejętność myślenia, czucia, przewidywania, po to jesteśmy jedynym stworzeniem na Ziemi, które ma świadomość własnego istnienia, żeby tak zwyczajnie, najzwyczajniej umrzeć? Jesteśmy powoływani z niebytu i strącani z powrotem w otchłań tylko po to, żeby przez ten krótki czas, jaki dzieli te dwie chwile, móc w pełni uświadomić sobie, że wyrok śmierci zapadł nieodwołalnie i że nie ma dla nas żadnej nadziei. A kiedy umrzemy, czeka nas nic. Nic, nic, nic, nic! Nic aż po wieczność. Ogromna, przerażająca masa czasu, kiedy nas już nie będzie. Czy to w porządku?

- Nie.

- Nie. Ale wyobraźmy sobie, że o tym nie pamiętamy. Albo że pogodziliśmy się z tym i nie mamy do nikogo pretensji. Jak wtedy wygląda nasze życie?

- Wtedy chyba dobrze. Rodzimy się, chodzimy do szkoły, potem do pracy, znajdujemy sobie kogoś, mamy dzieci...

- To jest tak zwany model idealny, tak właśnie wyobrażamy sobie szczęście. Ale ilu z nas osiąga taki stan? Zastanawiałeś się kiedyś, ile pułapek czeka na każdym stopniu tych schodów? Możemy zachorować, możemy zostać kalekami w wyniku jakiegoś wypadku, możemy mieć pracę, której nienawidzimy albo nie mieć pracy i czuć się jak nikomu niepotrzebna szmata. Nasz związek może być koszmarem albo tylko męczącym jak ból zęba nieporozumieniem, możemy też nie znaleźć nikogo i kroczyć przeżyć życie jak niedokończony półfabrykat. Nasze dzieci mogą być nieuleczalnie chore, może im się coś stać, mogą zmarnować sobie życie na naszych oczach albo zginąć, zostawiając nas w rozpacz, o której nigdy już nie będziemy w stanie zapomnieć.

- To wszystko oczywiście przy założeniu, że mamy szczęście i urodziliśmy się w tej lepszej części świata, bo jeśli nie, to możemy przeżyć swoje jedyne i niepowtarzalne życie w kraju, gdzie jest wojna albo gdzie panuje wieczna bieda i ludzie umierają z głodu. Ale nawet, jeśli ominą nas wszystkie te nieszczęścia, możemy być nieszczęśliwi z powodu niespełnienia czy dlatego, że inni mają lepiej, są bogatsi i ładniejsi. Albo tak po prostu, nawet nie wiadomo, z jakiego powodu. Można być nieszczęśliwym z dowolnego powodu. Nie jest tak?

Frank nie odpowiedział. Co jakiś czas kątem oka starał się spoglądać na Nataszę. Siedziała wciąż w tej samej pozycji, patrząc gdzieś w bok.

- A czy zastanawiałeś się kiedyś, Frank, dlaczego ludzkość w trakcie swej historii wymyśliła tak wiele sposobów ucieczki od rzeczywistości? Narkotyki, alkohol, literatura, telewizja, najprzeróżniejsze formy rozrywki, kupowanie coraz to nowych rzeczy, obsesyjnie uprawiany seks, praca aż do całkowitego zatracenia, a wszystko to tylko po to, żeby broń boże nie myśleć, jak to wszystko wygląda naprawdę. Czy gdyby ludzkie życie było naprawdę dobre, tak jak nam to się próbuje co jakiś czas wmawiać, to czy potrzebowalibyśmy tego wszystkiego?

- To znaczy co - ożywił się Frank. - Wszyscy się zmówili, żeby nas oglupić? Jest jakiś globalny, wszechświatowy spisek?

- Nie. Po prostu sami siebie oszukujemy. Nauczyliśmy się odwracać wzrok. Machamy sobie przed oczami kolorowymi świecidełkami, jak rodzice potrząsający dziecku nad głową grzechotką, gdy chcą sprawić, by przestało płakać. W przeciwieństwie jednak do nich, nie mamy szans, by zlikwidować prawdziwą przyczynę płaczu. Dlatego musimy machać coraz szybciej i szybciej, coraz bardziej kolorowymi świecidełkami. Wmawiamy sobie, że jest nieźle, bo strasznie trudno żyć ze świadomością nieuniknionej klęski. Żyjemy nadzieją, że co prawda teraz jest nie za ciekawie, ale na pewno już wkrótce to się poprawi.

- A gdy osiągamy wiek, kiedy takie myślenie staje się niemożliwe, żyjemy wspomnieniami cudownych chwil z przeszłości, które, gdybyśmy sobie to dokładniej przypomnieli, były co najwyżej miłe, bo także wtedy coś nas uwierało jak za ciasne buty, tylko już o tym nie pamiętamy. Wtedy naszą nadzieję kierujemy w stronę dzieci i wnuków, łudząc się, że ich życie będzie inne. Nie będzie. Będą może bogatsi od nas, będą mieli więcej zabawek, może będą mogli się teleportować albo przenosić w czasie, ale będą się tak samo męczyć, cierpieć i

ludzi jak my. I tak samo jak my kiedyś umrą. Gdyby ludzie sobie uświadomili, jak rzeczywiście wygląda ich egzystencja, już dawno przestaliby się rozmnażać.

Frank tępo patrzył się gdzieś w przestrzeń. Już od jakiegoś czasu, przygnieciony słowami Kaminskiego, przestał go tak naprawdę słuchać. Może to wszystko było prawdą, ale chyba wolałby jej nie znać.

- No dobrze, na dzisiaj wystarczy. - Kaminski uśmiechnął się jak zwykle, co stanowiło dziwny kontrast z tym, co mówił. Jakby miał już przygotowaną drugą część wykładu, w której przedstawi nowy, cudowny środek na wszystkie dolegliwości życia. Frank nie wątpił, że tak właśnie będzie. Musiał w każdym razie jeszcze na to poczekać.

- Możesz mi podać sól? - Wyraz oczu Atiny sprawiał, że serce Franka ścisnęło uczucie, którego na pewno nie powinien w tych okolicznościach odczuwać.

Siedzieli razem przy stole w jadalni, w milczeniu spożywając obiad. Sytuacja była nad wyraz niezręczna. Odkąd Frank został wtajemniczony, nie mieszkali już razem. Jeszcze tego samego dnia poprosił Nataszę, by bractwo przydzieliło mu inny pokój, tłumacząc to mętnie, że małżonka rozprasza go podczas medytacji. Miał nadzieję, ba, był prawie pewien, że Atina wkrótce da za wygraną. Ich plan wniknięcia w struktury bractwa zakończył się przecież aż za wielkim sukcesem - przejściem jednego z nich na stronę przeciwnika.

Atina jednak z dziwnym uporem trwała przy nim, przy każdej okazji starając się zbliżyć do niego i zamienić choć kilka słów na najbliższy temat. Frank nie miał pojęcia, na co liczyła. Nienawidził takich chwil i starał się, jak mógł, by dać jej to do zrozumienia. Ostentacyjnie nudził się, patrzył w inną stronę, nie odpowiadał na pytania lub odpowiadał monosylabami, tak naprawdę jednak niewiele więcej był w stanie w tej sytuacji zrobić. Nie mógł przecież wyjawiać bractwu prawdziwej tożsamości Atiny i celu jej pobytu w Centrum, bo w ten sposób wydałoby się również, że sam nie jest osobą, za którą się podaje i że przez cały czas wszystkich oszukiwał, w tym, co go szczególnie bolało, samego Karloffa.

Jakże teraz żałował, że nie wyznał wszystkiego zaraz na początku, gdy tuż po przemianie przyjmowano go do bractwa. Teraz było już trochę za późno. Jego ówczesne milczenie zostałoby zapewne zinterpretowane opacznie. Bractwo mogłoby nabrać uzasadnionych podejrzeń, że coś się kryje za tym niezrozumiałym brakiem szczerości. Nie miałyby zresztą o to najmniejszych pretensji, faktycznie zachował się nie najmądrzej.

Teraz jednak bagno, w które się sam wpakował, wciągało go coraz głębiej. Coraz dalej w to brnął i coraz mniejsze miał możliwości odwrotu. Wyznanie, które na początku byłoby tylko niezręczne, stawało się niemożliwe. Atina to wykorzystywała i o to także miał do niej pretensje. Liczyła pewnie, że zdoła jeszcze go zawrócić z drogi, na którą wkroczył. Jak miał ją przekonać, że to niemożliwe? Co miał zrobić, by dała mu wreszcie spokój? Jedyne, co mógł, to próbować ją ignorować. Sytuację utrudniał jednak fakt, że trochę mu było jej żal. Co więcej, chyba żywił w stosunku do niej pewne resztki bezsensownych (zwłaszcza teraz, gdy w jego życiu znowu pojawiła się Natasza), jak by to powiedzieć, sentymentów, których nie mógł mimo najszczerzych chęci się pozbyć. Analizował to wszystko, żując w milczeniu obiad i szlag go trafiał ze złości.

- Kochanie, prosiłam o sól, mógłbyś mi ją podać?

Mogłabyś sama sobie wziąć, pomyślał z niechęcią, sięgnął jednak po solniczkę i z trochę zbyt mocnym stuknięciem postawił ją przed Atiną, nie przy talerzu jednak, tylko trochę dalej,

żeby musiała się odrobinę wychylić.

- Bardzo smaczny dziś obiad, prawda? - Atina nie rezygnowała. - Świetne te kalmary. I ten sos z zielonego pieprzu... Lubisz owoce morza, prawda, Frank?

- Tak.

- Frank... - jej głos lekko zadrżał. - Mógłbyś czasem na mnie spojrzeć, przecież nie jestem trędowata.

Zerknął na nią znad talerza. Jej twarz wyrażała taką bezradność, że aż poczuł się głupio.

- Ładnie wyglądasz - rzucił bez sensu.

- Banał, ale miły. - Uśmiechnęła się ciepło. Poczuli, jak coś go ściska za serce po raz drugi. - Widzisz, to nie takie trudne...

Nie, dość tego!, pomyślał ze złością. Odsunął talerz z głośnym szurnięciem. Wstał i nie mówiąc ani słowa, ruszył do wyjścia. Dziwna sprawa, czuł się nad wyraz podle...

- Wiesz, z czego się składamy, Frank?

- Jak wszystkie organizmy żywe, składamy się z atomów różnych pierwiastków, połączonych w większe struktury, takie jak białka, aminokwasy, tłuszcze i woda. - To pamiętał jeszcze ze szkoły.

- Bardzo dobrze. A wiesz, z czego składają się te atomy?

- Z neutronów, protonów i krążących wokół nich elektronów.

- A neutrony, protony i elektrony, z czego się składają?

- Z jakichś kwarków chyba.

- No powiedzmy. A te kwarki?

- A te kwarki to już chyba z niczego.

- A te kwarki składają się z czegoś, choć tak naprawdę diabli wiedzą, co to jest, bo na dobrą sprawę nie ma to praktycznie masy i jest czymś w rodzaju zwiniętej, drgającej struny energii. Mniej więcej oczywiście.

- Aha. No to z tego.

- A gdybyś spojrział na swoje ciało, to jak myślisz, czego jest w nim najwięcej?

- Wody.

- Najwięcej jest w nim pustki. Gdyby atom powiększyć do rozmiarów znanych nam z widzialnego świata, to wyglądałby jak kilka piłeczek pingpongowych krążących wokół piłki do tenisa po orbitach o średnicy boiska piłkarskiego. A z takich właśnie atomów składa się cała materia we Wszechświecie. Patrząc na swoją rękę albo, czy ja wiem, na stół, i wydaje ci się, że to solidna, godna zaufania struktura, a tymczasem patrząc tak naprawdę na pustkę z rzadka tylko poprzątykaną drgającymi, wiecznie krążącymi zwitkami energii.

Frank niepewnie spojrział na swoje dłonie. Wyglądały całkiem zwyczajnie.

- A jak myślisz, co stanowi większość masy całego wszechświata?

- Chyba gwiazdy.

- Nie.

- Czarne dziury?

- Nie.

- Obłoki międzygwiazdne?

- Nie. To wszystko, o czym mówisz, łącznie z planetami, kometami, asteroidami, kwazarami i wszelkim międzygwiazdowym pyłem, czyli cała widzialna materia, stanowi raptem około pięciu procent masy wszechświata. Pozostałe dwadzieścia pięć procent to tak zwana ciemna materia, której nie widzimy, która nie emituje i nie pochłania światła, o której tak naprawdę nie wiemy, z czego się składa, a o której istnieniu wnosimy tylko stąd, że jej oddziaływanie grawitacyjne zakrzywia światło odległych galaktyk. Wiesz, co stanowi pozostałe siedemdziesiąt procent?

- Nie.

- Pozostałe siedemdziesiąt procent to dziwna, niezrozumiała do końca dla nas energia kosmicznej próżni. Objawia się ona w ten sposób, że co jakiś czas w pustce wypełniającej w większej części wszechświat pojawiają się nagle, zupełnie z niczego, i natychmiast znikają, pary elementarnych cząstek. To tak jakby zero pociągnąć z obu stron i rozdzielić na plus jeden i minus jeden. Suma plus jeden i minus jeden stanowi w dalszym ciągu zero, ale dopóki nie wykona się tego działania, obie liczby istnieją realnie. Ponieważ kosmiczna pustka jest ogromna, być może nawet nieskończona, łączna masa wszystkich pojawiających się znikąd cząstek stanowi siedemdziesiąt procent masy całego wszechświata.

Frank milczał. Próbował wyobrazić sobie to wszystko i poczuł się trochę nieswojo.

- Dobrze, ale wróćmy do ciemnej materii. Jest z pewnych powodów znacznie ciekawsza. Ta materia nie istnieje tylko gdzieś tam, między galaktykami. Jest tu, obok nas. Według pewnej teorii we wszechświecie istnieją więcej niż trzy wymiary. Być może nawet dziesięć, tylko że te pozostałe wymiary są w naszym świecie zwinięte, nie dostrzegamy ich. Żyjemy więc trochę jak te owady, które biegają po powierzchni wody. Świat dla nich ma tylko dwa wymiary – szerokość i długość. Nie podejrzewają nawet, że pod nimi jest wielka głębia, a nad nimi niebo.

- Być może z nami jest bardzo podobnie. Żyjemy w trójwymiarowym świecie, nie zdając sobie sprawy, że obok nas, w innych, niedostrzeganych przez nas wymiarach, istnieją światy, o których nie mamy pojęcia. Być może dzieli nas od nich odległość mniejsza niż milimetr, cóż z tego jednak, skoro ich nie widzimy? Owa ciemna materia, o której wiemy tylko na podstawie poszlak, to być może takie właśnie istniejące obok nas światy. Przenikają one nasz świat, są tuż obok, na wyciągnięcie ręki, nigdy jednak nie będziemy w stanie ich dostrzec.

- Wyobraź sobie teraz taki inny świat. Wyobraź sobie, że istnieją tam gwiazdy, galaktyki, planety, że na jednej z tych planet istnieje inteligentne życie, takie jak nasze. Być może w tej chwili tam też toczy się rozmowa, taka jak ta. I wyobraź sobie, że ten cały świat przepływa obok ciebie. Dokładnie w tym właśnie momencie. Że te dwie inteligentne istoty siedzące być może w bardzo podobnym pomieszczeniu, w bardzo podobnym budynku (bo jeśli jest tam cywilizacja, to muszą istnieć jakieś pomieszczenia i jakieś budynki), są gdzieś tu, obok nas, przepływają obok jak duchy, a my nie mamy o tym zielonego pojęcia.

Frank zamrugał. Wizja przepływających obok światów była naprawdę bardzo dziwna.

- Zauważ jednak, że dla owadów biegających po wodzie kontakt z innymi wymiarami nie jest tak do końca niemożliwy. Może przypląć ryba i je połknąć, może zacząć padać deszcz. Być może i między naszymi światami istnieją jakieś furtki, być może któreś z niewytłumaczalnych zjawisk, jakie znamy z naszego świata, jest rodzajem emanacji tego drugiego, istniejącego równoległe. Może są jakieś możliwości kontaktu. Może zresztą tym

różnymi się od naszych wyobrażonych znajomych z innych wymiarów, że oni zdają sobie sprawę z naszego istnienia? Może podejmowali już próby kontaktu? Może to, co przez tysiąclecia braliśmy za duchy, bogów lub demony, to tak naprawdę sygnały od nich, przejaw otwierających się co jakiś czas przejść?

- W porządku. - Frank próbował zebrać myśli. - A gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla naszych kosmicznych braci? To o nich teraz mówimy? Dlaczego w takim razie tyle tego „może”?

- Widzę, że myślisz, Frank. To bardzo dobrze. Zawsze wiedziałem, że jesteś świetnym kandydatem. Na razie jednak wystarczy. Do zobaczenia jutro.

- Frank... - Atina czekała na niego pod drzwiami pokoju. - Frank, słuchaj... możemy porozmawiać?

Była bardzo zdenerwowana.

- Jeśli chcesz... - W pierwszej chwili zamierzał ją zbyć, ale jej stan zrobił na nim pewne wrażenie. Nigdy do tej pory tak się nie zachowywała.

- Śnił mi się dziś w nocy mój ojciec.

A, więc o to chodzi...

- No i co tam u staruszka?

- Nie lekceważ tego, Frank. Proszę cię, uważaj na siebie...

- Jasne. Będę się ciepło ubierał i tak dalej. Nie przejmuj się.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Chciała ruszyć za nim, lecz zamknął jej drzwi przed nosem. Tylko tego mu jeszcze brakowało. Gdy zamykał, widział przez chwilę jej ciemne, lekko rozszerzone, wpatrzone w niego oczy. Znowu ogarnęło go to dziwne uczucie...

Frank Quetzalcoatl James miał tej nocy naprawdę dziwny sen. Śniło mu się, że jest w swoim pokoju, a wszystkie znajdujące się w nim rzeczy - ściany, meble czy podłoga - tak naprawdę nie istnieją, składają się z drgającej, lekko rozświetlonej pustki. Próbuje złapać kubek, lecz ręka przechodzi przez niego jak przez powietrze. Próbuje oprzeć się o stół, lecz stół to tylko wyświetlony w przestrzeni obraz. Jego wzrok przenika przez ściany i meble, widzi żyjących w innych pomieszczeniach ludzi, którzy też składają się z przezroczystej pustki, widzi ziemię pod sobą, mimo iż dzieli go od niej kilka ładnych pięter.

Nagle jego stopy tracą oparcie, podłoga rozstępuje się pod nimi i Frank zaczyna spadać, najpierw powoli, potem coraz szybciej, a w zasadzie nie spadać, tylko opadać, jakby tonąć. Przepląta przez kolejne poziomy budynku, przenika przez mieszkania, widzi zdziwione spojrzenia mieszkańców, i nagle ci ludzie rozumieją, o co chodzi, patrzą z niedowierzaniem na własne ręce, na meble i ściany swoich mieszkań i wtedy także dostrzegają, tak jak Frank, otaczającą ich pustkę.

Też zaczynają opadać, jedni z krzykiem, inni z wyrazem zdziwienia, jeszcze inni spokojnie, jakby podejrzewali od dawna, że tak to się skończy. Lecą tak wszyscy, przenikają przez Ziemię, która też przecież jest tylko wielkim, zawieszonym w pustce hologramem, po czym rozplývają się w nieistniejącym kosmosie.

Nagle Frank zauważa, że jego ciało, to ciało, które do tej pory przynajmniej wydawało się w miarę pewnym schronieniem, podróżującym jak statek kosmiczny przez międzygwiazdną próżnię, że to ciało też się rozmywa, traci wyrazistość, spójność, zaczyna jakby puchnąć i rozszerzać się, a on nic na to nie może poradzić. Ręce, nogi stają się coraz większe, coraz

bardziej przezroczyste, dostrzega już krążące po orbitach atomów elektrony, które po chwili także stają się ogromne i prawie przezroczyste. Widzi to wszystko jakby od środka, jakby sam powoli dryfował przez własne ciało, które cały czas rozszerza się i rozszerza coraz bardziej i bardziej, aż jego najdalsze krańce nikną za horyzontem kosmicznej pustki.

I wtedy Frank dostrzega w tej przerażającej pustce coś. To coś jest pewne i stałe, widząc to, czuje się jak ktoś, kto w dalekim, obcym kraju słyszy nagle dźwięk ojczystej mowy. Chwyta się tego czegoś, wpija się w to wszystkimi siłami rozpyływającej się świadomości i wtedy, jakby ciągnąc za linę, wydobywa sam siebie z bagna, jego ciało zaczyna powoli do niego wracać.

Z dalekiej, przerażającej próżni powracają ręce i nogi, głowa przestaje być wielkości galaktyki. Nie widać już dziur między atomami, ciało nie jest już przezroczyste. Potem, jakby ściągane tą samą siłą, powracają skądś ściany jego mieszkania, meble, stół i kubek, a razem z nimi cała Ziemia i cały wszechświat. Po chwili, która jest długa jak powrót do domu z dalekiej podróży, Frank siedzi z powrotem na krześle. Krzesło jest twarde, solidne, stawia zdecydowany odpór pośladkom, nogi pewnie wspierają się o jak najsolidniejszą podłogę. I tylko za nic Frank nie może sobie przypomnieć, co to było. Co uratowało go od rozplątnięcia się w kosmicznej pustce? No co to, u diabła, mogło być? Jakieś słowo, czyjaś twarz? Za nic nie może sobie tego przypomnieć.

ROZDZIAŁ XVII

- Jak myślisz, Frank, czy człowiek ma duszę?

- To zależy...

- Zależy od czego?

- Zależy, jak się rozumie samo pojęcie duszy. Jeśli przez duszę rozumiemy, czy ja wiem, osobowość człowieka, wszystkie procesy psychiczne, świadomość i podświadomość, połączone w jedno abstrakcyjne pojęcie, którym posługujemy się dla wygody, żeby nie musieć za każdym razem wymieniać wszystkich tych terminów, to na pewno. Taką duszę człowiek na pewno posiada. Ale jeśli chodzi o jakiś byt istniejący realnie, nieśmiertelny, który po naszej śmierci wędruje w zaświaty, to raczej nie. Chociaż... Tak naprawdę wykluczyć się tego nie da.

- Dobrze. Zastanówmy się nad pierwszą możliwością. Mówisz: pojęcie abstrakcyjne, którym posługujemy się dla wygody. Czyli taki worek, do którego wrzucamy wszystkie procesy psychiczne. Być może rzeczywiście to tylko abstrakcyjne pojęcie, rodzaj „worka” na te procesy. Ale to abstrakcyjne pojęcie ma realny wpływ na nasze życie. Kiedy myślimy o sobie, intuicyjnie niemalże rozróżniamy ciało oraz to, co czasem określa się mianem „życia wewnętrznego”. To coś nazywane bywa duszą albo umysłem, i tak naprawdę wszystko jedno, jak to nazwiemy – możemy nawet myśleć o tym jako o procesach chemicznych zachodzących w mózgu, ale to coś istnieje realnie. Gdy myślimy o sobie, o tym, co dzieje się w naszym „wnętrzu”, nie dzielimy tego przecież na „osobowość”, „świadomość”, „podświadomość” i inne rzeczy. Żaden normalny człowiek tak nie myśli. Może to więc te „osobowości”, „podświadomości” i „świadomości” są abstrakcyjnymi pojęciami, które wymyśliliśmy, żeby zrozumieć nasz umysł, byt tak tajemniczy, że trudniej go badać niż odległe galaktyki?

- Tak naprawdę więc pytanie nie brzmi: „czy dusza istnieje?”, ale: „jak istnieje?”, „jaki jest jej związek z ciałem?”. Czy jest jedną z jego funkcji, jak, dajmy na to, trawienie, czy też jest bytem samoistnym? To ostatnie wydaje się w pierwszej chwili absurdalne lub przynajmniej dziwne, wcale jednak tak nie musi być. Skoro materia jest formą energii, to również procesy psychiczne, będące przecież jakąś formą energii, mogą mieć swoją materialność. Skoro tak, nie jest całkiem wykluczone, że mogą w jakiś sposób istnieć poza ciałem, które je wytworzyło. Światło także nie istnieje wyłącznie w obrębie swojego źródła, a ma ono niewątpliwie naturę materialną. Fotony są przecież jednymi z elementarnych cząstek materii.

- Jeśli tak, nie można również wykluczyć, że tak zwana dusza może istnieć po śmierci ciała. Światło odległych gwiazd dociera do nas przecież częstokroć w chwili, kiedy one same już dawno zgasły. Może i energia psychiczna, jakkolwiek by jej nie nazwać, ma jakieś „fotony”, dzięki którym istnieje poza swoim „źródłem”, którym jest ciało? Może właśnie stąd się bierze telepatia, jasnowidzenie, uzdrawianie przez dotyk, czyli wszystkie te zjawiska, w

które ludzkość uparcie wierzy od tysiącleci, a którym nauka równie uparcie odmawia prawa istnienia?

- I tu stajemy przed następnym problemem. Czym tak naprawdę jest człowiek, a raczej czym jest bardziej – duszą czy ciałem? Czy człowiek to przede wszystkim ciało, którego jedną z funkcji jest życie psychiczne, czyli owa umowna dusza, czy też człowiek to przede wszystkim umysł, czyli świadomość, osobowość i tak dalej? Co powoduje, że tak naprawdę jesteśmy ludźmi? Nasze ciało? To, że chodzimy na dwóch nogach, mamy nagą skórę i przeciwstawne kciuki? Czy nasza dusza? Jak myślisz, Frank?

- Tego nie można chyba oddzielić. Człowiek to dusza i ciało. Jedność psychofizyczna.

- No właśnie. Jedność psychofizyczna. Jedność duszy i ciała. Wydawałoby się, że to naturalna odpowiedź. Po co rozdzielać te dwie rzeczywistości, skoro zazwyczaj istnieją połączone? Na tym założeniu, na założeniu o zasadniczej jedności duszy i ciała, opiera się cała filozofia wschodu, buddyzm, hinduizm i tak dalej. Zdaje się, że również nasza cywilizacja w końcu przyjęła je za pewnik. Tylko że to założenie nie wytrzymuje konfrontacji z rzeczywistością.

- Wystarczy przypomnieć sobie własne życie. Ile razy tak naprawdę mieliśmy to wrażenie, że nasze ciało i dusza stanowią jedno? Kilka? Kilkanaście? O wiele częstsze jest raczej uczucie odwrotne. Uczucie nieprzezwycięzalnej dychotomii, absolutnej nieprzystawalności tych dwóch rzeczywistości. Ciało czegoś chce, pragnie z całej siły, o mało nie wyskoczy z własnej skóry, a umysł mówi „stop”, „nie wolno”, „nie da się”. Innym razem to umysł by czegoś chciał, wszystko by za to oddał, a ciało nie wytrzymuje – jest zmęczone, chore, stare.

- Każdy człowiek przez całe swoje życie stanowi jakby arenę takiej walki. Kiedy jest młody, musi powstrzymywać popędy, bo nie da się ich realizować w pełni tak, jak pragnie tego ciało, a to stanowi nieustanne źródło cierpień dla „duszy”. Kiedy zaś jest stary, staje przed nieuniknionym faktem powolnej śmierci ciała, podczas gdy jego umysł ma się zazwyczaj jeszcze całkiem dobrze i chciałby znacznie więcej, niż pozwala na to ciało. Jedność duszy i ciała to bajda, czy też raczej bajka, którą wymyśliliśmy sobie, bo tak jest ładniej i wygodniej.

- Rzeczywistość jest zaś całkiem inna: ciało wścieka się, adrenalina uderza mu do głowy, ciało pragnie krwi wrogów i ich śmierci – umysł marzy o świecie bez wojen i przemocy, w którym wszyscy ludzie byłiby dla siebie mili i nikt nikomu nie robiłby krzywdy. Ciało buzuje hormonami, przeleciałoby wszystkie inne ciała znajdujące się w pobliżu – umysł marzy o miłości jedynej i czystej, o wierności i bezpieczeństwie. Cała historia ludzkiej cywilizacji to próba okiełznania ciała przez umysł. Próba narzucenia ciału rygorów prawa i religii, nie dla jakichś abstrakcyjnych idei czy wierzeń, ale żeby powstrzymać tę falę chaosu i zniszczenia, która wszystko zalewa, gdy ciało bierze górę.

- Zastanawiałeś się kiedyś, Frank, dlaczego niemal w każdej rozwiniętej kulturze prędkiej czy później pojawiają się mniszki? Dlaczego tylu mężczyzn i tyle kobiet na przestrzeni tysiącleci zdecydowało się całkowicie wyrzec tego, co dla wszystkich innych ludzi jest tak ważne – seksu, dobrego jedzenia, bogactwa i wygodnego życia? Czy zrobili to z masochizmu? A może z głupoty? Wielu ludzi tak właśnie myśli, ale to bardzo prostackie wytłumaczenie. Prawda jest inna: każda kultura dochodzi prędkiej czy później do tego samego wniosku – to, co tak naprawdę odróżnia nas od zwierząt, to nasz umysł, nasza świadomość istnienia, nasze myśli i

uczucia. Nie chodzenie na dwóch nogach, bo na dwóch nogach chodzą też strusie. Nie nagie ciało, bo nagie ciało mają też delfiny. Nie przeciwstawne kciuki, bo mają je też małpy. Ale właśnie to.

- Jeśli naprawdę chcemy oddzielić się od zwierząt, musimy wyzbyć się tego, co jest w nas zwierzęce, a jest to ciało. Musimy zredukować jego rolę w naszym życiu do najbardziej niezbędnych czynności. Wtedy to, co mamy najcenniejsze i co odróżnia nas od wszystkiego znanego nam we wszechświecie, czyli nasz umysł, albo inaczej mówiąc nasza dusza, rozwinie się w pełni. Wtedy dopiero będziemy tak naprawdę ludźmi, wtedy tak naprawdę będziemy „koroną stworzenia”. Może też, skoro wyzbedziemy się ciała, tego ciała, które starzeje się i umiera, może wtedy zyskamy nieśmiertelność? Może wyzwolimy się wreszcie od terroru śmierci, tego największego skandalu ludzkiej egzystencji? Człowiek, ten człowiek, który myśli, czuje i ma świadomość własnego istnienia - umiera. Może to jednak nie człowiek umiera, a tylko jego ciało? Tysiące pokoleń ludzi na wszystkich kontynentach i we wszystkich kulturach w to wierzyło. Nasza cywilizacja orzekła, że to bzdura. Może nie miała racji?

Frank Quetzalcoatl James od dłuższego czasu wpatrywał się w okno. Był wieczór, ciemność o tej porze roku zapadała przynębiająco szybko. Duże panoramiczne okna wyglądały jak lustra. Panujący za nimi mrok powodował, że odbijały wszystko, co znajdowało się w jasno oświetlonym pokoju. Przez ten mrok przebijały tylko dalekie, świecące nisko światła miasta. Frank patrzył na swoje odbicie w tym wielkim lustrze, na plecy Kaminskiego, na siedzącą nieco z boku Nataszę.

Nagle wydało mu się, że widzi coś jeszcze. Tam, z tyłu, prawie przy drzwiach dostrzegł coś jakby zamazaną sylwetkę. To pewnie złudzenie optyczne, pomyślał. Czasami tak jest, umysł płata nam takie figle, dostrzegając coś w miejscu, gdzie tak naprawdę nic nie ma. Jakieś plamy, cienie, wzory na dywanie przybierają wtedy postać twarzy, sylwetek, dziwnych zwierząt.

Frank postanowił podjąć tę zabawę z własnym wzrokiem. Zaczął się zastanawiać, kto to mógłby być. Wpatrywał się w zamglony zarys, coraz natarczywiej usiłując dostrzec czy też wyobrazić sobie jakieś szczegóły. Tak, tu jest głowa, a to chyba ramiona. Postać najwyraźniej stoi. Nie rusza się, jakby obserwowała scenę, którą ma przed sobą. Spróbował wyobrazić sobie, co tamten ktoś widzi. Jeden człowiek siedzi po turecku na podłodze i coś mówi - drugi z opartymi o kanapę plecami wpatruje się w okno. Obok kobieta siedząca jak tamci dwaj na podłodze, z lekko podkurczoną nogą i wiecznie spuszczoną głową. Dziwne, pomyślał Frank, ja wpatruję się w niego, a on we mnie.

Nagle zjawa poruszyła się, podniosła jakby rękę. To niemożliwe, stwierdził. Coś zabraniało mu po prostu odwrócić się i sprawdzić, co tak naprawdę tam widzi. Zaczął wpatrywać się s niewyraźny kształt jeszcze intensywniej. Postać lekko falowała, wyostrzała się i rozmywała, ale był to prawdopodobnie efekt zbytniego wyężdżania wzroku. Nagle, i co do tego Frank nie miał już żadnych wątpliwości, zjawa zrobiła krok. Jej twarz wyszła z cienia, widział ją teraz wyraźnie, lekko świecącą odbitym światłem lamp. Odwrócił się gwałtownie - przy drzwiach oczywiście nikt nie stał. Serce waliło mu jak oszalałe. Poznał tego człowieka. Mister Ng.

ROZDZIAŁ XVIII

Kiedy obudzili go tym razem, Frank nie był już tak bardzo zaskoczony. Czarne postacie nad jego łóżkiem, tak jak tamtej pamiętnej nocy. Znowu droga przez nieoświetlone korytarze, znowu lekko trupi poblask fosforyzujących listew podłogowych. Cichy syk rozsuwanych drzwi windy, prawie namacalna ciemność i tak jak wtedy uczucie ściśnięcia w dołku, gdy winda ruszyła. Dopiero po chwili zorientował się, że tym razem jadą na dół. Trochę go to zaniepokoiło. Może – na górę dobrze, a na dół źle? Może zrobił coś nie tak, nie spełnił oczekiwań i teraz... Gdzieś w tyle głowy mignął mu obraz wiszących u sufitu zwłok. Odegnął jednak od siebie te głupie myśli. Jego bracia nie skrzywdziliby go przecież, wierzył im z całego serca. Swoją drogą, ciekawe jak to naprawdę było z tymi zwłokami? Kto to zrobił i dlaczego? Do tej pory jakoś się nad tym nie zastanawiał. Nie, niemożliwe, żeby stało za tym bractwo! Pewnie jakieś świry. Mało to takich w Euro?

Rozważania przerwał mu ponowny syk rozsuwanych drzwi. Ktoś chwycił go lekko pod ramię i wyprowadził z windy. Szli długim, nieoświetlonym korytarzem. Jego oczy stopniowo przyzwyczajały się do ciemności i zaczynał powoli dostrzegać (lub przynajmniej tak mu się wydawało) ściany i podłogę. Próbował spojrzeć w twarz ludziom, którzy go prowadzili, ale okazało się to dość trudne – szli bowiem cały czas o pół kroku za nim, a on nie chciał ordynarnie wykręcać głowy, bo wydawało mu się to trochę nie na miejscu. Trudno to wytłumaczyć, ale byłoby to chyba w jakiś sposób nieuprzejme. Chwila sprawiała przecież wrażenie podniosłej. To tak, jakby w czasie własnego ślubu zastanawiać się, jakie skarpetki założył ksiądz.

Po chwili na końcu korytarza pojawiło się światło. Światelko w tunelu, pomyślał Frank, lecz w tym samym momencie zgaśnił się za niestosowne porównanie. Światło stopniowo rosło, stawało się silniejsze, aż po jakimś czasie dało się zauważyć, że wypływa ze szpary pod zamkniętymi drzwiami. Postać maszerująca po lewej wyprzedziła Franka o dwa kroki, wyciągnęła rękę i pchnęła drzwi. Światło, które zalało mu oczy, oślepiło go na dłuższą chwilę. Szedł, prowadzony znów pod rękę z obu stron, kompletnie nic nie widząc. Po chwili zatrzymali się.

– Witaj, bracie! – Głos, był tego pewien, należał do Karloffa.

Zamrugał, chcąc przyzwycząić oczy do światła. Przed nim w półokręgu stali bracia, których poznał dzień po przemianie – Kaminski, Karloff, mały człowieczek z farmy i kilku innych. Rada bractwa. A więc nadeszła ta chwila, o której Karloff mówił poprzednim razem. Rada wezwała go ponownie.

– Bracie! – odezwał się Karloff. Ton jego głosu był tak podniosły i uroczy, że aż karykaturalny. – Nadszedł czas, byś otrzymał drugie pouczenie. Brat Kaminski przygotował

cię do tej chwili i ręczy, że jesteś do niej gotowy. Za chwilę poznasz największą tajemnicę naszego zgromadzenia. Nie lękaj się, jeśli rzeczy, które usłyszysz, zaprzeczą znacznej części tego, w co do tej pory wierzyłeś i czego uczyło cię nasze bractwo. Tak musi być. Musimy okłamywać naszych mniej oświeconych braci, bowiem prawda, której jesteśmy depozytariuszami, jest tak wspańska i okrutna, że byłaby w stanie zniszczyć ich zbyt słabą jeszcze wiarę. Mogą ją poznać tylko prawdziwie Wybrani. Najgodniejsi z godnych. Bracie – zwrócił się do Kaminskiego – zgłosiłeś chęć, by zostać wprowadzającym. Czy trwasz przy swej decyzji?

- Tak – w tym jednym słowie rozebrzmiał chyba cały patos świata.

- Czy ręczysz za tego człowieka?

- Tak.

- Przeprowadź go zatem do nas.

Kaminski położył Frankowi rękę na ramieniu i lekko go popchnął. Podeszli dwa kroki w stronę Karloffa.

Frank dopiero teraz zaczął się rozglądać po pomieszczeniu, do którego go doprowadzono. Była to olbrzymia hala wypełniona jakimiś urządzeniami. Właściwie cała tonęła w półmroku, jeśli nie liczyć miejsca, w którym stali.

- Franku Wilsonie! – głos Karloffa podniósł się o ton. – Czy przyrzekasz dochować tajemnicy i nigdy nie zdradzić tego, czego się dziś dowiesz?

- Tak – odpowiedział Frank.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że zdrada zostałaby ukarana, a karą byłaby twoja śmierć?

- Tak.

- Czy przyjmujesz to i godzisz się na to?

- Tak.

- Franku Wilsonie, teraz jest ostatni moment, by się wycofać. Za chwilę nie będziesz miał odwrotu. Nie będziesz mógł zrezygnować, nie będziesz mógł wrócić do normalnego życia, nigdy nie będziesz już zwykłym człowiekiem. Czy chcesz odstąpić od drugiego pouczenia?

- Nie.

- Zatem dobrze. Niechaj wszyscy tu obecni zapamiętają, że Frank Wilson, członek bractwa, został ostrzeżony i poinformowany o konsekwencjach kroku, na który się zdecydował. Zgodził się na nie własnymi słowami, podjął decyzję i chce otrzymać drugie pouczenie. Niechaj tak się stanie. Franku Wilsonie, pójdziesz teraz z nami.

Karloff, a wraz z nim inni członkowie Rady, ruszyli w głąb sali. Frank nie mógł się powstrzymać i w ostatniej chwili odwrócił się, by spojrzeć na ludzi, którzy go tu przyprowadzili. Wyglądali zupełnie normalnie – trzech mężczyzn i dwie kobiety, wszyscy raczej młodzi, ubrani na czarno. Nic nadzwyczajnego. A wyobrażał sobie niemalże jakieś demony.

Szli wolno między dużymi, błyszczącymi urządzeniami, których przeznaczenia i funkcji nawet nie starał się domyśleć. Zewsząd zwisały przewody, wszystko połączone było jakimiś rurami albo giętkimi rękawami. Przypominało to... właściwie nie wiedział, co przypominało. Jedno nie ulegało wątpliwości – wszystkie elementy lśniły wprost nowością. Tu i ówdzie Frank zauważył jeszcze folię ochronną. Jeśli była to jakaś fabryka, na pewno nie rozpoczęła póki co produkcji.

Dopiero teraz dotarło do niego, że hala musi się znajdować głęboko pod ziemią. Przypomniał sobie, jak długo jechali windą – z jego piętra na parter jazda trwałaby znacznie krócej.

Na końcu utworzonego z wielkich urządzeń korytarza dostrzegł coś, ku czemu prawdopodobnie się kierowali. W półmroku rozjaśnionym jedynie przez słabe światło małych, rozmieszczonych przy podłodze lamp, widoczna była duża, rozświetlona szyba. Za nią znajdowało się centrum dyspozycyjne tej niby-fabryki. Jasne pomieszczenie pełne było jakichś pulpitych, ekranów i wskaźników, a wszystko to jakby spało, czekało dopiero na moment, w którym spełni swe zadanie. Podeszli do szyby. Karloff odwrócił się i powiedział:

– Oto serce naszego projektu. Nasza machina zbawienia.

Przez małe rozsuwane drzwi weszli do środka. Frank wyczuwał niemal nabożne skupienie w zachowaniu osób, które mu towarzyszyły. To miejsce było jednym z tych, w których z niewiadomych względów ścisza się odruchowo głos. Jak w kościele albo na cmentarzu.

Karloff podszedł do największego z pulpitych i położył na nim dłoń. Uśpione ekrany i wskaźniki rozjarzyły się nagle. Pomieszczenie ożyło jak pies obudzony dotykiem pana.

Gdy Karloff odwrócił się, na jego twarzy malowała się duma kogoś, kto właśnie stworzył świat.

– Budowaliśmy to kilka lat, lecz nasza praca wreszcie dobiega końca. Moment, w którym zapalimy światło zbawienia, zbliża się wielkimi krokami. Można powiedzieć, że masz szczęście, Franku Wilsonie. Być może jesteś jednym z ostatnich, który pozna tę tajemnicę i który zabierze się w naszą podróż. Zdążyłeś na pociąg na kilka sekund przed odjazdem.

Karloff ponownie dotknął pulpitu. Na kilku ekranach pojawił się jednocześnie ten sam obraz – jakby duża sala kształtem przypominająca amfiteatr. Na jej środku, otoczona rzędami foteli ustawionych w półkola, znajdowała się mała scena.

– Oto miejsce, w którym wybrani będą oczekiwać na swoją podróż – powiedział, wpatrzony w największy ekran. Na chwilę zamilkł, jakby napawał się widokiem swojego dzieła.

– Zastanawiałeś się kiedyś, Frank, co pomyślały o naszym świecie ktoś, kto przyjrzałby mu się z zewnątrz? Jakiś daleki przybysz, przelatujący przypadkiem przez naszą galaktykę, ktoś, kto nie widział dotąd Ziemi i miałby na ocenę zamieszkujących ją istot ledwie kilka chwil i tylko to, co w czasie tych kilku chwil zobaczy? Nie byłaby to przychylna ocena.

Wyciągnął rękę i na wszystkich ekranach zajaśniała widziana z oddali Ziemia.

– Zrozumiałem to tam, w kosmosie. Wracalem z podróży, nie pamiętam już której. Patrzyłem na Ziemię, jak rośnie na naszych ekranach i spróbowałem wyobrazić sobie wszystkie rzeczy, jakie dzieją się na niej w chwili, gdy ją obserwuję. Wiesz, co zobaczyłem? Wojny, głód, nędzę, usłyszałem krzyki tysięcy mordowanych w tym jednym momencie ludzi, jęki milionów umierających z głodu, starości i chorób. Popatrz na nas, Frank. Latamy w kosmos, budujemy kolonie na Marsie, a nasza własna planeta jest wciąż takim samym więzieniem dla miliardów pozbawionych nadziei istot, jak przed stu, dwustu czy przed tysiącem lat. Wszystko nas zawiodło, wszystko, w czym upatrywaliśmy nadzieję na szczęśliwy, sprawiedliwy świat.

- Nauka, to najwyższe osiągnięcie rozumu, obdarza nas tylko coraz to nowszymi zabawkami, a nie potrafi poradzić sobie ze starymi jak świat problemami, które wciąż od nowa zmieniają nasze życie w piekło. Religia jest bezradna, bo ludzie jej najwznioślejsze zasady potrafią wykorzystać dla usprawiedliwienia mordów i własnej niegodziwości. Sztuka zmieniła się już dawno w oglupiającą rozrywkę. Wszystkie wielkie projekty ludzkości załamały się pod ciężarem zbrodni, które zostały w ich imieniu popełnione. Wiesz, czym jest życie przeciętnego człowieka? To kilka wzlotów nieuzasadnionej nadziei i długie pasmo zakończonego śmiercią cierpienia.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Karloff odwrócił się i spojrzał na Franka.

- Sądzisz, że taki świat wart jest istnienia? Warto płacić cierpieniem za trwanie czegoś tak niedoskonałego?

Pytanie zawisło w przestrzeni. Karloff wpatrywał się we Franka, a on nie mógł, po prostu nie mógł odwrócić czy spuścić wzroku. Czuł się, jakby to spojrzenie brało go w posiadanie, jakby docierało do najdalszych zakamarków jego umysłu i wypalało tam swoje piętno.

- Myślisz pewnie: a co możemy zrobić? Palnąć sobie w łeb? Zatrącić się w alkoholu lub narkotykach? Tak myśli pewnie większość ludzi. Tylko dlatego godzą się na to wszystko, że nie widzą innego rozwiązania. Mylą się. Oni wszyscy się mylą. Jest inne wyjście.

Na ekranach zamigotały kolejne obrazy. W pierwszej chwili Frank nie miał pewności, co widzi. Było to jakieś pomieszczenie albo wnętrze urządzenia, ekrany pokazywały różne jego fragmenty. Z jednej ze ścian wychodziła wielka rura wyglądająca jak tunel aerodynamiczny. Rura ta przechodziła przez całe pomieszczenie i nikała w przeciwległej ścianie. Na jej środku znajdowało się duże zgrubienie, rodzaj metalowej kuli, od której odchodziły setki mniejszych rur i przewodów.

- Widzisz teraz samo jądro naszego dzieła, jego najważniejszy element. Niełatwo było to zbudować, a jeszcze trudniej utrzymać budowę w tajemnicy. Na szczęście wielu naszych braci zajmuje ważne stanowiska na rozmaitych szczeblach administracji Eurocity. Innych dało się przekupić albo po prostu... - Karloff urwał.

- Poza tym - zaśmiał się krótko - współczesny świat stał się tak skomplikowany, że nikt nie może w pełni go kontrolować. Każda władza musi tolerować pewien margines chaosu w obrębie obszaru, nad którym rozciąga swoją zwierzchność. Państwa udają, że nad wszystkim panują, a tak naprawdę starają się tylko, żeby to, nad czym sprawują władzę, jako tako funkcjonowało, mając nadzieję, że mechanizmy rządzące społeczeństwem i gospodarką same się uregulują. Zazwyczaj tak się dzieje i dlatego udaje im się jeszcze utrzymać iluzję kontroli. Mogą tylko wierzyć, że w szparach systemu, który od dawna się rozłazi, nie będą się lęgły rzeczy tak w sumie niegroźne jak przestępczość czy terroryzm. Jeśli jednak ktoś wie, gdzie są te szpary i potrafi to wykorzystać, może dokonać naprawdę wielkich rzeczy. Myśmy to wiedzieli.

Pozostali członkowie Rady milczeli podczas przemowy Karloffa. Nie ulegało wątpliwości, że to było jego show, i że to on był tu szefem. Zdawał się zresztą czerpać z obu tych rzeczy nieklamana przyjemność.

- Zastanawiasz się pewnie, co to jest - kontynuował. - To akcelerator. Ogromny, największy, jaki do tej pory zbudowano. Jego ramiona sięgają aż do naszej farmy poza granicami Eurocity. Do jego budowy wykorzystaliśmy dwie stare, nieczynne linie metra -

wystarczyło je tylko przebudować i przedłużyć. Chodziło o odpowiednią długość i krzywiznę. Musieliśmy też rozpocząć budowę poza granicami miasta. Tu trudno byłoby ukryć tak wielki projekt, trudno byłoby niezauważenie dostarczać tak dużą ilość materiału i sprzętu. A tak cały transport odbywał się od strony farmy. Realizacja projektu okazała się łatwiejsza, niż sądziłem, a wszystko dzięki bardzo dobrej organizacji.

Zamilkł na chwilę, jakby znów analizował w myślach swój genialny plan.

- Najważniejszą częścią akceleratora jest ten element. - Wskazał na metalową banię pośrodku pomieszczenia. - To tam zapłonie światło zbawienia. Całe to gadanie o Nowej Ziemi na Marsie to bujda. W zasadzie nie bujda, tylko, powiedzmy, pewnego rodzaju metafora. Chodzi o to, żeby nie przestraszyć od razu wszystkich garnących się do nas braciszków. Gdyby znali całą prawdę, wzięliby mnie za wariata. A ja nie jestem wariatem, Frank. Jestem prorokiem. To, co za chwilę usłyszysz, przekazano mi w objawieniu. Powiedzieli mi o tym nasi kosmiczni bracia. Nie wymyśliłem tego. Widziałeś ich przecież.

Spojrzał na Franka z uwagą, jakby sprawdzał, czy ten nie uważa go za człowieka niespełna rozumu.

- Dusza ludzka jest nieśmiertelna. Jest zmaterializowaną energią psychiczną. Można ją przesyłać na odległość jak prąd, można ją emitować w przestrzeń jak fale radiowe. Wiem o tym, bo moją duszę wysłano w taką podróż. Zwiedziłem inne światy, Frank, widziałem Nową Ziemię, którą przygotowali dla nas nasi kosmiczni bracia. Była piękna. Nie ma tam wojen, głodu, chorób, wszyscy są szczęśliwi i beztroscy. Chciałem tam zostać... ale nasi kosmiczni bracia wysłali mnie z powrotem. Wiesz po co? Żebym zabrał ze sobą wszystkich godnych. Wszystkich tych, którzy nie są bezkształtną hołotą toczącą naszą planetę jak robactwo. I wiesz co? Znalazłem was. Odsiałem ziarno od plew. To ziarno zakiełkuje, stanie się zaczynem lepszego świata. Pola zarośniętego chwastami nie można ulepszyć, trzeba je wypalić, a na popiołach zasadzić nowe rośliny.

- Mamy tylko jeden problem - przejście, którego używają nasi bracia, otwiera się rzadko. Jest wynikiem pewnych fluktuacji czasoprzestrzeni, które nasi bracia potrafią przewidzieć i wykorzystać. Gdybyśmy chcieli przenosić się za jego pomocą, potrwałoby to nawet setki lat. Wielu nie dożyłoby swojej szansy. Ale jest na to sposób, Frank, jest na to sposób. Trzeba otworzyć nowe przejście, większe i szersze, takie, którym moglibyśmy przejść wszyscy, jak przez wielkie, uchylające się tylko na chwilę wrota. Wrota, które zamkną się za nami już na zawsze. Wiem, jak to zrobić. Powiedziano mi.

Frank nerwowo przełknął ślinę. Czuł się, jakby oglądał dobry kryminał i za chwilę miał usłyszeć, kto zamordował. Karloff doskonale wiedział, na czym polega dramaturgia przedstawienia.

- Jak myślisz, Frank, gdzie mieszkają nasi kosmiczni bracia? Skąd do nas przylatują? Z Syriusza? Z gwiazdozbioru Andromedy? Z Proximy Centauri? Nie, Frank, ich ojczyzna znajduje się znacznie bliżej, można powiedzieć nawet, że tuż obok. Brat Kaminski mówił ci pewnie o ciemnej materii, o zwiniętych wymiarach - oni są właśnie stamtąd. Ich świat istnieje tuż obok naszego, w odległości mniejszej niż jedna setna milimetra. To jednak niezwykle trudna do pokonania odległość, ponieważ żyjemy w innych wymiarach. Żeby przekroczyć granicę, musimy wyzbyć się tego, czym zakotwiczeni jesteśmy w naszym świecie - naszego ciała. Musimy je zniszczyć, nie wystarczy się jednak zabić. Musimy

zniszczyć materię, z której się składamy. Istnieje tylko jedno takie miejsce, w którym znana nam przestrzeń znika, zatrzymuje się czas, a materia staje się na powrót energią – tym miejscem jest czarna dziura.

Karloff zawiesił głos i zerknął ukradkiem na Franka, jakby chciał sprawdzić, jakie wrażenie wywarła na nim jego przemowa. Był aktorem, a Frank jego widownią. Nie mógł sobie odmówić przyjemności wypróbowania na kimś swojej mocy po raz ostatni.

– Domyślasz się już, co chcemy stworzyć w naszym akceleratorze? Domyślasz się, czym są nasze wrota zbawienia? Masz rację, to szalony pomysł, ale wszystkie genialne pomysły są szalone. – Wyciągnął przed siebie ręce, jakby chciał objąć swoje dzieło. – Otworzymy tu wrota czasu i przestrzeni! Zniszczymy materię, która nas więzi i wyślemy nasze dusze w inny wymiar! Zamienimy umysły w fale energii, by bez przeszkód przekroczyły granicę światów! Cóż z tego, że Układ Słoneczny zniknie jak foliowa torebka wessana przez odkurzacz? Czy jest w nim cokolwiek, czy jest cokolwiek na Ziemi, co kazałoby nam się zatrzymać? Nie!

Karloff stał z uniesionymi rękoma, a Frank i pozostali wpatrywali się w niego jak zahipnotyzowani. Przez chwilę nikt chyba nie oddychał. Opuścił wreszcie ręce, spojrzął z tryumfem na otaczających go ludzi i głęboko odetchnął. Przedstawienie dobiegło końca.

– Wracaj teraz na górę, bracie. Czas jest już bliski.

ROZDZIAŁ XIX

Nie. Czy jest cokolwiek na Ziemi, co kazałoby nam się zatrzymać? Nie. Tej nocy Frank nie mógł spać. Przemyslał wszystko dokładnie, rozważył wszystkie za i przeciw, i przyznał Karloffowi rację – nic takiego nie ma. Przewracał się z boku na bok, poprawiał poduszkę, lecz nie mógł przerwać tej gonitwy myśli. Już niedługo. Czas jest bliski. Czuł podniecenie, ale i strach. Kaminski powiedział mu, że to naturalne. Że nie ma się czemu dziwić. W końcu mają wyruszyć w podróż, w jakiej nikt do tej pory nie uczestniczył. Ludzie, którzy biorą ślub, też się trochę boją. A przecież nie czeka ich nic złego.

Coś jednak nie pozwalało mu zasnąć. Niby wszystko już przemyślał, niby rozwiązał wszelkie obawy, ale wciąż było coś, co uwierało go jak kamyk w butcie. Przewrócił się na drugi bok. Próbował o niczym nie myśleć, niczego sobie nie wyobrażać, wsłuchiwał się tylko we własny oddech. Starał się odnaleźć w sobie pustkę, która, jak wierzył, przywoła sen. I wtedy – nie wiedzieć czemu, bo przecież wcale o tym nie myślał – wtedy nagle zrozumiał. Zrozumiał, co go tak niepokoi, co go tak uwiera, co jest jego ziarnkiem grochu pod stoma warstwami pierzyn. Atina.

Tak go to zdziwiło, że aż usiadł na brzegu łóżka. Atina. Dlaczego? Była przecież jego wrogiem, wrogiem bractwa. Przypominała mu czasy, gdy myślał, że... Nie chciał nawet o tym myśleć! Więc o co chodziło? Wydawała się całkiem sympatyczna i inteligentna, tyle tylko, że pewnych rzeczy nie rozumiała. Trochę... no tak, nie można powiedzieć, że wcale jej nie lubił. Szkoda by było, żeby tak wartościowa jednostka zmarnowała się tylko dlatego, że jest uparta i nie potrafi się wyrzec głupich przesądów. To wszystko przez jej ojca, co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

A więc o to chodziło? Martwił się po prostu, że Atina zostanie na Ziemi i zniknie na zawsze jak cała reszta tej hołoty?

Tak. Na pewno. To był ten powód.

Tym razem to on do niej podszedł. Mimo pędzących pełną parą przygotowań do podróży, rytm śniadań i obiadów pozostał w Centrum niezmienny.

- Cześć! Co dziś dobrego? – zagadnął jakby nigdy nic.
- To samo co zwykle – odparła zdziwiona. – Kiełbaski, wędliny, sery, owoce...
- Mogę się przysiąść?
- Jasne...

Przez chwilę panowało niezręczne milczenie. Frank udawał, że bardzo zajmuje go zawartość talerza. Atina co jakiś czas spoglądała na niego ukradkiem.

- Czekam – powiedziała wreszcie.

- Na co? - udał zaskoczenie.

- Na to, co powiesz. Przecież nie przysiadłeś się do mnie tylko dlatego, że nie miałeś z kim zjeść śniadania. Od kilku tygodni mnie unikasz, a tu nagle taki zaszczyt... Więc czekam.

- Nie, po prostu... - urwał. Nie było już chyba sensu się wykręcać. - Słuchaj, Atina...

- Andrea. Zapomniałeś już, jak się nazywa twoja własna żona?

- Tak, Andrea. Przepraszam. - Przez chwilę niepewnie wodził wzrokiem po stole. - Słuchaj... jak postępują twoje... postępy? Miałaś już może jakiś kontakt?

Spojrzała na niego uważnie.

- Wiesz przecież.

- Tak, wiem, ale... Słuchaj, bracia są naprawdę bardzo mili. Niepotrzebnie się ich obawiasz.

- Nie obawiam się ich. Boję się. I jak wiesz, mam ku temu dobre powody.

- Właśnie nie! Nie masz racji... To są porządni ludzie. I Karloff... On dużo rozumie, więcej niż my wszyscy. Miał kontakt. Myślę, że powinnaś... zwłaszcza teraz... powinnaś się przekonać.

- Zwłaszcza teraz? Chcesz mi coś powiedzieć, Frank? Co się dzieje?

- Nie, nic... Po prostu uważam, że naprawdę nie masz racji. Możesz wiele stracić przez ten głupi upór.

Spojrzała na niego bardzo, ale to bardzo uważnie.

- Zależy mi na tobie, Frank. W końcu jesteś moim mężem... - Uśmiechnęła się smutno. - Nie zrób czegoś głupiego. Nie zrób czegoś, z czego nie będziesz mógł się później wycofać.

- Już niedługo nikt nie będzie mógł z niczego się wycofać - mruknął i zabrzmiało to nadszpiegowanie ponuro.

- Co się dzieje, Frank? Co oni... zamierzają? Powiedz mi!

- Nie mogę. - Czuł, jak jakaś stalowa obręcz ściska go za serce. Przez chwilę szukał odpowiednich słów. - Słuchaj, proszę cię... Atina, proszę... postaraj się, uwierz! Wkrótce może być za późno.

Co za głupia, uparta baba! Frank szedł korytarzem, próbując opanować narastającą wściekłość. Co miał jej jeszcze powiedzieć? Co zrobić? Zaprowadzić ją za ucho do podziemi i przytknąć nos do akceleratora? Dlaczego one wszystkie są tak... uparte?! Dlaczego nigdy nie rozumieją? Dlaczego... A zresztą! Co go to obchodzi? Nie będzie jej przecież zaganiał kijem do tego, o czym sama powinna marzyć. Nie to nie, bez łaski.

Chyba był już drobinę spóźniony. I to wszystko przez nią! Naprawdę nie wiedział, dlaczego tak się tym przejmuję.

Skręcił za róg. Sala Andromedy, ładna nazwa. To właśnie tu odbywały się ostatnie spotkania przed Wielką Podróżą. Odprawy, jak nazywał je Kaminski. Jak się zachowywać i tak dalej, co robić, gdy nasz umysł znajdzie się już w tunelu przejścia. Jak nastroić jego fale, by pewnie i bez przeszkód dotrzeć do świata po drugiej stronie. Zresztą według Kaminskiego były to tylko zbędne środki ostrożności, bo kosmiczni bracia mieli nad wszystkim osobiście czuwać i nie dopuścić, by jakkolwiek dusza zagubiła się w międzywymiarowej otchłani.

Nacisnął klamkę i wszedł do środka. Wszyscy członkowie jego grupy już siedzieli. Podobno takich grup było kilkanaście, i to tylko w samym Centrum, a w ośrodkach

regionalnych co najmniej drugie tyle. W sumie liczba wybranych oscylowała w granicach dwóch tysięcy. Tak mówił Kaminski.

- Witaj, bracie! Na Wielką Podróż też masz zamiar się spóźnić?

Kaminski jak zwykle się uśmiechnął. W jego słowach nie było pretensji, raczej żartobliwe upomnienie. Tu w Centrum wszyscy odnosili się do siebie w sposób niezwykle uprzejmy. Człowiek czuł, że jest lubiany, szanowany, doceniany, rozumiany. Ostatni raz Frank myślał tak o sobie jako dziecko – kiedy mama i tata z zachwytem i miłością patrzyli na wszystko, co robi, i kiedy uważali go za najpiękniejszego i najmądrzejszego na świecie. Potem dorósł i już nie było tak przyjemnie. A teraz znowu. Bardzo miłe uczucie.

Uśmiechnął się i zajął miejsce w jednym z tylnych rzędów. Część ze znajdujących się na sali osób pamiętał jeszcze z wizyty na farmie. Siedziała tu też nieśmiała dziewczyna, którą poznał już na kursie. Z tego, co wiedział, małżeństwo z Niemiec się nie załapało. Bardzo chcieli dostąpić kontaktu, ale nic z tego nie wyszło. Tak podobno bywa, gdy ktoś za bardzo się stara. Kiedy kosmiczni bracia kogoś sobie upatrzą, opór na nic się nie zda, ale jeśli nie uznają cię za godnego, nie wkupisz się w ich łaski, choćbyś pękł. Tak mówił Kaminski.

Sala Andromedy wyglądała bardzo zwyczajnie, jak szkolna klasa za czasów młodości Franka. Teraz podobno wszystko się zmieniło – dzieci leżą na matach i z zamkniętymi oczami chłoną wiedzę podprogowo. Gdy któreś zaśnie, to nawet lepiej. Nowe metody wychowawcze po reformie edukacji. Reformowano ją zresztą, odkąd Frank sięgał pamięcią.

Nie słuchał nawet za bardzo, o czym traktował dzisiejszy wykład. Było coś niezwykle kojącego w atmosferze, jaka panowała na tych spotkaniach. Spokojny, pewny i ciepły głos Kaminskiego, lekki szum klimatyzacji, zapadający za oknami wczesny zimowy zmierzch – wszystko to powodowało, że już po kilku minutach Frank pogrążał się w stódkim błogostanie, a myśli odlatywały i krążyły niezobowiązująco wokół różnych przyjemnych tematów.

Odkąd dostąpił wtajemniczenia, generalnie było bardzo przyjemnie. Do tej pory w jego życiu zawsze czegoś brakowało – czegoś chciał, za czymś gonił, pragnął zmiany albo odwrotnie, bał się jej – a teraz to się nareszcie skończyło. Wszystko wiedział, niczego mu nie brakowało, znał przyszłość, nie żałował przeszłości, teraźniejszość wyjątkowo mu odpowiadała. Czuł spokojną, cichą pewność. Czuł, że jego życie opiera się na solidnych fundamentach.

- Ludzkie życie nigdy nie opiera się na solidnych fundamentach – usłyszał nagle.

Otworzył oczy. Nie był to głos Kaminskiego, który dobiegał gdzieś z końca sali; głos, który słyszał, rozbrzmiał bardzo blisko, jakby wewnątrz jego głowy.

Rozejrzał się ukradkiem. Wszyscy wpatrywali się w Kaminskiego. Poza tym siedział w ostatnim rzędzie, tak jak to miał w zwyczaju i od najbliższego sąsiada dzieliło go kilka krzeseł.

To pewnie tylko iluzja. Ludzie mają czasem przywidzenia. Na przykład kiedyś, na lotnisku, gdy leciał na wakacje do Australii, wydawało mu się, że ktoś do niego macha, a to jakaś dziewczyna wachlowała się biletem.

Zamknął oczy. Natychmiast przypląnęły skądś miłe obrazy – białe światło, które go oblało, gdy kosmiczni bracia zabrali go na pokład swojego statku; Karloff, gdy przyjmowali go do bractwa, a Kaminski chwalił za postępy; on i Natasza, gdy siedzą obok siebie, bo umówili się, że w czasie Otwarcia Wrót będą zajmować sąsiednie fotele, Atina...

Szlag by to trafił! Tego akurat nie powinien sobie wyobrażać! Co on ciągle z tą Atiną? Było, minęło. Sprawa zamknięta.

Cały nastrój cholera wzięła.

Otworzył oczy. Kaminski siedział na brzegu biurka i tłumaczył coś z zapałem. Za nim na ekranie pulsował tunel, którym wybrani mieli podążać ku innym wymiarom. Przypominał kieszkę stolcową. Było w nim coś obrzydliwego.

- Przepraszam! - krzyknął Frank niespodziewanie nawet dla samego siebie. - A co się stanie z... z innymi?

- Z jakimi innymi? - zdziwił się wytrącony z rytmu Kaminski.

- Z niewtajemniczonymi. Z całą resztą ludzkości.

- Myślałem, że już o tym rozmawialiśmy. Rozpłyną się w międzywymiarowym niebycie.

- Czy nie jest to trochę... zbyt okrutne?

- O tym też już chyba mówiliśmy. - Kaminski był wyraźnie zirytowany. - Sami są sobie winni. Mogli przyjąć światło, ale go nie przyjęli. Zamieszczaliśmy nawet reklamy w prasie. Czy to cię niepokoi?

- N-nie... Chciałem tylko wiedzieć.

Kaminski obrzucił go nagle badawczym spojrzeniem.

- Frank, co się dzieje z twoją twarzą? Jest jakby... opuchnięta.

W pierwszym momencie nie zrozumiał. Ale po chwili już tak.

- Trochę źle się czuję - wyjąkał.

- Idź do siebie, odpocznij. W czasie Podróży powinieneś być w dobrej formie.

ROZDZIAŁ XX

Cholera! Jasna cholera! Frank szedł, a w zasadzie biegł korytarzem. Gdzie ona jest? Gdzie jest Atina? Po tym, jak przestali razem mieszkać, także ją przeniesiono do mniejszego pokoju. Spotkał ją kiedyś przypadkiem, kiedy z niego wychodziła. Które to były drzwi? Te? A może tamte? Te. Chyba te.

Nie zdążyła nawet dobrze otworzyć, a już wpadł do środka.

- Słuchaj... - Z przejęcia ledwo łapał oddech. - Źle się czuję, rozumiesz? Musisz mi dać lekarstwo!

- Nie... Moim zdaniem wszystko jest dobrze. Nawet jakbyś wymłodniał.

Tym razem zatkało go ze złości.

- Posłuchaj mnie uważnie - zdołał wykrztusić po dłuższej chwili. - Nie czas teraz na takie gierki! Źle się czuję, potrzebuję lekarstwa, rozumiesz?!

- Nie mam. - Wzruszyła ramionami. - Wyrzuciłam.

- Jak to... wyrzuciłaś?!

- Normalnie. Wylałam do zlewu. Upiął termin ważności, jeśli tak można powiedzieć. Świat zawirował mu przed oczami.

- Czy wiesz... co to dla mnie znaczy? - Usiadł załamany na łóżku.

- Wiem. I właśnie na to liczę. Nigdy nie lekceważ odtrąconej kobiety, Frank.

Zamknął drzwi bardzo powoli. Zdawał sobie sprawę z iluzoryczności tego środka ostrożności. Bracia wchodzili przecież do jego pokoju już dwukrotnie, pewnie mieli dostęp do wszystkich pomieszczeń w budynku. No i obsługa hotelowa - sprzątają zawsze, kiedy wychodzi na zajęcia. Mimo wszystko tak czuł się lepiej. Żeby chociaż był tu taki łańcuszek na drzwiach! Da się go co prawda zdjąć od zewnątrz, a w najgorszym razie przeciąć, ale przynajmniej zyskałby trochę czasu.

Co mi znowu przychodzi do głowy?, opamiętał się po chwili. Przecież to moi bracia, najbliżsi mi ludzie, niedługo razem wyruszamy w podróż! Nie zrobią, nie mogą mi zrobić nic złego.

Nie potrafił normalnie rozmawiać. Panika, która go ogarnęła, niemalże odbierała mu oddech. Poszedł jak w transie do łazienki. Bał się spojrzeć w lustro, nie mógł się do tego zmusić. Błądził wzrokiem po półce na przybory toaletowe, zabrał się nawet za czytanie napisów na tubce pasty do zębów, ale w lustro spojrzeć nie potrafił. Wreszcie to zrobił. W pierwszej chwili nie zauważył niczego podejrzanego. Dosłownie przez moment miał nawet złądną nadzieję, że oto alarm okazał się fałszywy, a wyrok odwołano.

Nic z tego, dokładniejszy przegląd ujawnił prawdę. Zmarszczki zniknęły, wory pod oczami stawały się mniejsze, cera nabierała żywszych barw. Jego twarz wracała do normalnego stanu.

Zrobiło mu się słabo. Oto dosięgła go kara, kara za okłamywanie bractwa, za zatajenie prawdy. Teraz wszystko się wyda, cała ta żałoszna mistyfikacja. Nigdy już nie przekroczy wrót nowego świata, Karloff nie zabierze przecież za sobą zdrajcy.

Naraz rozległo się pukanie.

- Frank! Jesteś tam? - zza drzwi dobiegł głos Nataszy.

Jeśli nawet był, to w tym momencie zniknął. Serce mu zamarło, myśli zatrzymały się w pół drogi między neuronami. Tak musi się pewnie czuć mąż leżący w łóżku z kochanką, kiedy żona wraca wcześniej do domu.

Nie, nie ma mnie - tę myśl jako pierwszą wygenerował zawieszony mózg. Zniknąć, rozplnąć się, udawać, że się nie istnieje - mało czego Frank kiedykolwiek pragnął bardziej.

- Frank! Wiem, że tam jesteś, widziałam, jak wchodzisz! Co się dzieje? Kaminski mówił, że źle się czujesz.

Udawać, że bolą go zęby? Mógłby obwiązać głowę ręcznikiem. Albo przez cały czas zasłaniać twarz gazetą?

- Frank! Otwórz, nie wygłupiaj się!

- Przepraszam, byłem w łazience.

Natasza spojrziała zdziwiona na jego twarz pokrytą grubą warstwą pianki.

- Golisz się? O tej porze?

- Wiesz, boli mnie głowa, a to mi czasem pomaga.

Swoją drogą to dziwne, że można mówić tak spokojnie, kiedy gotuje ci się mózg, aż para gwiżdże uszami, pomyślał.

Uniosła lekko brwi, ale nic nie powiedziała.

- Może przysłać ci lekarza? - spytała po chwili milczenia.

- Nie, nie ma potrzeby. Czasami tak mi się zdarza, powinno do jutra minąć. Muszę tylko dobrze się wyspać.

- Jak chcesz. Do zobaczenia rano na kursie.

- Jasne. Do zobaczenia.

Już miała się odwrócić i odejść, ale w ostatniej chwili coś ją zatrzymało.

- Golisz się po ciemku?

- Razi mnie światło. Migrena - odpowiedział najspokojniej w świecie.

W ostatniej chwili powstrzymał się, żeby nie trzasnąć drzwiami. Zamknął je jednak powoli i dopiero wtedy pozwolił sobie na oddech ulgi. Oparł czoło o ich gładką, zimną powierzchnię i stał nieruchomo przez jakiś czas, czekając, aż puls przestanie wariować, a sprzed oczu znikną nieostre plamy. Dobrze. Wszystko jest dobrze. Trzeba tylko chwilę spokojnie pomyśleć. Na pewno istnieje jakieś wyjście, tylko on jeszcze o nim nie wie. Wrócił do łazienki i zmył piankę z twarzy. Spojrzął ponownie w lustro. Zmiany cofały się bardzo szybko, tylko siwa farba trzymała wciąż mocno. Wyglądał teraz dokładnie tak, jak się czuł - młody człowiek z siwymi włosami.

Usiadł na fotelu. Światła wołał nie zapalać. A jeśli są tu wszędzie kamery, jak twierdziła Atina? Co prawda teraz już nie wierzył, by jego bracia zachowywali się w tak wyrachowany sposób, ale co innego nie wierzyć, a co innego zapobiegawczo zachować wszelkie środki ostrożności.

Rozgorączkowany umysł podsuwał Frakowi najdziwniejsze pomysły. Mógłby na przykład zabarykadować drzwi i już nigdy stąd nie wychodzić. Albo po prostu uciec, przemknąć chyłkiem do wyjścia lub spuścić się przez okno na linie z prześcieradeł. Mógłby oczywiście przyznać się do wszystkiego Karloffowi i prosić o wybaczenie. To byłoby w zasadzie najrozsądniejsze wyjście. Problem polegał tylko na tym, że się bał. Nie, nie kary czy gniewu Karloffa – przerażał go moment, kiedy prawda wyjdzie na jaw. Zupełnie jak dziecko, które opóźnia powrót ze szkoły, bo boi się powiedzieć o złych stopniach.

Na razie siedział i czekał. Może dzięki jakiemuś nadzwyczajnemu zbiegowi okoliczności wszystko wróci do normy. Może nadejdzie skądś nieoczekiwane wybawienie? Było to oczywiście głupie i absurdalne przekonanie, doskonale o tym wiedział, ale w tej sytuacji na nic innego nie potrafił się zdobyć.

ROZDZIAŁ XXI

Ile czasu tak siedział? Nie miał pojęcia. Czuł się źle. Czuł się naprawdę źle. Kłamstwo, które początkowo było tylko wymyśloną na poczekaniu wymówką dla Nataszy, postanowiło w trosce o spokój jego sumienia przeistoczyć się w prawdę. W głowie zamiast myśli kłębiła mu się wata. Ręce i nogi zwiększyły ciężar i wcale nie miały ochoty na ruch. Był zmęczony. Zmęczony i zniechęcony. Chyba rzeczywiście nigdy stąd nie wyjdzie.

To pewnie skutek uboczny rozkładu trucizny w organizmie, pomyślał. Indiański specyfik przestał działać i teraz odbierał swoją zapłatę. Ale to wszystko jedno, naprawdę wszystko jedno. Już niebawem cały świat zniknie w czarnej dziurze, a on nie załapie się na prom na drugą stronę.

Nagle coś zatrzymało tę samonapędzającą się maszynę depresyjnych myśli. Coś, chyba jakiś dźwięk, ale Frank nie był pewien, bo nie zdążył zwrócić na to uwagi, zajęty kontemplacją bezgranicznej klęski. Nadstawił instynktownie uszu. Ktoś pukał do drzwi, cicho, jakby ukradkiem. Pewnie znowu Natasza, pomyślał z niechęcią. Chociaż nie, przecież Natasza nie miała powodu, by się tak czaić. Zresztą to nie w jej stylu. Kiedy była tu poprzednio, waliła w drzwi jak strażnik wywołujący więźnia na przesłuchanie.

Więc kto? Pukanie powtórzyło się, teraz jakby głośniejsze i bardziej zniecierpliwione. Wstał i najciszej, jak tylko potrafił, podszedł do drzwi. Wstrzymał oddech. To wcale nie takie proste wyczuć, kim jest osoba stojąca po drugiej stronie masywnych hotelowych drzwi. Może i materia składa się w większej części z pustki, ale jak przyjdzie co do czego, potrafi być zadziwiająco nieprzenikniona. Chyba że otrzyma się jakąś odpowiedź.

- Frank... - rozległ się po drugiej stronie cichy głos. - Otwórz. To ja, Atina.

Dziwna sprawa, powinien być na nią wściekły, jednak jej wizyta wywołała w nim coś na kształt ulgi. Otworzył szybko, nie zastanawiając się dłużej.

- Czego chcesz? - burknął wrogo, lecz bezwiednie cofnął się o pół kroku, jakby zapraszając ją do wejścia. Atina skwapliwie skorzystała z zaproszenia.

- Zamknij drzwi i nie zapalaj światła - szepnęła.

Posłusznie wykonał oba polecenia. Nareszcie ktoś wie, co należy robić. Może na razie tylko w kwestii drzwi, ale na początek dobre i to.

- Masz zamiar tu siedzieć do końca świata?

- To już niedługo - mruknął ponuro. - Nie zdąży mi się znudzić.

Usłyszał coś na kształt pogardliwego prychnięcia.

- Nie powiesz mi chyba, że zamierzasz się zabić przez tę głupią sektę? Na tyle cię jednak mimo wszystko znam, żeby wiedzieć, że raczej tak łatwo się nie poddajesz.

Samobójstwo... Kolejny pomysł, który niczego nie rozwiązuje. Było w nim jednak coś pociągającego...

- Już niedługo - odczuwał dziwną satysfakcję, kiedy to mówił, jakby się mścił na niej za swoje niepowodzenie - niedługo wszyscy zginiemy. Ty też. Karloff zbudował pod ziemią wielki akcelerator. Chce w nim otworzyć czarną dziurę, przejście do innego świata dla wybranych. Ja - rzucił ze złością - przez ciebie nie będę jednym z nich.

Atina nie odpowiedziała. Cisza i ciemność. Może to wszystko tylko mu się wydaje?

- A więc o to chodzi... - zaczęła po chwili. - Myślisz, że mają szansę to zrealizować? - spytała rzeczowo.

Zatkało go. Nigdy nie myślał o tym w taki sposób.

- No... chyba tak. Wszystko wygląda bardzo profesjonalnie.

- Cholera jasna! Nawet jeśli to tylko rojenia wariata, nie możemy tego tak zostawić. Ryzyko jest zbyt duże. Na pewno mają możliwości finansowe i organizacyjne, żeby czegoś takiego spróbować, pytanie tylko, czy dysponują odpowiednią wiedzę i zdolnościami technicznymi. I czy coś takiego w ogóle jest możliwe. Od dłuższego czasu wiedzieliśmy, że sekta przygotowuje się do jakiegoś wielkiego projektu, ale zniszczenie świata... Muszę przyznać, że to trochę przerosło naszą wyobraźnię!

Znowu zamilkła. Słychać było prawie, jak myśli.

- Musimy jakoś ich powstrzymać. Tylko jak?

- Ja... - zaczął Frank niepewnie - ...wcale nie chcę ich powstrzymywać. To moi bracia. Chcę z nimi polecić.

Popatrzyła na niego z politowaniem, poczuł to mimo panującego mroku.

- Dobrze. Póki co jednak pójdiesz ze mną. Mam tu dla ciebie nowe ubranie, pożyczyłam z pokoju tej gwardii Karloffa. Nikt cię nie pozna. Wyglądasz teraz przecież zupełnie inaczej. A to moja najcenniejsza zdobycz - zamachała czymś w ciemności - dwa biometryczne identyfikatory z uprawnieniami do przebywania w podziemiach. Nie było łatwo je zdobyć. Musiałam użyć całego swojego uroku i kilku sztuczek, których nauczyłam się w szkole na przedmieściach Londynu. Wiesz, dziwna sprawa - dodała po chwili - kobiece wdzięki działają na mężczyzn niezależnie od tego, co sądzą o naturze świata i iluzoryczności materii. Ten młody strażnik był nawet dość przystojny. Gdybym nie była mężatką...

ROZDZIAŁ XXII

Szli długimi korytarzami, mijali jakieś sale, hole, recepcje. Czasami zjeżdżali lub wjeżdżali windą, potem znowu korytarze. Atina z przodu, Frank kilkanaście kroków za nią. Faktycznie nikt nie zwracał na nich uwagi. Całe Centrum przypominało wielkie biuro w godzinach pracy – chodzili po nim jacyś ludzie, coś nosili, w salach trwały spotkania. Wyczuwało się w tym jednak rodzaj napięcia, jak w urzędzie oczekującym na przyjazd inspektora.

Frank nie miał pojęcia, dokąd ani po co idą. Miał wielką ochotę spytać o to Atiny, ale przecież udawali, że się nie znają. Targały nim sprzeczne uczucia. Z jednej strony coś kazało mu podążać za nią (może fakt, że nie miał lepszego pomysłu na rozwiązanie tej sytuacji), z drugiej jednak czuł, i to czuł bardzo wyraźnie, że postępuje nie w porządku wobec braci. Był przecież jednym z nich, płynęła w nim krew pozaziemskich istot, a ona chciała pokrzyżować ich plany. Był Wtajemniczonym, Wybranym, a ona nie rozumiejącą niczego ignorantką, która boi się nieuniknionego. A jednak za nią szedł.

Już parę razy wyobrażał sobie, jak zbliża się do niej, chwytą ją za ramię i mówi: „Nie, nie mogę! Nie mogę sprzeniewierzyć się braciom! Nie wydam cię, idź, dokąd chcesz. Ja muszę wracać!” A jednak tego nie robił. Dlaczego? Sam się zastanawiał. Może dlatego, że musieliby się wtedy rozstać, a on bardzo tego nie chciał?

Póki co postępował według starej zasady: Zróbmy to – zobaczymy, co się stanie.

W końcu zatrzymali się przed jakimiś drzwiami. Ponieważ przez całą drogę intensywnie myślał, kompletnie nie wiedział, gdzie się znajdują. Weszli do środka. Atina położyła mu palec na ustach i nie zapalając światła, poprowadziła go w głąb pomieszczenia. Frank podejrzewał, że był to jeden z apartamentów przeznaczonych dla gości bractwa. Przeszli przez mały korytarzyk, potem przez salon, aż w końcu znaleźli się w sypialni. Atina zamknęła za sobą drzwi i włączyła światło.

– W porządku, teraz możemy spokojnie porozmawiać. Jest tu co prawda podsłuch i kamery jak w każdym innym pomieszczeniu, ale przemontowałam je trochę. Przekazują teraz to samo, co urzędzenia w salonie – ciszę i ciemność. A podobno kobiety nie mają talentów technicznych...

Usiadła na łóżku, on wybrał krzesło. A więc byli w jej sypialni.

– Czemu tak kluczylimy?

– Chciałam sprawdzić, czy nikt nas nie śledzi. I w razie czego zmylić trop. To w zasadzie zbędna ostrożność, bo system ochrony działa tu dość chaotycznie. Zdaje się, że nikt nad nim do końca nie panuje. Zwłaszcza teraz. Kiedy ty, mój drogi, wtajemniczałeś się w kolejne nauki naszego przyjaciela Karloffa, ja poznawałam zasady rządzące jego przedsiębiorstwem.

Udawanie bogatej idiotki bardzo mi w tym pomogło. Ciekawe, że idiotki z reguły nie budzą podejrzeń. Mężczyźni są w stanie zadziwiająco dużo rzeczy im powiedzieć, byleby tylko przestały zadawać te swoje idiotyczne pytania.

Frank rozejrzał się po sypialni. Wyglądała tak samo jak jego, tyle tylko, że tu na szafce przy łóżku siedział mały, pluszowy zajączek. Tajna agentka potrafiąca wykraść potężnej sekcie jej sekrety woziła ze sobą maskotkę.

- Po co mnie tu sprowadziłaś? - przeszedł od razu do rzeczy.

- Muszę zobaczyć akcelerator. Tylko ty możesz mi w tym pomóc.

Wbił w nią osłupiały wzrok. To, o co go prosiła, na kilometr śmierdziało zdradą.

- Po co ci to?

- Chcę sprawdzić, czy naprawdę są w stanie urzeczywistnić swoje plany.

Jasne. I w razie czego wszystko popsuć.

Nie mógł się zgodzić. Na to nie mógł się zgodzić w żadnym wypadku. Chociaż z drugiej strony... Gdyby w jakiś sposób dotarli w pobliże akceleratora, mógłby się tam ukryć i przeczekać do czasu, aż wszystko się rozpocznie. Wtedy wmieszałby się niezauważenie w tłum i może załapałby się na Wielką Podróż. Tak trochę na gapę. Może i Atinę dałoby się tam jakoś... Nawet wbrew jej woli...

- Gdzie on jest? W podziemiach? - przerwała mu rozmyślenia.

- Tak... - odpowiedział z wahaniem.

- Jak się tam dostać? Windą?

- Windą. Ale mnie eskortowała czarna gwardia Karloffa. Nie wiem, jak moglibyśmy sami...

- Ty już wyglądasz jak jeden z nich, dla siebie mam drugi kostium. Spróbujemy wniknąć w ich szeregi. Jeśli tylko będziemy się zachowywać dość pewnie, przy odrobinie szczęścia damy radę. To ich całe bractwo naprawdę nie jest tak dobrze zorganizowane, jak się wydaje. Kręcą się tu tysiące ludzi, część z nich należy do sekty, część to tylko goście. Wszędzie są kamery, ale nikt nie jest w stanie ogarnąć tak wielkiej ilości informacji. Roztopimy się w tym tłumie jak ślina w deszczu.

Jak ślina w deszczu. Ładnie powiedziane, pomyślał Frank.

- Która z wind prowadzi do podziemi?

- Nie mam pojęcia - odparł. - Kiedy mnie tam prowadzili, niewiele widziałem. Wszystkie światła były wygaszone.

- W budynku znajduje się dwanaście wind, sześć z jednej strony i sześć z drugiej. Jedna z nich pozostaje do wyłącznego użytku Karloffa i prowadzi bezpośrednio do jego gabinetu na ostatnim piętrze. Na pewno można nią zjechać do podziemi, tyle że raczej trudno byłoby nam z niej skorzystać. Któraś z pozostałych również musi prowadzić w dół - niemożliwe przecież, żeby wszyscy korzystali z osobistej windy Karloffa. Musimy się tylko dowiedzieć, która.

- Jak to zrobimy? Spytamy o drogę? - mruknął z ironią.

- Metodą prób i błędów. Będziemy jeździć wszystkimi. I dobrze się przyglądać.

ROZDZIAŁ XXIII

W czarnym kostiumie gwardii Karloffa Atina wyglądała naprawdę prześlicznie. Włosy spięte z tyłu podkreślały urodę jej twarzy. Czarny, dopasowany do sylwetki (choć bez przesady) kostium pozwalał domyślić się wielu ciekawych rzeczy, chociaż żadnej nie eksponował ordynarnie. Ach, te kobiety!, myślał Frank. Gdyby to on kradł dla siebie ubranie, chwyciłby pewnie pierwsze z brzegu. Ona musiała z pół dnia przebierać, żeby wybrać takie, które idealnie na nią pasowało.

Choćby dla tego jednego widoku warto było jeździć bez końca tymi cholernymi windami. Jak na razie nie przynosiło to żadnych rezultatów. Każda z wind nieodmiennie zatrzymywała się na parterze i choćby człowiek się wściekł, nie zjeżdżała niżej ani o milimetr. Następnie z powrotem do góry, kolejna winda i znów to samo. W górę i w dół, w górę i w dół, w górę i w dół.

Musiał istnieć inny sposób. Tylko jaki? Może w budynku znajdowała się jeszcze jedna, ukryta winda, którą zjeżdżało się do podziemi?

Po raz kolejny wysiedli w wielkim holu na parterze. Na twarzy Atiny malowało się zniechęcenie, chyba powoli traciła wiarę, że im się uda. Frank poczuł nagły przypływ żalu. Zza maski pewnej siebie, zawsze trzeźwo myślącej, upartej i czasami aroganckiej kobiety, wyjrzała naraz bezradna, zmęczona dziewczynka. Podszedł do niej i niewiele myśląc, przygarnął ją do siebie. W pierwszej chwili zeszywniała, ale potem pozwoliła się objąć.

- Nie martw się. Wszystko będzie dobrze - wygłosił tekst najgłupszego na świecie pocieszenia.

Nagle poczuł, jak oblewa go zimny pot. Puścił Atinę i cofnął się o krok. Zdziwiona uniosła brwi.

- Co się stało?

Nie potrafił odpowiedzieć. Z przeciwległego końca holu szedł prosto na nich Kaminski. Atina podążyła za jego przerażonym spojrzeniem.

- Spokojnie. - W jednej chwili odzyskała pewność siebie. - Nie pozna cię. Zachowuj się naturalnie.

Łatwo powiedzieć! Czuł się jak żołnierz w okopie, w którego kierunku jedzie właśnie czołg. Nogi zaczęły mu drętwieć, serce straciło regularny rytm. Uciekać!

- Stój spokojnie. - Atina odwróciła się do Kaminskiego plecami. - Będę teraz do ciebie mówić. Nie musisz odpowiadać, stoimy sobie i rozmawiamy. Zwykła, normalna sytuacja.

Kaminski wciąż się zbliżał. Dostrzegł ich i obrzucił roztargnionym spojrzeniem. Frank przełknął ślinę. Strużka potu pocięła mu po potylicy. Atina coś trajkotała, nie miał jednak

zielonego pojęcia, co. Raptem Kaminski spojrział na nich po raz drugi i zaczął przypatrywać się Frankowi uważniej, jakby próbował coś sobie przypomnieć. Frankowi serce zamarło w piersi. Przecież... przecież Kaminski znał jego prawdziwą twarz! Kiedy po raz pierwszy przyjechali tu z Nataszą, widział go, i to nie przez chwilę, ale przez dłuższy czas – dostatecznie długo, żeby go zapamiętać.

To już koniec, był tego pewny. Nogi drżały mu, jakby nie mogły utrzymać ciężaru ciała. Za chwilę Kaminski podejdzie bliżej, rozpozna w nim policjanta, który kiedyś próbował przeniknąć w głąb Bractwa, i wszystko zrozumie. Ludzie, których kochał, uznają go za szpiega i zdrajcę. A karą za zdradę jest śmierć. Sam się na to zgodził, kiedy dostępował drugiego pouczenia.

Czołg nadjeżdżał powoli, ale nieubłaganie, za chwilę gąsienice zmiażdżą jego wątłe ciało. Nawet uciekać nie ma już sensu.

Nagle Kaminski podniósł przyjaźnie rękę.

– Witaj, bracie – powiedział i przeszedł obok.

Frank stał jeszcze przez chwilę jak skamieniały. Dopiero po kilku sekundach dotarł do niego sens słów wypowiedzianych przez Atinę.

– Widzisz, mówiłam, nie poznał cię. Jesteś dla niego jedną z tysięcy twarzy, które widzi każdego miesiąca. Wiedział, że cię zna, ale nie mógł sobie przypomnieć, skąd. Przestań już tak stać z rozdziawioną gębą! Ruszamy za nim.

– Co?!

Twarz Franka wyrażała tak wielkie zdumienie i przerażenie, że Atina mimowolnie parsknęła śmiechem.

– Chcesz znaleźć śmietnik, idź za szczurem – wyjaśniła.

ROZDZIAŁ XXIV

Szczur (Kaminski faktycznie przypominał nieco szczura, Frank musiał to niechętnie przyznać) szedł przez hol w kierunku wind. Minął rosnące przy recepcji drzewo, po czym skręcił w prawo i zostawiając za sobą równy szereg rozsuwanych drzwi, skręcił jeszcze raz, przechodząc obok szybów wind. Frank i Atina odczekali chwilę i ruszyli za nim. Skręcili w samą porę, by zobaczyć, jak Kaminski znika za niepozornymi podwójnymi drzwiami z napisem „obsługa wind”. Znowu chwilę poczekali, po czym weszli do środka.

Automatyczna bramka z cichym piskiem zaakceptowała ich identyfikatory. Za drzwiami znajdował się korytarz prowadzący w lewo. Kaminski kroczył szybko ze spuszczoną lekko głową. Na końcu korytarza ujrzeli jeszcze jedną windę. Stał przy niej strażnik zaopatrzony w skaner źrenic oczu. Gdy Frank to zobaczył, chciał zawrócić, lecz Atina złapała go za rękaw i przyśpieszyła kroku.

Kiedy dotarli do windy, byli już tuż za Kaminskim. Wyglądali teraz, jakby szli razem z nim. Na widok Kaminskiego strażnik wduśił przycisk rozsuwający drzwi i nie podnosząc nawet czytnika, wpuścił przełożonego do środka. Frank i Atina maszerowali tuż za nim. Strażnik zrobił gest, jakby chciał ich zatrzymać, lecz oni przeszli obok, nie zwracając na niego uwagi. Frank zobaczył jeszcze w lustrze zamontowanym w kabinie windy, jak mężczyzna waha się, czy zareagować, lecz wtedy Atina zrobiła coś, co całkowicie zmieniło obraz sytuacji – zasłoniła dłonią usta i ziewnęła.

- Długi dzień, co? - rzuciła w stronę mężczyzny.

Strażnik, wytracony ze swojej roli, mruknął coś niepewnie w odpowiedzi, drzwi zasunęły się i winda ruszyła. Kaminski omiół ich obojętnym spojrzeniem, po czym na powrót pograżył się w rozmyśleniach.

Frank starał się nie patrzeć na niego i zbyt wiele nie myśleć. Bezmyślność świetnie się sprawdza w takich sytuacjach – wiedział o tym od dawna. Nagle Kaminski zerknął na nich ponownie.

- Jesteście z ochrony? Trochę za wcześnie chyba na drugą zmianę.

- Wezwano nas z góry. Nie wiemy, po co – wypalił bez namysłu Frank.

Ta odpowiedź najwidoczniej zadowolila Kaminskiego, bo o nic więcej nie pytał. Po chwili winda stanęła, a drzwi się rozsunały. Kaminski wyszedł, oni za nim.

Byli teraz w długim korytarzu, który Frank pamiętał z pierwszej wizyty. Wtedy co prawda panowała w nim kompletna ciemność, mógł więc co najwyżej wyobrażać sobie, jak wygląda, ale z tego, co teraz widział, jego wyobraźnia nie miałaby zbyt wiele roboty – szeroki i

dość wysoki korytarz wyglądał bowiem zupełnie zwyczajnie. Drzwi po drugiej stronie tym razem stały otworem.

Wkroczyli do podziemnej hali. Kaminski szedł cały czas prosto, ale Atina natychmiast skręciła w bok, ciągnąc Franka za rękaw. Zbyt długo kusili los, paradując Kaminskiemu tuż koło nosa. Najwyższa pora, by zejść mu z oczu.

Hala była rzęsiście oświetlona, a wokół trwała ożywiona krzątanina. Jeździły wózki widłowe i małe elektryczne transportowce, kręcili się zaaferowani ludzie. Większość wykonywanych przez nich czynności wyglądała na prace wykończeniowe. Zewsząd dobiegał szum automatów myjących podłogę, zrywano folię ochronną z wielkich, błyszczących urządzeń. Krótko mówiąc, odbywało się wielkie sprzątanie przed podróżą.

Atina ruszyła ostrożnie w głąb hali, Frank podążył za nią. Panujący tu ruch niewątpliwie należało uznać za szczęśliwą okoliczność – byli tylko jednymi z wielu kręcących się wkoło ludzi, dzięki czemu nikt nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Strój czarnej gwardii Karloffa stanowił zresztą doskonały kamuflaż. Mogli chodzić w tę i z powrotem pozornie bez celu i nie wydawało się to nikomu podejrzanym – po prostu pilnowali, żeby wszystko przebiegało bez zakłóceń.

Spacerowali powoli korytarzami utworzonymi z wielkich, sięgających wysoko urządzeń. Atina przyglądała się wszystkiemu bardzo uważnie. Co i raz przystawała, jakby coś ją szczególnie zainteresowało. Po chwili ruszała dalej. Dotarli wreszcie do wielkiej szyby, za którą znajdowała się dyspozytornia. Wejścia do niej pilnowało kilku mężczyzn ubranych w takie same czarne mundury. W środku dostrzegli Kaminskiego.

– Tam nie uda nam się wejść – powiedziała cicho Atina. – Szkoda. Wielka szkoda.

Idąc dalej wzdłuż ściany, skręcili w lewo. Po jakimś czasie drogę zagroziła im prostopadła ściana wyznaczająca boczną krawędź hali. Wystawała z niej ogromna, metalowa rura biegnąca dalej nad ich głowami w kierunku wielkiego cylindra za dyspozytornią.

– A więc to jest ten ich akcelerator – szepnęła Atina. – Rzeczywiście ogromny.

Ruszyła wzdłuż niego. Wydawało się, że gdyby tylko mogła, weszłaby do środka. Nagle wyraz jej twarzy uległ zmianie. Tuż obok cylindra, jakby przyklejona do niego bokiem, znajdowała się jeszcze jedna lśniąca bryła. Dla Franka wyglądała tak samo jak wszystko inne, lecz Atina najwyraźniej dostrzegła w niej coś, co zaniepokoiło ją w najwyższym stopniu.

– Cholera... – zakląła pod nosem. Ruszyła prawie biegiem w kierunku dyspozytorni, Frank ledwo za nią nadążał. Minęli szybę, za którą widać było Kaminskiego i nie zatrzymując się, popędzili dalej. Po drugiej stronie dyspozytorni, na przeciwnym krańcu wielkiego cylindra na jej tyłach, znajdowała się jeszcze jedna, taka sama dziwna bryła. Atina stanęła jak wryta.

– Chodź! – rzuciła do Franka i odciągnęła go na bok.

– Wiesz, co to jest? – spytała bardzo poruszona. – Pewnie że nie wiesz! Cholera jasna... Wiedziałam, że to niemożliwe nawet w największym akceleratorze wytworzyć energię, która umożliwiałaby otwarcie czarnej dziury zdolnej do ekspansji na otaczającą ją materię. To po prostu niemożliwe. Chciałam sprawdzić, czy nie kombinują czegoś jeszcze. No i kombinują. Wiedzą, że ich akcelerator ma za małą moc, więc chcą ją zwiększyć, odpalając w krytycznym momencie dwa ładunki wodorowe. Liczą, że połączona energia akceleratora i dwóch wybuchów wytworzy ciśnienie, które umożliwi skondensowanie materii we wnętrzu tego cylindra do gęstości wystarczającej, by stworzyć czarną dziurę i umożliwi jej gwałtowny

rozrost. Ten pomysł oczywiście jest równie pozbawiony sensu jak cała reszta ich rojeń, jeśli jednak naprawdę odpalą te dwie bomby, wysadzą w powietrze połowę Eurocity! Rozumiesz to, Frank? Może zginąć kilkadziesiąt milionów ludzi!

Atina trzęsła się z przejęcia.

- Co tam jest? - spytała, gdy już trochę ochłoneła. - Co jest w tym cylindrze?

Frank zamrugał, próbując zebrać myśli.

- Tam... tam jest sala, w której Wybrani będą oczekiwać na otwarcie wrót czasoprzestrzeni.

- A więc Wybrani wyparują w pierwszej kolejności.

ROZDZIAŁ XXV

- Co robisz? - Frank z zaniepokojeniem przyglądał się Atinie, która wyjęła skądś mały pakunek zaopatrzonego w zegar elektroniczny.

- Musimy im przeszkodzić. To ładunek wybuchowy, bardzo silny. Dostałam go od taty, na nową drogę życia - puściła do Franka oko. - Całe szczęście nie mają tu detektorów materiałów wybuchowych. Podłożymy go w jakimś fajnym miejscu, wyjedziemy na powierzchnię, a potem odpalimy. Nie zniszczy zbyt wiele, ale naprawienie szkód opóźni całe przedsięwzięcie co najmniej o tydzień. To da nam czas, by się zastanowić, co dalej.

Patrzyła na nią, nic nie rozumiejąc. Dopiero po chwili dotarła do niego groza tego, co Atina zamierzała zrobić.

- Chcesz... wszystko zniszczyć?!

- Bardzo bym chciała, ale zbyt duży wybuch mógłby odpalić ładunki wodorowe.

- Nie pozwolę ci na to.

- Frank! - Chwyciła go mocno za ramię. - Nie rozumiesz? Jeśli oni to zrobią, zginie niewyobrażalna ilość niewinnych ludzi! Ile widziałeś w swoim życiu trupów? Jesteś policjantem, więc pewnie całkiem sporo. Ile ich było? Kilkanaście? Kilkadziesiąt? A teraz wyobraź sobie górę usypaną z takich trupów. Prawie całe miasto. Matki, ojcowie, dzieci - całe rodziny. A także babcie, wujkowie, znajomi i przyjaciele, sąsiedzi, ekspedientka ze sklepu - wszyscy! Rozumiesz to? Więc nie chrzań, że mi na to nie pozwolisz. Chodź!

Schowała paczuszkę i ruszyła przed siebie, a on potulnie podążył za nią.

Szli wzdłuż rury akceleratora. Huczało mu w głowie. „Matki, ojcowie, dzieci - wszyscy!” Wydawało mu się, że każdy mężczyzna, którego mijają, ma twarz Karloffa.

- Dyspozytornia jest za dobrze chroniona - powiedziała półgłosem, kiedy ją mijali. - Zresztą tu zniszczenia byłoby najłatwiej usunąć. Musimy unieszkodliwić jedno z urządzeń, rozzerwać ogniwo łańcucha. Gdyby udało mi się dostać do tej cholernej rury...

Doszli do przeciwległego krańca hali, tam gdzie rura akceleratora wychodziła ze ściany.

- Przecież musi być jakiś sposób, żeby tam wejść! - Patrzyła z napięciem na ogromny kształt zawieszony nad ich głowami tunelu. - Muszą tam jakoś wchodzić, choćby po to, żeby sprawdzać, czy wszystko jest w porządku.

Frank ledwo rejestrował, co się wokół niego dzieje. „Matki, ojcowie, dzieci...” Twarz Karloffa... Wszystko wirowało mu w głowie. Gdyby potrafił choć na chwilę zebrać myśli...

Podeszli bliżej.

- Jest! Wiedziałam, że coś takiego tu będzie! - prawie krzyknęła Atina. Od razu się jednak zreflektowała i kontynuowała już półgłosem: - Widzisz te metalowe schodki tam z boku?

Prowadzą na platformę umieszczoną na dachu tego czegoś. – Starła się podbródkiem wskazywać rzeczy, o których mówi. – A teraz spójrz w lewo. Tam też są schodki, widzisz? Prowadzą do samej rury. Musi być między nimi jakieś połączenie. Nie widać go stąd, ale musi tam być. Jak inaczej dostawaliby się do drugich schodków?

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła w tamtym kierunku.

– No chodź! – odwróciła się, by ponaglić Franka.

Jak zwykle miała rację. Z platformy na szczycie „tego czegoś” prowadziło sześć metalowych schodków. Tam, po stronie niewidocznej, gdy się patrzyło od wnętrza hali, znajdowała się mała galeryjka prowadząca do drugich schodków, którymi można było dojść aż do samej rury.

Atina podskoczyła z radości.

– Idziemy. Tylko spokojnie. Jesteśmy rutynowym patrolem rutynowo sprawdzającym, czy wszystkie śrubki są na swoich miejscach. Postaraj się przybrać znudzony wyraz twarzy.

Ruszyła w górę schodów. Frank szedł za nią, jakby każda z jego nóg ważyła sto kilogramów. „Matki, ojcowie, dzieci...”, „Matki, ojcowie, dzieci...” Tak, chyba trzeba to zrobić... Góra trupów... On wrzucający na nią kolejne ciała... Nie, nie można do tego dopuścić... Karloff musi się mylić... Jest na pewno dobrym człowiekiem, tylko się myli...

Nagle straszliwy ból eksplodował mu w głowie, aż musiał przystanąć i chwycić się poręczy. Atina szła przodem jakby nigdy nic. Ból dosłownie rozsadał mu czaszkę, jak gdyby ktoś walił mu młotem pneumatycznym w sam środek czoła.

Byli na miejscu. Atina wyciągnęła z kieszeni paczuszkę, chwilę przy niej manipulowała, po czym przystawiła ją do akceleratora w taki sposób, by nikt nie mógł jej dostrzec z zewnątrz.

Nie!!!, zawył coś w głowie Franka. Krew niemalże zagotowała mu się w żyłach, jeszcze chwila i wytryśnie oczami.

– To idealne miejsce – słyszał głos Atiny, jakby mówiła z drugiego pokoju. – Będą musieli wymienić cały moduł. Nie potrwa to krótko.

Ból na środku czoła zaczął pulsować. Frank prawie czuł, jak coś umieszczonego pod samą czaszką rozpala się do czerwoności.

– Dobra, idziemy. Nastawiłam detonator. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Zaczęła zbiegać w dół schodków. Zastąpił jej drogę.

– Nie!!! – krzyknął nie do końca własnym głosem.

Przestraszyła się.

– Frank, daj spokój... Musimy iść. Nastawiłam detonator.

Chwycił ją za rękę.

– Wyłącz to!

– Puść mnie!

– Wyłącz, słyszysz!!!

– Nie mogę, już nastawione...

– To zdejmij!

– Nie!

Puścił jej rękę i zaczął wspinać się po schodkach. Zastąpiła mu drogę.

- Frank...

Odepchnął ją z całej siły i ruszył w górę. Słyszał, jak spada o kilka stopni, ale widocznie zdążyła się czegoś chwycić. Za chwilę był już przy akceleratorze. Namacał przyczepioną do rury paczuszkę. Nagle czyjeś ręce chwyciły go za włosy. Atina z całej siły wpiła się w niego, starając się odciągnąć go od ładunku. Próbował strząsnąć ją z siebie, ale trzymała go bardzo mocno. Wyciągnął jeszcze raz rękę w kierunku ładunku i wtedy zaczęła walić go po głowie pięścią, prosto w skroń. Pociemniało mu przed oczami. Odwrócił się i uderzył na oślep. Znowu usłyszał odgłos spadającego po stopniach ciała. Odwrócił się i chwycił ładunek. Szarpnął i już po chwili trzymał go w ręku.

- Straż!!! Straż!!! - wrzeszczał jak oszalały. Jacyś ludzie na dole odwrócili się na dźwięk jego krzyku. Zobaczył, jak kilku mężczyzn w czarnych strojach biegnie w jego stronę. Nie czekając na nich, zaczął szarpać się z ładunkiem, usiłując oderwać od niego detonator. Wreszcie się udało. Odrzucił go daleko od siebie.

Dopiero wtedy spojrzął w dół. Na pomoście, u podstawy schodów leżała Atina. Nie ruszała się. Tuż przy jej głowie utworzyła się mała kałuża krwi.

ROZDZIAŁ XXVI

- Wierzę ci. - Karloff wpatrywał się z uwagą we Franka, który nikał, roztapiał się prawie pod tym spojrzeniem. - Wierzę, bo widzę, że i ty wierzysz. Poświadczyłeś zresztą czynem swoją wiarę. Uratowałeś nasz projekt, choć z tego, co mówisz, jeszcze przed chwilą chciałeś go zniszczyć. Cóż, nie tak łatwo sprzeniewierzyć się krwi, którą obdarzyli nas nasi kosmiczni bracia...

Karloff zamilkł, jakby się nad czymś zastanawiał. Frank siedział na krześle przed jego biurkiem, jak uczeń przed dyrektorem szkoły.

- Oto więc wilk w przebraniu owcy przyszedł do naszego stada, lecz pod naszym wpływem zamienił się w prawdziwą owcę. I uratował nas przed swymi pobratymcami - powiedział w zamyśleniu. Uśmiechnął się, jakby ta myśl bardzo mu się spodobała. - Piękna historia.

- Czy będę mógł... czy dostąpię zaszczytu... - Frank nie potrafił przestać się jąkać. - Czy wezmę udział w Podróży?

- Tak. Czemu nie? Jesteś przecież jednym z Wybranych. W dodatku kimś w rodzaju Syna Marnotrawnego.

Kaminski ponownie się uśmiechnął. Ośmielony tą reakcją, Frank zdecydował się zadać jeszcze jedno pytanie.

- A co z Atiną? Z tą kobietą, która udawała moją żonę?

- Jest nieprzytomna, wstrząs mózgu czy coś takiego. Podobno nic poważnego. Zajęliśmy się nią w naszym szpitalu. Chociaż... biorąc pod uwagę, że już niedługo zniknie jak cała reszta tej hołoty, to właściwie strata czasu...

- Właśnie... Może mogłaby polecieć z nami? Ona naprawdę nie jest zła. Tylko nie rozumie...

- Jeśli nie rozumie, nie jest godna - głos Karloffa zabrzmiał tym razem bardzo ostro. - Nie została wybrana. Poza tym chciała zniszczyć moje dziecko. Powiniennem kazać ją zabić już teraz!

- Nie!

- Widzę, że wciąż odczuwasz do niej jakiś pociąg. To karygodne, biorąc pod uwagę, co chciała nam zrobić. Myślałem, że rozumiałeś już swoje poprzednie błędy.

- Tak, rozumiałem, tylko...

- Musisz wyplenić z siebie takie sentymenty. Kiedy przejdziesz przez Wrota Czasu, i tak wszystko to straci jakiegokolwiek znaczenie. A teraz już idź.

Frank siedział na łóżku i gapił się w swoje stopy. Od jakiegoś czasu dziwnie często przyjmował tę pozycję.

- Cześć, mogę wejść? Pukałam, ale nie odpowiadałeś.

Podniósł głowę. Natasza... Nie zauważył, jak weszła.

- A więc to cały czas byłeś ty... - Usiadła obok niego na łóżku. - Wróciłeś po mnie. To słodkie.

Popatrzył na nią niewidzącym spojrzeniem.

- Tak... - powiedział machinalnie.

- Wiesz... - Wzięła go za rękę. - Cieszę się, że jesteś z nami, naprawdę. Z tą twarzą wyglądasz jednak o wiele lepiej.

Uśmiechnął się w odpowiedzi. O tak! Co do tego nie było żadnych wątpliwości.

- Widzę, że wraca ci humor. To dobrze. Ostatnie wydarzenia musiały być dla ciebie bardzo ciężkie...

- Tak... To wszystko naprawdę w pewnym momencie mnie przerosło. Mało brakowało... Atina... Wiesz, ta kobieta, która udawała moją żonę, mówiła...

- Nie myśl już o tym. Liczy się to, co zrobisz. Bractwo ci wybaczyło. Wyznam ci w tajemnicy - ściszyła porozumiewawczo głos - że Karloff wydaje się w jakiś szczególny sposób cię lubić. Bardzo spodobało mu się to, że zdołał nawrócić kogoś, kto przyszedł do nas, żeby nas zniszczyć. Jesteś teraz jego ulubionym dzieckiem. Powtarza, że to, co zrobiłeś, stanowi kolejny dowód, że nasi kosmiczni bracia naprawdę kierują naszym losem i nie pozwolą, żeby zbłądził ktoś, kto raz został przez nich wybrany.

- Czuję się wtedy, jakby... - Frank z trudem formułował myśli - Jakby całe moje ciało sprzeciwiało się temu, co chcę zrobić. Głowa zaczęła mnie strasznie boleć, nie mogłem iść, nie mogłem myśleć...

- Jesteś już nasz na zawsze. - Pogładziła go lekko po dłoni. - Płynie w tobie krew kosmicznych braci. To ona nie pozwoliła, żebyś nas zdradził. Przemiany, którą przeszedłeś, nie da się cofnąć.

Zapadło milczenie. Natasza wciąż trzymała go za rękę, co krępowało go w dziwny sposób.

- Wiesz, Frank... - zaczęła głosem cichszym niż poprzednio. - Tutaj, w tym świecie, jesteśmy zobowiązani poświęcać wszystkie siły naszej sprawie. Ale tam, po drugiej stronie, w Nowym Świecie... Tam podobno, tak mówi Karloff, mężczyzna i kobieta też mogą być razem, i to w sposób o wiele pełniejszy i doskonalszy niż tutaj... Więc może... Gdybyś chciał... Karloff mówi, że stanowimy dobraną parę.

Popatrzył na nią pustym wzrokiem. Czuł, że powinien się teraz ucieszyć, w końcu osiągnął to, czego pragnął. Tylko... Może to zresztą efekt zmęczenia.

- Będę zaszczycony - powiedział.

Natasza wyraźnie się ucieszyła. Nawet jakby przysunęła się bliżej.

- Wiesz, już wtedy, gdy pracowaliśmy razem, podobałeś mi się trochę. Tylko... byłem wtedy taka zagubiona... Szukałam swojej drogi. Teraz jest inaczej. Karloff mówi, że na wszystko jest odpowiedni czas. Ja też musiałam dojrzeć...

- I ja się zmieniłem - rzucił wymijająco.

Przysunęła się jeszcze bliżej.

- To już niedługo. Jeszcze dwa, może trzy dni i wszystko się zacznie. Będziemy mogli być wtedy razem. Karloff mówi...

- Pamiętasz - przerwał jej - jak to się wszystko zaczęło? Przyjechaliśmy tu prowadzić śledztwo...

- Tak - zaśmiała się. - Zupełnie jak Sherlock Holmes i doktor Watson. Nie przypuszczaliśmy nawet, że odkryjemy coś zupełnie innego niż to, czego szukamy. Różnymi ścieżkami wzywa nas ku sobie prawda.

- Właśnie... Pamiętasz tę sprawę, która nas tu przywiodła? Tajemnicze znikanie zwłok. Nie odkryliśmy w końcu, o co chodziło.

Natasza z uśmiechem pokiwała głową.

- Nie zdążyś już przejść wszystkich wtajemniczeń, ale w tym momencie nie ma to chyba aż takiego znaczenia, mogę ci więc wszystko powiedzieć. To rodzaj próby, którą należy przejść, jeśli się chce wstąpić do gwardii Karloffa. To ci ludzie w czarnych uniformach, którzy wszędzie się kręcą. W normalnych warunkach też musiałbyś ją przejść, by zostać Wybranym, ale teraz, tuż przed Podróżą, nie było już na to czasu.

- To cały rytuał - powtarzamy w ten sposób drogę, którą przeszli pierwsi Wybrani. Adepti wysyłani są w miasto po trzech lub czterech pod kierownictwem jednego doświadczonego brata. Mają za zadanie przeżyć trzy tygodnie bez pieniędzy i bez żadnej pomocy z naszej strony. Są specjalne lokale, które służą im za schronienie. W tym czasie adepci nawiązują kontakt z kosmicznymi braćmi. Odbywa się to w ten sposób, że kosmiczni bracia wchodzą w ich ciała i przekazują im polecenia. Wskazują wtedy jednego spośród adeptów, który nie jest godny dalszych wtajemniczeń. Podlega on wykluczeniu. Nie można po prostu pozwolić mu odejść, bo poznał już zbyt wiele tajemnic. Kosmiczni bracia odbierają mu więc życie, a jego ciało stanowi pokarm dla pozostałych przez resztę czasu próby. To wydaje się w pierwszej chwili dość obrzydliwe, ale jeśli się pamięta o prawdziwej naturze materii i o tym, jaką nic nieznaczącą iluzją jest świat, w którym żyjemy, wtedy okazuje się, że takie doświadczenie stanowi bardzo ważną naukę o istocie rzeczywistości.

- Chodzi o to, by uświadomić sobie tę prawdę nie teoretycznie, ale praktycznie. Skoro materia jest tylko pustką poprzetykaną drgającymi zwiłkami energii, skoro świat, który widzimy, jest jednym wielkim energetycznym hologramem wyświetlanym w przestrzeni, tak naprawdę to, co robimy z materią, nie ma wielkiego znaczenia. Wszystko jedno, czy jemy jabłko, czy ludzkie ciało. Różnica jest wyłącznie złudzeniem zakodowanym w naszym umyśle. Musimy wyzwolić się od tych złudzeń, jeśli chcemy osiągnąć wolność - one są jak kotwice trzymające nas w tym świecie. Nie wystarczy sobie jednak powiedzieć, że rzeczywistość jest nieistotną iluzją.

- Potrzebne jest doświadczenie, które nas o tym przekona. To doświadczenie musi być drastyczne, bo więzy, które ma przerwać, są bardzo silne. Pierwszy doświadczył tego Karloff i jego towarzysze na marsjańskiej stacji badawczej. Dostał wtedy pierwszego kontaktu. Wkrótce po nim także pozostali nawiązali łączność. Niestety jeden z nich nie potrafił otworzyć swojego umysłu. Próbował powiadomić Ziemię. Wtedy jeden z kosmicznych braci wstąpił w Karloffa i jego rękami zabił zdrającę. Wyjawiał też, co zrobić z jego ciałem. My tylko powtarzamy to doświadczenie.

- I ty... też...?

- No, nie było to przyjemne, przyznaję. Pewne iluzje trzymają się nas bardzo mocno. Tym dobitniejszy to dowód, że należy je odrzucić. - Zamilkła na chwilę. - Czasami, choć rzadko, bracia nie wskazują żadnego z adeptów. Trzeba wtedy użyć kogoś z zewnątrz. Jak wiesz, istnieje wiele nieortodoksyjnych grup, które próbują dostąpić kontaktu, nie posiadając odpowiedniej wiedzy. Zakładają je najczęściej ci biedni idioci, którzy zostali przez nas odrzuceni albo którzy po prostu mają zwidy. Nasz wywiad jest dość dobrze rozeznany w tych grupach. Sprzedajemy im narkotyki, aby móc finansować naszą działalność. Wybieramy najczęściej jednego z nich, żeby ich nastraszyć - te zgłoszenia o znikających nieboszczykach pochodzą właśnie od nich.

- Ale przecież ludzie, którzy zgłaszali te przypadki, twierdzili, że to oni byli mordercami! I że zwłoki znikają momentalnie, w przeciągu kilku minut!

- Byli pod wpływem narkotyków, niektórzy nie wyszli jeszcze z transu. Naprawdę nie trzeba wiele, żeby wmówić komuś takiemu, co się tylko chce.

Natasza zamilkła i spuściła wzrok. Jakby nie pozbyła się do końca tych wszystkich iluzji, o których tyle mówiła.

- Mam nadzieję, że nie jesteś zbytnio zgorzony?

Nie, nie był. Tak naprawdę było mu chyba wszystko jedno. Pokręcił głową.

- Nie jestem. Nie należymy już przecież do tego świata, prawda? Płynię w nas krew istot z innych wymiarów. Nie obowiązują nas prawa tego gatunku.

ROZDZIAŁ XXVII

- Nie obawiaj się, to tylko sen. Śnię ci się, tak jak obiecałem.

Stojąca przed Frankiem postać nie miała na razie twarzy. Starał się ze wszystkich sił wyteńczyć wzrok, żeby rozproszyc mgłę spowijającą całą jej sylwetkę, ale jego wysiłki nie przynosiły rezultatów.

- Jestem Mister Ng, ojciec Atiny.

A tak, rzeczywiście... Teraz dopiero rysy nieznanego wyostrzyły się, ukazując twarz, którą znał. Znowu coś mu się śniło. Miał już tego dosyć.

- To nie jest zwyczajny sen, Frank. Nie jestem wytworem twojego umysłu, nie jestem obrazem z przeszłości, który nie wiadomo dlaczego właśnie teraz wyłonił się z głębi twojej pamięci. To ja, naprawdę. Przyszedłem do ciebie.

Stali na dachu budynku Centrum. Gabinet Karloffa wyglądał tak samo jak zwykle, tyle tylko, że nie było nad nim szklanego dachu.

- Szkoda że dopiero teraz... - mruknął Frank.

- Nie chciałeś mnie do siebie wpuścić, Frank. Próbowałem wiele razy, ale twój umysł pozostawał przede mną zamknięty. Ta sekta miała na ciebie większy wpływ, niż sądziłem.

Twarze otulał im delikatny, ciepły wiatr. Strącał papiery z biurka Karloffa i leniwie zmiatał je poza krawędź dachu. Widać było, jak lecą w dół, wykonując powolne, majestatyczne pętle i obroty.

- Niczego od ciebie nie chcę, nie chcę, żebyś mi się śnił. Jutro wyruszam w Wielką Podróż, a ty rozwiejesz się jak dym razem z tym wszystkim. - Frank ruchem głowy wskazał widoczny w dole świat.

- Jesteś pewien, że tego chcesz, Frank? Jesteś pewien, że chcesz, żeby to wszystko zniknęło? Wszystkie budynki, drzewa, ludzie i zwierzęta? To cały świat, Frank, wszystko co znasz. Naprawdę chcesz, żeby on zniknął?

- Tam - wyciągnął rękę w kierunku leżącego w dole miasta - jest tylko cierpienie, ból i śmierć. Szukałem jednego, jedyne powodu, który by usprawiedliwił istnienie tego świata - i go nie znalazłem. Niech ginie, ja nie będę po nim płakał.

- Więc po co mnie wezwałeś? Przyszedłem do ciebie, bo tego chciałeś. Po raz pierwszy od wielu tygodni twój umysł wpuścił mnie do środka. Może nie masz aż tak niezachwianej pewności, jak ci się wydaje?

Na horyzoncie błysnęła piorun. Niebo daleko na północy zasnuły ciemne chmury.

- Tani teatralny efekt - mruknął Frank. - Mógłby się pan bardziej postarać.

- To nie ja. Sam to tworzysz w swoim umyśle. Symbolizm duszy bywa kiczowaty.

Zmieszał się odrobinę. Niebo momentalnie się wypogodziło.

- Podejdz tu, Frank.

Po chwili stali razem na krawędzi dachu. Pod nimi, daleko w dole rozpościerało się Eurocity. Mister Ng omiółł je wyciągniętą ręką.

- Spójrz tam, popatrz na tych ludzi. Myślisz, że oni myślą jak ty? Myślisz, że chcieliby, żeby ich świat zniknął? A razem z nim i oni?

Frank spojrział w dół. Daleko na dnie głębokich wąwozów ulic dostrzegł mikroskopijne sylwetki. Były bardzo wyraźne mimo ogromnej odległości, jaka go od nich dzieliła. Wydawało mu się nawet, że potrafi rozróżnić twarze. Widział dwie młode dziewczyny śmiejące się podczas rozmowy. Widział spieszącego gdzieś mężczyznę w średnim wieku z teczką pod pachą - wyglądał na nauczyciela akademickiego zaaferowanego rozwiązywaniem w trakcie marszu jakiegoś skomplikowanego problemu. Z boku dostrzegł trzech młodych mężczyzn w garniturach i pod krawatami, pijących piwo z puszek na rogu ulicy (co było przecież zabronione). Jeden z nich coś opowiadał, a dwaj pozostali rechotali w najlepsze, jak tylko młodzi mężczyźni rechotać potrafią. Obok nich starsza kobieta siedziała na ławce i wystawiała twarz do słońca.

- Spójrz na nich, Frank. Wyglądają na zadowolonych, prawda? To cierpienie, o którym mówisz, przytrafia się także i im. Myślisz jednak, że chcieliby nie cierpieć, gdyby ceną za to było nieistnienie? Dlaczego chcesz decydować za nich, czy ich życie jest, czy nie jest pozbawione sensu? Każdy z nich ma jakiś powód, by żyć. To może być ukochana osoba, dzieci, interesująca praca, jakaś pasja. Każdy z nich ma matkę, ojca, siostry, braci, przyjaciół. Kiedy umrze, będzie po nim płakało wiele osób. A ty chcesz, żeby umarli wszyscy. Nie przesadzasz trochę?

Nagle ze światem widzianym ze szczytu wieżowca zaczęło się dziać coś dziwnego. Podłoga gabinetu Karloffa stała się półprzezroczysta i jakby miękka. Stopy Franka zaczęły się zapadać, jakby wpadł w bagno. O nie!, jęknął w duszy, wiedząc, co się za chwilę stanie. Znowu śniło mu się to samo, co kiedyś. Materia zaczęła się rozrzedzać, z wolna stawiając coraz mniejszy opór. Zaczął w niej tonąć jak w wodzie. Gdzieś w górze widział jeszcze sylwetkę Pana Ng, choć coraz bardziej rozmytą i zamazaną. Zapadał się coraz głębiej i głębiej. Jego ciało, tak jak poprzednim razem, puchło i rozszerzało się, było teraz przezroczyste jak wszystko wokół. W pustce, z której był zrobiony, dało się dostrzec jeszcze rzadkie jak rodzyнки w cieście drgające atomy, wkrótce jednak i one stały się wielkie i zamazane. Wszystko działo się znacznie szybciej niż za pierwszym razem. Już po chwili ciało Franka było wielkie jak galaktyka, a pojedyncze elektrony przepływały przez nie majestatycznie jak komety przez przestrzeń międzygwiazdną. Jeszcze moment i rozplynie się zupełnie, zniknie raz na zawsze.

Wtedy jednak, tak samo jak za pierwszym razem, dostrzegł w otaczającej go i przenikającej wskroś pustce coś. To coś było jak lina rzucona do studni, jak trzymana ostatkiem sił kępka trawy chroniąca przed zsunieniem się w przepaść. Frank uchwycił się tego czegoś z całych sił. Wczepił w to wszystkie myśli, uczucia i siły, jak tonący człowiek, któremu podarowano jeszcze jeden haust powietrza. I znowu, jak poprzednim razem, to coś go uratowało, wyciągnęło za włosy z dna przepaści. Jego ciało zaczęło do niego wracać,

stawalo się coraz bardziej zwarte i godne zaufania, przestał się zapadać, materia znowu stawiała solidny opór i już po chwili wszystko wróciło do normy.

Znowu stał na dachu Centrum, znowu patrzył na rozpościerające się u jego stóp Eurocity. Pan Ng gdzieś zniknął, ale nie to było teraz najważniejsze. Najważniejsze było, żeby przypomnieć sobie, co uratowało go po raz drugi od rozptynięcia się w kosmicznej pustce. Musiał, po prostu musiał się tego dowiedzieć. Stał tak, czując, jak włosy rozwiewa mu nieistniejący, przyśniony wiatr i wiedział, że musi to sobie jakoś uświadomić, że jest to najważniejsza w tej chwili rzecz w jego życiu, że od drobnego faktu, czy zdoła tego dokonać, zależy wiele, może nawet wszystko. I przypomniał to sobie.

Nagle, w przeblysku zrozumienia, dostrzegł odpowiedź. Nie mógł wprost wyjść ze zdumienia, że tyle czasu zajęło mu dojście do tej prawdy. Atina.

ROZDZIAŁ XXVIII

Atina. Obudził się z tym imieniem w głowie. Otworzył szeroko oczy. Teraz wiedział już wszystko. Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jego umysł wypełniło jasne, spokojne przekonanie. Mgły opadły.

Usiadł gwałtownie na łóżku. Już od dawna nie widział wszystkiego tak wyraźnie. Atina. Musiał ją uratować.

Mimo że sytuacja nie była zbyt wesoła, już dawno nie czuł się tak radośnie. Zadanie, które sobie postawił, wydawało się beznadziejne. Musiał sam, w pojedynkę powstrzymać wielką, rozpędzoną, zmierzającą do samounicestwienia machinę sekty. Dziś, właśnie to sobie uświadomił, dziś przypadał dzień Wielkiej Podróży.

Dlaczego świat zawsze trzeba ratować w ostatniej chwili, a nie na przykład dzień albo tydzień przed zagładą? Przypomniały mu się dziesiątki filmów opartych na tym motywie. Bomba zegarowa odlicza czas do wybuchu, a obok niej bohater ratujący świat. Musi przeciąć jeden z kabelek – czerwony albo niebieski. Sekundy nieubłaganie mijają, pięć, cztery, trzy, dwa...

Decyzja zapada w ostatniej chwili. Jest! Świat uratowany! Na wyświetlaczu zatrzymana w pół drogi do zniszczenia jarzy się cyfra jeden. Zawsze, kiedy to oglądał, miał wrażenie, że tak naprawdę koniec powinien wyglądać zupełnie inaczej. Że o wiele naturalniej, prawdziwiej byłoby, gdyby bohater się pomylił albo gdyby sparaliżowany strachem nie podjął żadnej decyzji. I że gdyby to jego. Franka, postawić w takiej sytuacji, to na pewno, na sto procent tak by się wszystko skończyło. A potem bum! Świat ginie. I nie da się nakręcić drugiej części.

Przez jego umysł, pracujący na najwyższych obrotach, sekunda za sekundą przewijały się dziesiątki pomysłów. Z nich wszystkich tylko jeden wydawał się rokować jakiegokolwiek nadzieje. Biorąc pod uwagę skromność, znikomość, a w zasadzie nieistnienie środków, jakimi dysponował, tylko jeden plan miał szansę powodzenia: musiał powstrzymać samego Karloffa.

Gdy chcesz zabić smoka, obetnij mu głowę – ta myśl objęła się Frankowi po czasie jak niechciana melodia usłyszana przy goleniu. Maszerował korytarzem Centrum, właściwie nie wiedząc za bardzo, co robić. Musiał się dostać na górę. Tylko jak? Wsiąść do windy i pojechać? Najprostsze rozwiązania są często najlepsze, niestety zazwyczaj dość trudno się na nie zdecydować. Szedł więc coraz wolniej i wolniej i nie mógł się zmusić, by wykonać ten pierwszy krok.

Z każdą chwilą zbliżał się do windy, przed którą stał ochroniarz z gwardii Karloffa. Już za chwilę będzie mógł przystanąć i powiedzieć: „Frank James do pana Karloffa”. I niech się dzieje co chce. Wstrzymał oddech. Nogi nienaturalnie mu zeszywniały. Teraz.

I nagle wydarzyła się dziwna rzecz – nie zatrzymał się. Poszedł dalej.

Szlag by to trafił! Co się stało? Przestraszył się? Nie, po prostu... Jego ciało zadecydowało za niego.

Nie mógł zwyczajnie zawrócić i podejść raz jeszcze, wyglądałoby to co najmniej dziwnie. Musiał grać swoją rolę do końca. Szedł więc dalej jakby nigdy nic tak samo wolno jak przedtem, tyle tylko, że teraz miał wrażenie, jakby wszyscy go obserwowali.

Przystanął dopiero za rogiem. Ktoś nadchodził z naprzeciwka. Udał, że szuka czegoś bardzo intensywnie w kieszeniach. Musiał teraz chwilę odczekać. Podeszedł do okna. Po prostu stoi sobie i patrzy, nic nadzwyczajnego.

Nad Euro powoli zapadał zmierzch. Dochodziła trzecia lub czwarta, ale o tej porze roku dzień był krótki. Frank starał się uspokoić myśli, skupiając uwagę na widocznym w dole mieście. Przypatrywał się budynkom, ulicom, jeżdżącym po nich kropkom samochodów. W pewnym momencie wydało mu się nawet, że dostrzega ludzi. Przypomniał mu się jego sen. Dwie dziewczyny spacerujące ulicą, rechoczący mężczyźni w garniturach, starsza kobieta... Wszyscy mają matki, ojców, dzieci...

Odwrócił się i ruszył w kierunku windy.

– Frank James do pana Karloffa – rzucił pewnym głosem w kierunku ochroniarza. Poczuł na twarzy linię światła skanującą źrenice.

– Frank James do pana Karloffa – powiedział ochroniarz w przestrzeń przed sobą. Po chwili w jego uchu zabrzęczała odpowiedź.

– Proszę.

Jadąc w górę, starał się nie myśleć. Nie do końca mu się to udawało. Już prawie u celu dopadła go gwałtowna chęć ucieczki. Wcisnąć któryś z przycisków, zatrzymać windę i zjechać z powrotem na dół! A potem wybiec głównym wyjściem, uciec, wyjechać z Euro gdzieś, gdzie nie osiągną go fale zniszczenia. Może zresztą wcale im się nie uda? Może to tylko rojenia szaleńca, a cały ten akcelerator i bomby to zabawki wariata? Wtedy właśnie usłyszał syk rozsuwających się drzwi.

– A, Frank! – Karloff wyszedł mu na spotkanie z rozpostartymi ramionami. – Cieszę się, że cię widzę! Miałem nawet po ciebie postać. Pomyślałem sobie, że w czasie Wielkiej Podróży powinienes siedzieć obok mnie. Razem z Nataszą, oczywiście – dodał z porozumiewawczym mrugnięciem. – W końcu uratowałeś nas wszystkich przed poważnymi kłopotami. Co ty na to?

– Będę zaszczycony – wydukał Frank. Karloff wciąż robił na nim ogromne wrażenie. Trudno było wydostać się tak po prostu spod jego przemożnego wpływu.

– Świetnie! – Karloff objął go w ramionach i poprowadził w kierunku biurka. – Co prawda Rada będzie kręcić nosem, ale kogo to obchodzi? Kim w końcu byłiby beze mnie? Usiądziesz po mojej lewej, po prawej siądzie Kaminski. Jestem mu to winny.

Karloff tryskał wprost dobrym humorem. Trudno było się zresztą dziwić – dziś miało się spełnić największe marzenie jego życia, na które pracował przez wiele lat. I wydawało się, że nikt ani nic nie stanie mu już na przeszkodzie.

– Usiądź, Frank. – Wskazał na fotel stojącym przy wielkim, panoramicznym oknie. Sam usiadł za biurkiem. – W zasadzie nie mam już nic do roboty. Wszystko przygotowane. Trwają jakieś ostatnie prace, ale przy nich mogą się obejść beze mnie. Dlatego cieszę się, że

przyszedłeś. Wszyscy gdzieś latają, coś robią, a ja siedzę tu sam. Jak generał przed bitwą. – Zaśmiał się wesoło.

Frankowi zrobiło się nagle głupio. Jak by na to nie patrzeć, będzie musiał sprawić temu człowiekowi zawód. Zniszczyć dzieło jego życia. To nic, że tym dziełem był zamiar wysadzenia Ziemi w powietrze – tak czy inaczej wyglądało to trochę nieuprzejmie.

Karloff rozsiadł się wygodnie w fotelu, nogi położył na biurku, a ręce założył za głowę. Całą postawą wyrażał pewność siebie i zadowolenie.

Frank siedział jak sparaliżowany. Co miał teraz zrobić? Wstać i powiedzieć: „Słuchaj, stary, źle czynisz! Może byś jednak nie niszczył świata?” A może po prostu go zabić? Przyszedł tu z silnym zamiarem powstrzymania tego człowieka, a teraz ma go na wyciągnięcie ręki i nie wie, jak tego dokonać.

– Wiesz, dziwna sprawa – zaczął nagle Karloff. – Trochę mi żal, że to wszystko się już kończy. To głupie, bo w końcu tam, po drugiej stronie, czeka nas rzeczywistość sto razy lepsza i pełniejsza od tej. A jednak trochę mi żal! Bractwo, nasze Centrum, wszystko to, co budowałem przez tyle lat, przestanie przecież istnieć. Tam nie będzie już potrzebne.

Zamyślił się, patrząc w okno. Po chwili jednak uśmiechnął się.

– To taki żal pisklęcia wyfruwającego z gniazda. Trzeba porzucić ciepły i dobrze znany dom, żeby wylecieć na szeroki świat. Tak musiał czuć się Kolumb tuż przed wypłynięciem.

– Może... – zaczął Frank niepewnie. – Może powinniśmy jeszcze trochę poczekać? Więcej ludzi mogłoby poznać prawdę...

– Nie. – Karloff pokręcił głową. – Dostałem wyraźne instrukcje. Początkowo planowaliśmy Podróż na wiosnę lub lato, ale nasi bracia skontaktowali się ze mną i przekazali mi, że powinniśmy wyruszyć jak najszybciej. Chyba stało się to mniej więcej w tym okresie, kiedy do nas dołączyłeś. To dlatego wszystko tak przyspieszyło.

Zapadło milczenie. Karloff ciągle wpatrywał się w okno.

– Ale... – spróbował jeszcze raz Frank. – Czy nie szkoda panu trochę tego świata? W sumie nie jest przecież aż taki zły... są ludzie... oni w większości są chyba zadowoleni... mają rodziny, matki, ojców... wiele osób będzie po nich płakać... a tu trzeba zniszczyć cały świat... czy to nie lekka przesada?

Karloff popatrzył na niego uważnie, marszcząc lekko brwi. Franka aż ciarki przeszły.

– Widzę, że luki w twojej edukacji dają o sobie znać. Powinniśmy byli poddać cię wszystkim wtajemniczeniom. Szkoda, że zabrakło nam czasu.

Oparł ręce na biurku.

– Musimy zniszczyć to, co materialne, aby dostąpić nowej formy – powiedział z naciskiem. – Stary człowiek musi zginąć, żeby mógł narodzić się nowy.

– Ale czy nie dałoby się tego... załatwić jakoś inaczej? – pocąc się ze strachu, wydukał Frank. – Zamiast zabijać wszystkich?

Karloff wstał tak gwałtownie, że Frank skulił się w fotelu.

– Bracie James! Przywołuję cię do porządku! Poddajesz w wątpliwość wszystko, w co wierzymy! Czy nie dostąpiłeś wtajemniczeń? Czy nie widziałeś na własne oczy naszych braci? Czy nie płynię w tobie ich krew?!

Aaaaa... Znowu ten cholerny ból głowy! Frank aż zgiął się w pół. Karloff wbił w niego karcący wzrok.

- Chcesz mi coś powiedzieć, Frank?

Frank z trudem łapał oddech. Czuł, jakby ciało odmawiało mu stopniowo posłuszeństwa, jakby zamierzało go zdradzić i przejść na stronę przeciwnika. Ale już nie mógł, nie chciał się wycofać.

- Nie pozwolę ci na to, słyszysz?! - wydusił wreszcie zza zaciśniętych bólem szczęk. - Nie pozwolę!!!

Karloff milczał. Jego twarz ściągnęła się w grymas wyrażający rozczarowanie, który po chwili ustąpił miejsca gniewowi.

- Zawiodłem się na tobie. Bardzo się zawiodłem. A lubiłem cię, Frank. Nie wiem dlaczego, ale cię lubiłem. Kolejne, pożegnalne rozczarowanie od tego świata. Ale już ostatnie.

Powolnym ruchem wyciągnął rękę w kierunku przycisku wzywającego straż. Zawahał się jednak i po chwili cofnął dłoń. Widocznie postanowił raz jeszcze wypróbować na Franku swoją władzę.

- Franku Jamesie! Rozkazuję ci w imieniu naszych kosmicznych braci! Rozkazuję w imieniu ich krwi, która w tobie płynie! Porzuć błędy, które mają cię w swym władaniu! Wróć do nas!

Frankowi świat zawirował przed oczyma. Potworny ból, który rozsadał mu głowę, zaczął promieniować na całe ciało. Czuł, jakby krew zaczęła mu wrzeć i rozdymać od środka żyły. Osunął się bezwładnie na podłogę. Ostatkiem sił zaczął pełznąć po dywanie, jakby chciał uciec, wyzwolić się spod działania tej przemożnej siły. Byle dalej od Karloffa, byle dalej od jego głosu.

Karloff wyszedł zza biurka i wyciągnął przed siebie ręce.

- Czujesz ten ból, Franku Jamesie? Czujesz go? To odzywa się w tobie głos twoich kosmicznych braci. Głos, którym wzgardziłeś! Kiedy obdarzali cię swoją krwią, zostawili w twoim mózgu coś, co pozwala im stale się z tobą kontaktować. Nie pamiętasz tego? Nie pamiętasz, jak otwierali ci czaszkę? Nie jesteś w stanie im się przeciwstawić. Prędeż umrzesz, niż zdołasz zrobić cokolwiek wbrew nim. Poddaj się!

- Gównu! - wycharczał w kierunku jego prawego buta Frank.

- A więc dobrze. Giń!

- Aaaaaa!!!! - krzyknął z głębi trzewi głosem, który nie należał już chyba do niego. Pełznąć jak robak po podłodze, doczołgał się do szklanej tafli okna. Zesztywniał i stracił czucie. Ręce i nogi miał jak kawałki drewna, które musiał za sobą ciągnąć. Podpierając się na łokciach, zdołał usiąść i oprzeć się plecami o szybę.

Nagle z jego rękami zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Na prawej otworzył się jakby mały, ropiejący wrzód, z którego po chwili wypłynęła jaskrawożółta, musująca piana. Patrzył na to jak zahipnotyzowany. Piana zastygała, tworząc wielki, coraz większy bąbel. Było to wszystko nierealne, tak nierealne, że miał wrażenie, jakby ręka nie należała już do niego. Z ciekawością przeniósł wzrok na drugą. Na lewej - jakby na zasadzie stopniowania atrakcji - otworzyła się podłużna, ciągnąca się wzdłuż ramienia szpara. Nie leciała z niej krew, nie - było przez nią widać ścięgna i pulsujące tętnice, a wszystko czerwone i jakby lekko już wyschnięte.

- Słyszysz teraz? - gdzieś z oddali doleciały słowa Karloffa. - Słyszysz głos swoich braci? Słyszysz, co do ciebie mówią? Masz ostatnią szansę, poddaj się, poddaj się temu głosowi.

Frank podniósł wzrok. Znad ramion Karloffa wpatrywała się w niego duża, zielona twarz z ogromnymi migdałowymi oczyma i wąskimi ustami.

I wtedy właśnie wydarzyło się coś, co przytrafia nam się czasami, a czego potem zwykle nie jesteśmy w stanie wytłumaczyć. O naszym przyszłym losie decyduje wtedy fakt pozornie nieistotny, a czasem nawet głupi. Jakieś skojarzenie, jakaś myśl, która pojawia się nie wiadomo skąd dokładnie w tym momencie, co trzeba, jakieś słowo albo obraz. Ten drobiazg popycha nas do działania, każe wybrać tę, a nie inną drogę, mimo iż później dochodzimy do wniosku, że z racjonalnego punktu widzenia wszystko to nie miało absolutnie żadnego sensu. I tylko dziwnym się wydaje, że decyzja, którą podjęliśmy na podstawie tak irracjonalnych, żeby nie powiedzieć kretyńskich przesłanek, była jak najbardziej słuszna. Co więcej, była najszuszniejsza z możliwych. O co chodziło w przypadku Franka? Wydało mu się mianowicie, że poły marynarki Karloffa-nie-Karloffa razem z jego paskiem od spodni układają się w kształt litery „A”. „A” jak „Atina”.

Ta jedna rzecz wystarczyła, by wyciągnąć go za uszy z bagna. Nagle, jakby wstąpiła w niego jakaś niewidzialna moc, zaczął walić prawą ręką w szybę, o którą opierał się plecami. Jego ramię, sztywne i zdrętwiałe jak kawałek drewna, uderzało w nią raz za razem jak cep, całą tylną powierzchnią. Walił nim z determinacją, pasją, wkładając w to wszystkie siły i angażując całe ciało.

Ból, który już po chwili poczuł, otrzeźwił go i pozwolił na moment zapomnieć o tym drugim, straszniejszym, który wciąż jeszcze rozsądzał mu czaszkę. Spojrzał na prawy nadgarstek - świecący wrzód zniknął. Poruszył palcami. Drętwota i brak czucia ustępowały.

Zmienił teraz taktykę. Zgiął rękę i zamiast w szybę, zaczął walić pięścią w udo. Ból w nodze oprzytomnił go jeszcze bardziej. Ten ból, dobry, znany, fizyczny, zaczął powoli wygrywać z tym dziwnym, promieniującym z głowy na całe ciało. Frank spojrzął na stojącą przed nim postać. Wydawała się zaskoczona jego zachowaniem. Stała bez ruchu, wpatrując się w niego wielkimi, migdałowymi oczami.

- Masz, skurwysynu! - wysyczał Frank i zebrawszy wszystkie siły, rzucił się w przód, wyciągając przed siebie prawą rękę. Wpił się palcami w ubranie przemienionego Karloffa, zbijając go z impetem z nóg. Upadli na podłogę. Podciągając się na ręce, chwytając ją coraz wyżej i wyżej za ubranie przeciwnika, zdołał przybliżyć do jego twarzy swoją. Karloff, ciągle zaskoczony, starał się odpychać rękami i nogami, lecz nic tym nie wskórał. Frank spojrzął prosto w jego migdałowe oczy, po czym, niewiele myśląc, wgrzyźł się w tę twarz. To, co poczuł, zaskoczyło go tak bardzo, że na chwilę znieruchomiał. Karloff wykorzystał moment, by się odwrócić na bok i wyczołgać częściowo spod Franka. Jego twarz, twarz smakująca gumą i plastikiem, została Frankowi w zębach.

- Ty złodzieju!... - wymamrotał bez sensu Frank, po czym wypluł gumową maskę. Ból, który odczuwał do tej pory, ustąpił całkowicie. Tymczasem Karloff zdołała już wstać i chwiejąc się na nogach, ruszył w stronę biurka.

- Karloff! - wrzasnął Frank i chwyciwszy odruchowo leżącą przed nim maskę, zaczął iść na czworakach w jego stronę. Karloff obejrzał się, krzywiąc twarz ze strachu. Wyciągnął rękę w kierunku przycisku przywołującego straż.

Frank zdołał już wstać. Machając rękami, by złapać zachwianą pędem równowagę, biegł w kierunku przeciwnika. Karloff odwrócił się, próbując dosięgnąć przycisku, lecz w tej samej chwili ciało Franka wpadło na niego z impetem. Obaj polecili do przodu, przewalając się przez biurko i przewracając stojący po jego drugiej stronie fotel. Frank natychmiast poderwał się na nogi. Przez chwilę zamroczony upadkiem nie wiedział i nie widział, co się dzieje. Instynktownie wyczuł jakiś ruch i wyrzucił do przodu pięść. Nie trafił za dobrze, ale to wystarczyło – usłyszał odgłos padającego ciała. Kontury obrazu zaczęły się powoli wyodrębiać. Dopiero teraz uświadomił sobie, że ciągle ma w ręku gumową maskę.

- To oszustwo! To wszystko oszustwo!!! - zaczął wrzeszczeć bez opamiętania, kopiąc beładnie leżące przed nim ciało.

- Nie! Nie! - Karloff zasłaniał głowę rękami. - Ja ich widziałem! Naprawdę ich widziałem!

Frank zdołał się nieco opanować. Chwytał leżące go i podniósł go ku sobie.

- A teraz pójdziesz ze mną i grzecznie opowiesz o wszystkim pozostałym „Wybranym”...

- Bracie James!... - Karloff chciał jeszcze raz spróbować swoich sztuczek, ale szturchnięty kułakiem w bok natychmiast umilkł.

W tym samym momencie dał się słyszeć syk drzwi windy. Karloff i Frank spojrzeli jednocześnie w ich kierunku. Ktoś szedł po schodach do gabinetu.

- Bracie Karloff... - głos Nataszy zamarł w połowie zdania.

- Natasza!!! - wrzasnęła Karloff.

Przez moment patrzyli na siebie w zupełnym bezruchu. Natasza oprzytomniała jako pierwsza.

- Straż! - krzyknęła w przestrzeń. W jej uchu zabręczała malutka słuchawka.

ROZDZIAŁ XXIX

- Natasza, posłuchaj... - Frank próbował przemówić byłej koleżance do rozsądku.
- Puść go!
 - Natasza, to oszust! Patrz! - Wyciągnął w jej stronę gumową maskę. W odpowiedzi dostrzegł wycelowaną w siebie lufę pistoletu.
 - Zabij go! Zabij! - darł się jak opętany Karloff. - To zdrajca!
 - Spokojnie! - Frank chwycił go jeszcze mocniej. - Nie zapominaj, że jesteś na linii ognia. Od strony schodów dobiegł tupot szybkich kroków.
 - Uważajcie, ma Karloffa. I może mieć broń - rzuciła Natasza do wbiegających mężczyzn w czarnych uniformach.
 - Nie ma! Nie ma żadnej broni! Zabijcie go! - wrzeszczał histerycznie Karloff. W kierunku Franka uniosły się kolejne lufy.
 - Przestań się drzeć! - wysyczał Frank i z całej siły ścisnął jeńca w pasie. Karloff aż sapnął, ale umilkł.
 - Puść go, Frank - powiedziała spokojnie Natasza. - Nie masz broni, a my mamy przewagę liczebną. Co chcesz zrobić?
 - No właśnie, pomyślał, co, u diabła, chcę teraz zrobić?
 - Natasza, ciągle trzymając go na muszce, zaczęła powoli podchodzić.
 - Wiesz, że mogłabym cię teraz zabić. Trafię w twoją głowę bez problemu. Karloffowi nie spadnie nawet włos - wycedziła.
 - Frank zdawał sobie sprawę, że nie blefowała. Pamiętał, jak strzela. Z tej odległości jego głowa miała wymiary stodoły.
 - Nie zrobisz tego. Za duże ryzyko. Ręka ci zadrży i będzie po twoim proroku - odparł, choć wcale nie był tego taki pewien.
 - Natasza, a razem z nią pozostali strażnicy, coraz bardziej się zbliżali. Karloffowi pot oblał czoło. Frank oddałby teraz wszystko za jakikolwiek pomysł wyjścia z patowej sytuacji.
 - Aaaaaa!!!! - wrzasnął nagle ze wszystkich sił i ciągnąc za sobą Karloffa, rzucił się w kierunku okna. Tak! Rozbije szybę i skoczy razem z Karloffem w przepaść. Zginie, ale zginie też Karloff. Może bez niego nie uda im się zrealizować planu.
 - Głuche uderzenie i ból w ramieniu położyły kres tym zamierzeniom. To była naprawdę solidna szyba.
 - Żałosne - skomentowała Natasza. - Jeszcze jakieś pomysły?
 - Czy miał jeszcze jakieś pomysły? Nie. Nie miał już żadnych pomysłów. Chociaż...
 - Trzymając mocno Karloffa, zaczął się wycofywać wzdłuż okna na tyły gabinetu.

- Frank, co ty kombinujesz? - spytała zaniepokojona Natasza.

- Nic. Nie przeszkadzajcie sobie. Mam tu jeszcze jedną rzecz do załatwienia.

Pod oknem z tyłu gabinetu, na specjalnym stojaku umieszczona była pamiątkowa szabla, jaką wręcza się astronautom, którzy odchodzą ze służby.

Natasza błyskawicznie zrozumiała, o co chodzi.

- Ani mi się waź! - krzyknęła i rzuciła się w ich stronę.

Nie miał wyboru, musiał zaryzykować. Puścił Karloffa i pędem ruszył w kierunku szabli. Natasza natychmiast to wykorzystała. Gdy tylko Frank oddalił się od Karloffa na bezpieczną odległość, zaczęła strzelać. Kule świsnęły mu koło uszu. Wyciągnął rękę w kierunku broni, ale nie zdążył jej chwycić. Straszliwy huk rozerwał mu prawie bębenki.

Spojrzał przed siebie. Wielka panoramiczna szyba pękała właśnie jakby w zwolnionym tempie. Potworny dźwięk przypominający zwiokrotniony echem wybuch rozdarł powietrze. Szyba wprost eksplodowała. Ogromne kawałki szkła, wypchane różnicą ciśnień, wylatywały w przestrzeń za oknem, podczas gdy inne, ściągane w dół własnym ciężarem, spadały na podłogę gabinetu. Frank zdołał tylko zakryć głowę rękami i rzucić się na ziemię. Poczul jeszcze, jak jakaś ogromna tafla wali mu się na plecy, a potem stracił przytomność.

Obudziło go zimno. Podniósł głowę i rozejrzał się - wkoło leżało pełno szkła, a jedna ze ścian przeskolonej kopuły gabinetu Karloffa przestała istnieć. Czuł na twarzy zimny wiatr. Gdzieś w oddali dostrzegł wybuchające na nocnym niebie sztuczne ognie. Po chwili jeszcze jedno i jeszcze. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że jest Sylwester.

Za parę godzin Nowy Rok, pomyślał. Miał naprawdę sporo szczęścia, że szyba spadła na niego płasko. Był trochę poraniony, ale cały.

Wstał niepewnie i zaczął się rozglądać po pobojowisku. Oświetlenie gabinetu Karloffa mrugało, ale poza tym spełniało swoją rolę. Z tyłu siedzieli lub leżeli gwardziści Karloffa. Niektórzy jęczeli, starając się opatrzyć rany, inni tylko mrugali oczami w szoku. Nie mógł nigdzie dostrzec Nataszy. Może któraś ze spadających tafli wypchnęła ją na zewnątrz?

Było mu zimno. Oplatając się własnymi ramionami, ruszył w kierunku wyjścia. Nagle na podłodze dostrzegł jeszcze jedno ciało. Podeszedł bliżej. Karloff. Jeden ze spadających fragmentów odciął mu głowę. Równy, jak żyletką, pomyślał bezwiednie Frank. Nieopodal uchem do góry leżała głowa. Tracił ją butem. Obróciła się wokół własnej osi, ukazując twarz. Nie wyrażała nic specjalnego. Naprawdę.

Wielka Sala Odlotu Światowego Centrum Medytacji Kosmicznej zapelniona była do ostatniego miejsca. Brakowało już w zasadzie tylko jednego człowieka - tego, który osobiście miał rozpocząć Wielką Podróż. Wśród zebranych panowało skupienie, ale i podniecenie. Brat Kaminski nerwowo wydawał ostatnie polecenia.

Mistrz ceremonii jednakże nie nadchodził. Oczekiwanie przedłużało się, lecz nikt nie śmiał pomyśleć o okazywaniu zniecierpliwienia czy zaniepokojenia. Wzmagalo to tylko napięcie i poczucie niezwykłości chwili. Co i raz wśród zebranych rozlegały się gwałtowne okrzyki, znak, że któreś z siostr lub braci dostąpiło kontaktu.

Wszyscy Wybrani założyli na tę wyjątkową okazję białe szaty - był to oczywiście tylko tylko nic nie znaczący symbol, bowiem w podróż miały się udać wyłącznie dusze zamienione w wiązki fal, lecz trzeba przyznać, że wyglądało to bardzo ładnie i stanowiło miły akcent podkreślający odświętność sytuacji. Fotele Rady, ustawione w półokręgu w najniższym

rzędzie amfiteatralnie zbudowanej sali, również były w większości wypełnione. Puste stały jeszcze tylko cztery miejsca. Jedno należało do kręcącego się tu i ówdzie Kaminskiego, kolejne, środkowe, zarezerwowano dla Karloffa, dwa pozostałe czekały na jakichś specjalnych gości, z których jednym, jak szeptano, miała być siostra Natasza.

Brat Kaminski nerwowo spoglądał na zegarek. Wedle planu ceremonia Odlotu miała się rozpocząć dobre pół godziny wcześniej. Po przemówieniach najznamienitszych braci i samego Karloffa, po zbiorowym kontakcie, w czasie którego kosmiczni bracia po raz ostatni mieli objawić Wybranym swą wolę, powinno rozpocząć się odliczanie – dokładnie o północy, czyli wraz z początkiem Nowego Roku. To oczywiście kolejny nic nie znaczący symbol, który jednakowoż w pewien sposób podkreśli początek Nowego Życia, jakie już wkrótce wieść będą Wybrani.

Oczy wszystkich zwrócone były w kierunku wejścia. Tam, jak wszyscy wiedzieli, miał się pojawić Karloff, aby po przejściu okrągłej przestrzeni pośrodku sali zająć miejsce w fotelu Rady i rozpocząć ceremonię. Kiedy człowiek zbyt długo wpatruje się intensywnie w jedno miejsce, zaczynają mu się czasami zdziwiać rzeczy, których tam nie ma, jakieś sylwetki albo dziwne wzory. Mówi się nawet, że można w ten sposób zobaczyć diabła.

Właśnie takie wrażenie odniosła większość zebranych, kiedy po długim jak bezsenna noc oczekiwaniu zobaczyli wreszcie zmierzającą od strony wejścia postać. Osoba ta wyglądała jakoś dziwnie – w pierwszej chwili wszyscy mrużyli oczy, jakby sądzili, że ten wygląd to tylko złudzenie wywołane odległością i zbyt jaskrawym oświetleniem. W miarę jednak, jak nieznajomy się zbliżał, zebranych zaczęło ogarniać coraz większe zdziwienie.

Nie chodziło nawet o twarz, o wąskie usta i migdałowe oczy, bo w zasadzie oczekiwano przecież, że kosmiczni bracia prędzej czy później pojawią się na ceremonii – może jeszcze nie teraz, ale w każdym razie obecność jednego z nich nikogo by nie zdziwiła. Chodziło o to, że twarz kosmity była jakby pomięta i przekrzywiona, a jej ubranie podarte i zakrwawione. Tego w żadnym razie nikt się nie spodziewał. Jeśli był to kontakt, to na pewno jakiś dziwny.

Obcy dotarł wreszcie na środek sali. Dopiero wtedy większość zebranych zauważyła, że niesie on coś w rękę – jakiś okrągły przedmiot, coś jakby piłkę, tyle tylko, że z jednej strony włochatą. Kosmita uniósł go do góry. Zachwiał się przy tym, lecz zachował równowagę. Na sali zaległa martwa cisza. Wszyscy z napięciem wpatrywali się w trzymany w wyciągniętej ręce przedmiot. Twarze najbliższych siedzących zaczęło powoli wykrzywiać przerażenie. Była to głowa Karloffa.

- Macie tu swojego proroka! - krzyknęła postać, po czym gwałtownym ruchem chwyciła się za szyję i zdarła sobie twarz. - Wszystko, w co wierzycie, to oszustwo! Karloff nie żyje! Nie ma żadnych kosmicznych braci! Idźcie do domu!

Człowiek, który stał teraz przed nimi, rzucił przed siebie maskę. Tuż po tym na podłodze wylądowała odcięta głowa Karloffa. Kręciła się jeszcze przez chwilę na posadzce, po czym znieruchomiła. W martwej, kamiennej ciszy, która nastąpiła, dał się słyszeć czyjś krótki, urwany krzyk. Człowiek, który stał na środku sali, zachwiał się na nogach.

- Niech ktoś zadzwoni po policję - powiedział już znacznie ciszej. - Mamy tu trupa.

ROZDZIAŁ XXX

- A, jest i nasz bohater! - profesor Bożydar Sonnenberg stał uśmiechnięty promiennie w drzwiach swojego domu. Ubrany był w tę samą koszulę i sweter, co zawsze.

- Korki - odpowiedział Frank, wycalowywany właśnie z dubeltówki.

- To przez ten śnieg. Spadł po tej stronie Kanału po raz pierwszy od kilkunastu lat. Jakby specjalnie na twój przyjazd.

Weszli do środka. Na kanapie w salonie siedział Mister Ng. Frank szybko omiótł wzrokiem pomieszczenie, nikogo więcej jednak nie zauważył.

- Jak tam w pracy? - spytał Mister Ng, kiedy już się przywitani.

- Wszystko w porządku. Przedłużyłem sobie trochę urlop, więc zostałem dyscyplinarnie zwolniony, ale w związku z nadzwyczajnymi okolicznościami całego zajścia przywrócono mnie do służby.

- A jak posuwa się śledztwo?

- Też dobrze - odparł, siadając. - Przeszukanie siedziby bractwa potwierdziło nasze wcześniejsze podejrzenia. Handel narkotykami na wielką skalę, morderstwa rytualne, niedozwolone techniki wpływania na świadomość. Nawet specjalnie nie ukrywali dowodów. Musieli być pewni bezkarności. Badamy teraz powiązania z sektą kilku wpływowych urzędników. W grę wchodzi korupcja albo ukryte członkostwo.

- A co z członkami sekty? - zainteresował się profesor.

- Przywódcy zostali aresztowani, szeregowi członkowie, na których nie ciąży żadne zarzuty, zostaną objęci specjalnym programem pomocy psychologicznej, który pomoże im wrócić do normalnego życia.

- O, to ciekawe! - zapalił się Sonnenberg. - Chętnie wziąłbym udział w takim przedsięwzięciu. Cóż za niezwykle pole do badań!

Na chwilę w salonie zaległa cisza. Frank nerwowo bębnił palcami po kolanie.

- A gdzie jest...? - zdecydował się wreszcie.

- Atina? Zaraz zejdzie.

- Co z nią?

- O, już wszystko dobrze! - włączył się Mister Ng. - Nieźle jej przygrzmociłeś - zaśmiał się. - Szczerze mówiąc, doskonale cię rozumiem. Sam miałem ochotę parę razy jej przylać. Może gdybym stosował bardziej stanowcze środki wychowawcze, kiedy była dzieckiem, nie miałaby teraz tak wrednego charakteru...

- Nie, Atina jest w porządku... - trochę zbyt szybko przerwał mu Frank.

Mister Ng i Sonnenberg spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

- O właśnie! O wilku mowa! - z emfazą zakrzyknął profesor.

W drzwiach salonu pojawiła się Atina. Tym razem włosy miała spięte z tyłu. Poza tym wyglądała tak samo, jak zwykle - czyli prześlizgnie.

- Cześć, Frank! - rzuciła od progu.

- Cześć, Atina! - odpowiedział, podnosząc się z miejsca.

Usiadła naprzeciw niego. Oboje starali się unikać swojego wzroku.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Dobrze. Wszystko już w porządku.

Byli skrupowani. Atina skubała leżącą jej na kolanach spódnice.

- W zasadzie wpadłem się tylko dowiedzieć, czy wszystko w porządku - zaczął po chwili milczenia. - Będę już leciał.

Profesor Sonnenberg uśmiechnął się pod nosem.

- Daj spokój, Frank! - krzyknął z teatralnym oburzeniem. - W taką pogodę? Spędzisz w korku co najmniej cztery godziny! A już zmierzcha. Spadły dwa centymetry śniegu, a nasze służby miejskie są bezradne, jakby od tygodnia szalała zamięć. Przygotowałem dla ciebie pokój, tu się prześpisz.

Frank spojrzał ukradkiem na Atinę, która uparcie wbijała wzrok w podłogę.

- Ale...

- Nie ma żadnego ale! - stanowczo przerwał mu profesor. - To ziemia angielska i obcokrajowcy nie mają tu nic do gadania. Chodź, pokażę ci twój pokój. Atina, możesz mi pomóc przenieść pościel?

Frank i Atina skwapliwie wstali. Oboje byli zadowoleni, że krępująca ich sytuacja uległa zmianie. Mister Ng zaczął nagle z wielkim zainteresowaniem przeglądać leżącą na stole gazetę.

- To tu - powiedział profesor, gdy dotarli już na górę. Otworzył drzwi i przepuścił Franka przodem. - Wejdz, Atina.

Atina z naręczem pościeli na rękach weszła do pokoju. Rzuciła ciężar na łóżko i dopiero wtedy się rozejrzała.

- Przecież to mój pokój... - powiedziała zdziwiona.

- No to co? Jeśli się nie mylę, jesteście małżeństwem. Poza tym nie mam dwóch pokoi gościnnych - odpowiedział Sonnenberg i zniknął za drzwiami. - Dobranoc - rzucił jeszcze, kiedy je zamykał.

Frank i Atina w milczeniu stali naprzeciw siebie. Atina wykonała ruch, jakby chciała wyjść, ale nie zrobiła tego. Spojrzeli sobie w oczy.

- Uratowaliśmy świat, wiesz? - zaczął niepewnie Frank.

- Prawdopodobnie. - Uśmiechnęła się lekko.

- Prawdopodobnie - zgodził się z udawaną niechęcią. Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. - Gdyby to był film, poszlibyśmy ze sobą do łóżka.

- Nie śpiam z mężczyznami, którzy mnie biją - odpowiedziała i chwyciła się pod boki. - Poza tym - dodała zalotnie - wcale mi się nie podobasz.

- Wcale?

- Wcale.

- Nic a nic?
- Nic a nic.
- No nie, Atina, coś ci się przecież musi we mnie podobać! Pomyśl przez chwilę.
- No dobrze. Może...
- Co?
- Jesteś wysoki. Lubię wysokich mężczyzn.
- Coś jeszcze?
- I tak masz szczęście, że cokolwiek znalazłam!
- Tak? A mi się w tobie podoba wszystko.
- No ja myślę. A co konkretnie ci się we mnie podoba?
- Konkretnie? Wszystko.
- No nie! Wszystko! Dokładniej, proszę.
- Jak wszystko, to wszystko.
- Konkretniej!
- O to, na przykład, bardzo mi się podoba.
- Aha. A co jeszcze?
- I to... tu, bardzo mi się podoba.
- A to?
- O, to podoba mi się wprost niewyobrażalnie!
- A na przykład to?
- A to... Atina, to jest po prostu... piękne!

ROZDZIAŁ XXXI

- Frank! Co robisz? Świnia!

o książce *Gra w pochowanego*

Porucznik Frank Quetzalcoatl James mierzy się z kryminalną zagadką – w Eurocity dochodzi do morderstw, a ciała znikają z miejsc zbrodni. W toku śledztwa poznaje historię kultów marsjańskich i wraz z partnerującą mu w śledztwie Nataszą bierze udział w związanych z nimi zagadkowych ceremoniach. Para postanawia kontynuować trop, udając się na kolejne spotkanie wyznawców kultów. Frank jest świadkiem zamordowania Nataszy. Niedługo potem przełożony Franka informuje go, że kobieta żyje, ale zrezygnowała z pracy w policji, gdyż znalazła nową drogę życia. Porucznik, dowiedziawszy się, że jego partnerka została zwerbowana przez sektę, postanawia uratować Nataszę.